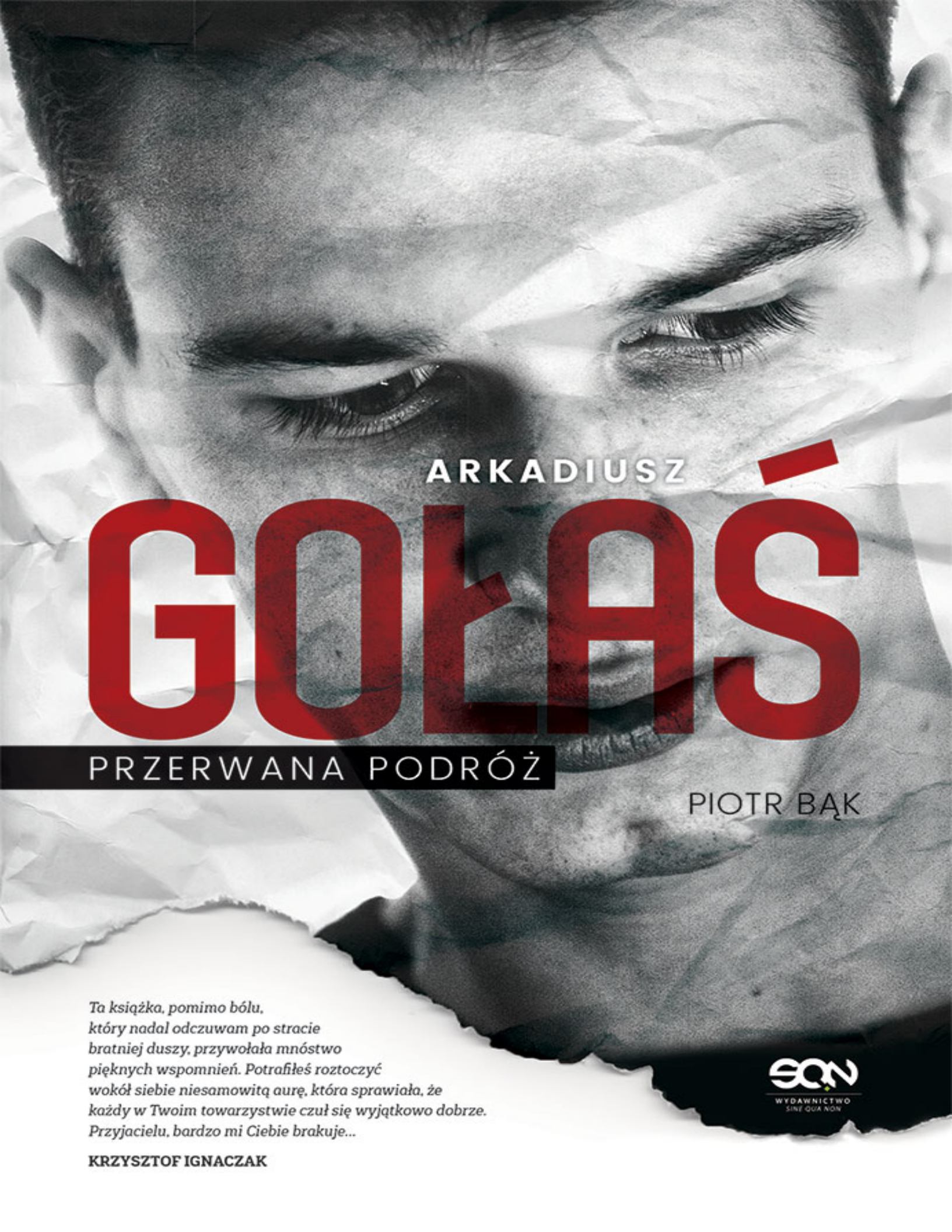

ARKADIUSZ

GOŁAŚ

PRZERWANA PODRÓŻ

PIOTR BĄK

Ta książka, pomimo bólu, który nadal odczuwam po stracie bratniej duszy, przywołała mnóstwo pięknych wspomnień. Potrafiłeś roztoczyć wokół siebie niesamowitą aurę, która sprawiała, że każdy w Twoim towarzystwie czuł się wyjątkowo dobrze. Przyjacielu, bardzo mi Ciebie brakuje...

KRZYSZTOF IGNACZAK

WYDAWNICTWO SINE QUA NON

ARKADIUSZ

GOŁAŚ

PRZERWANA PODRÓŻ

PIOTR BĄK

KRAKÓW 2017

WSTĘP

Na czym polega fenomen Arka Gołasia? Jak to możliwe, że sportowiec, który zginął tragicznie w wieku zaledwie 24 lat i nie zdążył wygrać niczego wielkiego, tak długo pozostaje w naszej pamięci? Kibiców, dziennikarzy, kolegów z boiska, a nawet tych osób, które widziały jego twarz tylko w telewizji. Rok w rok, jak w zegarku, od kilkunastu lat na adres mailowy redakcji „Przeglądu Sportowego” spływają maile, w których czytelnicy proszą o publikację wspomnienia o Arku. Zawsze przed 16 września, czyli rocznicą wypadku na austriackiej autostradzie. Te maile świadczą o tym, że pamięć o chłopaku z Ostrołęki wciąż trwa, choć przecież od tego czasu polska siatkówka wykreowała wielu nowych fantastycznych bohaterów – wicemistrzów i mistrzów świata, triumfatorów Ligi Światowej czy mistrzostw Europy. Jednak mimo tych wszystkich triumfów kibice nadal tęsknią za tym wiecznie uśmiechniętym, chuderlawym chłopakiem.

Dlaczego? Z pewnością jednym z powodów był talent Arka. Sposób jego gry zapierał dech w piersiach. Gigantyczny wyskok oraz lekkość, z jaką wzbijał się w powietrze, czyniły go chyba najbardziej widowiskowym polskim siatkarzem tamtych lat. W jego potencjale zakochał się nawet wychowawca legendarnego skoczka wzwyż, Artura Partyki. Trenerowi Edwardowi Hatale aż świeciły się oczy, bo liczył, że znalazł następcę Partyki, a kto wie, może chłopaka, który zostałby mistrzem świata? Arek intrygował Hatalę, bo przy wzroście 201 centymetrów skakał wprost nieprawdopodobnie. Mistrz Europy Paweł Woicki wspomina, jak w trakcie jednego z meczów obaj z Gołasiem prawie na siebie wpadli. Do zderzenia nie doszło tylko dlatego, że Arek po prostu przeskoczył nad kolegą. Komentator występów Gołasia w biało-czerwonych barwach, Zdzisław Ambroziak, znalazł chyba najtrafniejsze określenie zasięgu jego skoku: „stratosferyczny”.

Czy ten fenomen wynika głównie z talentu sportowego? Argentyńczyk Raúl Lozano, były selekcjoner Biało-Czerwonych, uważa, że ma on zupełnie inne źródło: „Arek był fantastycznym człowiekiem, jedną z tych osób, które zapadają wszystkim w pamięć. Należał do ludzi, których się powszechnie uwielbia, bo potrafią usunąć się w cień i dać innym jak

najwięcej z siebie. Nie znam większej zalety. To tak, jakby ktoś ofiarowywał nam światło w ciemności”.

Mam nadzieję, że ta książka rzuci nowe światło na życie Arka i pozwoli przypomnieć skromnego chłopaka, który ze względu na swój magiczny dołek w podbródku bywał porównywany do Kirka Douglasa.

Publikacja powstała dzięki pomocy najbliższych Arka, jego przyjaciół, kolegów z boiska, trenerów, ludzi polskiej i światowej siatkówki. Chciałem, by choć w małym stopniu mogła przynieść odpowiedź na pytanie, czym nas tak zauroczył Arek. Sami Państwo uznają, czy się to udało.

ROZDZIAŁ 1

16 WRZEŚNIA 2005 ROKU

Za każdym razem, gdy Krzysiek Stelmach przypomina sobie ten dzień, ma łzy w oczach. Telefon zadzwonił, gdy jechali na turniej w Rzeszowie. W czwórkę – on, jego brat Andrzej, Krzysiek Ignaczak i Damian Dacewicz. Siedzący z tyłu „Igła” wyciągnął komputer, chcąc pokazać reszcie zdjęcia ze ślubu Arka. Otworzył laptop i wraz z Dacewiczem zaczęli przeglądać fotki sprzed zaledwie trzech miesięcy. Wspomnienia, śmiech. I nagle telefon. Ignaczak słyszy głos w słuchawce i po chwili blednie. Zaczyna histeryzować, płakać, miotać się na siedzeniu. Koledzy nie wiedzą, co się stało, i szybko zjeżdżają na pobocze. Nie mogą zrozumieć, o co chodzi, bo Krzysiek nie jest w stanie niczego z siebie wydusić. Dopiero gdy trochę się opanowuje i wstrzymuje szloch, mówi pozostałym, że właśnie otrzymał informację o śmierci Arka Gołasia. Po chwili płaczą już wszyscy…

Wkrótce o wypadku dowiedziała się cała Polska. Jest wieczór 16 września 2005 roku, w telewizyjnej Jedynce trwają *Wiadomości*. Prowadzący serwis sportowy Jacek Kurowski zawiesza głos: „Arkadiusz Gołaś nie żyje. Reprezentant Polski zginął w wypadku samochodowym w Austrii. Miał ogromny talent, a przed sobą całe życie. Niestety, zostało ono nagle przerwane. Do tragedii doszło niedaleko miejscowości Griffen, koło Klagenfurtu. Auto Gołasia uderzyło w betonową podstawę ściany dźwiękochłonnej. Siatkarz zginął na miejscu, towarzysząca mu żona jest w szpitalu. Arkadiusz Gołaś miał 24 lata. Jechał do Włoch, do siedziby swojego nowego klubu – Lube Banca Macerata. Jego śmierć poruszyła nas wszystkich”.

„To są chwile, których się nie zapomina. Do końca życia…” – zawiesza głos Kasia, siostra Arka. Mimo upływu lat wcale nie jest łatwiej mówić o tym, co stało się 16 września. Dzień przed wypadkiem, wracając od rodziców z Ostrołęki, Arek ze swoją żoną Agnieszką podjechali do Kasi, dosłownie na pięć minut. Pokazali jej nowiutki samochód, pogadali przez chwilę, a potem Arek powiedział po prostu: „Do zobaczenia!”. Następnego dnia Kasia pojechała do Ostrołęki, skąd miała odebrać tatę i odwieźć go na lotnisko w Warszawie – leciał za granicę w delegację. Wyjeżdżała już z rodzinnego miasta, siedząc obok taty na fotelu pasażera, gdy zadzwoniła

ich znajoma. Powiedziała, że chce rozmawiać z ojcem Kasi, ale gdy usłyszała, że to on prowadzi, wykrztusiła, że gdzieś w internecie znalazła informację o śmierci Arka.

Gdy tylko weszli do domu, wszystko stało się jasne. „Zobaczyłam mamę, która płakała w fotelu, i zrozumiałam, że to wszystko prawda i że ona już wie" – wspomina siostra Arka. – Nie wiem nawet, skąd się dowiedziała, nigdy jej o to nie zapytałam. Po prostu wstałam i wyszłam z domu. Pobiegłam do mojej koleżanki i siedziałam u niej. Na stronie Onetu pojawiło się czarne tło. Niby je widziałam, ale byłam jakby w innym świecie. Później wiele osób mówiło mi, że tamtego dnia z nimi rozmawiałam, lecz ja pamiętam tylko jedną z nich. Mój mózg wszystko wyparł".

Zapamiętała jednak, że tata nie mógł zasnąć i całą noc przesiedział w fotelu. Z pomocą przybyła im rodzina, lecz nikt z najbliższych Arka nie potrafi sobie przypomnieć szczegółów tamtych dni. Wsparcie zapewnił Gołasiom Witold Roman, menedżer siatkarskiej reprezentacji Polski, który zajął się wszystkimi formalnościami. „My w tamtym momencie nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Witek sam nas spakował i zabrał do Austrii, do szpitala, gdzie leżała Agnieszka. Mieliśmy jak najdłużej utrzymać w tajemnicy śmierć Arka, by jej stan się nie pogorszył. Byli z nami też jej rodzice. Tylko tata i teść widzieli tam Arka. Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, ale usłyszałam, że lepiej, że zapamiętaliśmy Arka takim, jakim był, i nie zobaczyliśmy tego, co oni. Chyba na jakiejś niemieckiej stronie widziałam, jak poważny był to wypadek. Arek miał obrażenia głowy i gdy zobaczyłam krew, pogiętą blachę… Nie potrafię dalej o tym mówić…"

* * *

Późnym wieczorem 15 września Arek z żoną Agnieszką wyruszyli z Częstochowy w liczącą ponad półtora tysiąca kilometrów podróż do Maceraty. Zaledwie kilka dni wcześniej Gołasiowie odebrali z salonu nową toyotę avensis. Zdążyli się nią pochwalić rodzinie i Krzyśkowi Ignaczakowi, najbliższemu kumplowi Arka. „Dzień przed wypadkiem przyjechali, żeby się pożegnać przed wyjazdem do Włoch. Trochę mnie to zdziwiło, bo nigdy wcześniej tak nie robiliśmy. Ale tym razem Arek się pojawił i zaprezentował nową toyotę. Powiedział, że jedzie po swoje

marzenia. Tak mnie jakoś zastanowiło: po cholerę on przyjechał, skoro mógł mi przecież ten samochód pokazać za kilka tygodni czy za pół roku. Jak się okazało, to spotkanie miało większe znaczenie, bo to był nasz ostatni uścisk dłoni i ostatni miś, którego skleiliśmy. Nasze prawdziwe pożegnanie. Gdybym wiedział, nigdy bym mu nie podał ręki! Może wszystko inaczej by się potoczyło? A może zdążyłbym mu powiedzieć kilka słów, które pozostały niewypowiedziane? W życiu tak jest, że gdy odchodzi ktoś z najbliższych, często zastanawiamy się, dlaczego nie powiedzieliśmy czegoś w odpowiednim czasie, gdy mieliśmy taką możliwość. O swoich uczuciach, które mamy głęboko w sercu. On pewnie czuł tę moją miłość i braterską bliskość, lecz nigdy nie wyznaliśmy sobie wprost, jakie przywiązanie nas łączy. Myślę jednak, że nasze czyny świadczyły o tym, jak blisko ze sobą jesteśmy" – wspomina „Igła".

Trasę, którą wybrali Arek i Agnieszka, pokonywało zarówno wcześniej, jak i później wielu innych polskich siatkarzy grających na co dzień w Serie A. Prowadziła przez Czechy i Austrię. Co jakiś czas nowożeńcy mieli się meldować, między innymi menedżerowi Arka, Ryszardowi Boskowi. Najpierw przyszedł krótki SMS: „Przekroczyliśmy granicę z Czechami". Bardzo podobną wiadomość przesłali później z granicy austriackiej. Jeszcze przed wyruszeniem z Częstochowy Arek umówił się z Agnieszką, że poprowadzą auto na zmianę. Usiadł za kierownicą jako pierwszy.

„Nakłanialiśmy Arka, żeby został i wyjechał do Maceraty rano – wspomina Bosek. – Powiedziałem mu, że zadzwonię do klubu i naprawdę nie będzie problemu, jeśli przyjedzie nieco później. Ale Arka nosiło, chciał tam dotrzeć jak najszybciej. Wyruszyli więc wieczorem. Ustaliliśmy, że z każdej granicy będzie do mnie wysyłał SMS-a. Wiadomości skończyły się na przejściu czesko-austriackim. Gdy przyszedłem rano do biura, od razu powiedziałem współpracownikowi, że Arek od dawna nie dał żadnego znaku życia. W tym momencie zaczęliśmy już dzwonić do Austrii. Zapytano nas, czy jesteśmy jego rodziną. Mój wspólnik skłamał, że tak, na co Austriacy powiedzieli nam tylko, że Arek i Agnieszka są w szpitalu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że stało się coś niedobrego… Oczywiście nie podejrzewaliśmy, że Arek zginął, ale zdawkowe, wymijające wypowiedzi nie nastrajały optymistycznie. Dobrze znam tę trasę, jeździłem nią 20 lat i wiem, jak wygląda. Do dzisiaj nie mogę pojąć, jak to się stało" – zastanawia się mistrz świata i mistrz olimpijski, a Stelmach dodaje: „Życie jest niesprawiedliwe. Ilekroć przejeżdżam koło tamtego miejsca pod

Klagenfurtem i widzę ten pieprzony rozbity betonowy murek, wracam myślami do tragicznego 16 września”.

Według relacji świadków tuż po wypadku Agnieszka była przytomna. Nie pamięta jednak zbyt wiele od momentu, w którym przejęła kierownicę, aż do ocknięcia się w szpitalu. Wszystkie służby powtarzały jej, że mąż trafił do innej placówki, a szczegóły jego stanu zdrowia nie są na razie znane. Nie chciano potęgować jej stresu. W wywiadzie dla „Gali”*, którego Agnieszka udzieliła kilka tygodni po tragedii, powiedziała, że po wypadku zachowała przytomność, jednak nie potrafi sobie przypomnieć niczego z jego przebiegu. W trakcie podróży cały czas spała. Arek prowadził samochód jako pierwszy. W końcu ją obudził i powiedział: „Przesiadaj się, bo jestem zmęczony. Jak coś, to mnie obudź”. Tylko to zostało jej w głowie z trasy i ze szpitala, same urywki. Migawki. Jedno mrugnięcie powiek: wsiadają do samochodu. Drugie mrugnięcie: szpital. Trzecie: już są rodzice i mówią, co się stało. Nie pamięta nawet szczegółów powrotu do Częstochowy. Jej przyjaciółki Iwona Ignaczak i Magda Szymańska powiedziały jej później, że razem z mamą Arka rozpakowywały jej torby. Tego także nie kojarzy. Wie tylko, że w bagażu natknęła się na kolczyki ślubne, zaciskała je w dłoni i płakała. Była nieobecna.

Dziś Agnieszka nie potrafi i nie chce rozmawiać na temat tego, co stało się 16 września 2005 roku. „Nie, nie udało mi się przejść do porządku dziennego nad tymi emocjami. Mnie się nie uda, nie wiem, może ktoś umie sobie z tym poradzić, lecz ja nie potrafię. Ta książka zajdzie za skórę. Bo nawet gdy się z nami tylko rozmawia, towarzyszą temu olbrzymie emocje. I zawsze będą towarzyszyć. Minęło już niby tyle lat, ale… Proszę, to, co miałam do powiedzenia, powiedziałam ponad dziesięć lat temu i nie mam nic do dodania” – daje jasno do zrozumienia, że nie chce wracać do traumatycznych przeżyć.

Jednak kilka tygodni po wypadku, w „Gali”, postanowiła podzielić się swoimi odczuciami. „Nie ma przy mnie ukochanej osoby. I nie wiem, co naprawdę się wydarzyło. Gdzieś tam napisali, że zasnęłam za kierownicą. Wątpię w to. Byłam wypoczęta, spałam przed podróżą. A przed prowadzeniem drzemałam co najmniej trzy godziny. Nie jestem osobą, której zamykają się oczy za kierownicą. Jedno, co wiem, to że policja wyklucza nadmierną prędkość. Nie znają przyczyny, dla której samochód zjechał w bok. […] Nie wiem, co się stało, i nie pamiętam tego. A z drugiej strony gdybym pamiętała, zawsze znalazłabym powód, żeby siebie

obwiniać. I może byłoby mi jeszcze gorzej. […] Wie pan, to jest tak. Ja byłam kierowcą, a Arka nie ma. Koniec. Nawet gdyby to Arek miał w ręku kierownicę i coś by się stało, pewnie i tak miałabym pretensje do siebie. Jak mam się nie czuć winna? Pewnie jakby Arek sam jechał tym samochodem, miałabym wyrzuty sumienia, że nie jechałam z nim".

W maju 2006 roku Agnieszka pojawiła się także w programie *Rozmowy w toku*. W tym samym odcinku wystąpiły jeszcze między innymi Agnieszka Fitkau-Perepeczko, Barbara Falandysz i Małgorzata Riedel.

E. Drzyzga: Kiedy dotarło do ciebie, że Arek nie żyje?
A. Gołaś: Z tego, co wiem, a mogę tylko przypuszczać, bo mam cały tydzień wyjęty z pamięci, pierwszy raz usłyszałam o tym od taty w szpitalu. Później już do tego nie wracałam.

E. Drzyzga: Nie chciałaś znać szczegółów i dopytywać?
A. Gołaś: Moja świadomość tego wypadku zupełnie mijała się z prawdą. Wydawało mi się, że wracamy z Włoch, a przecież dopiero jechaliśmy, myślałam, że jedziemy naszym starym samochodem, a kupiliśmy nowy. U mnie dużo z tej prawdy zostało wepchnięte gdzieś głęboko.

E. Drzyzga: Czy w związku z tym wypadkiem przyszło ci do głowy takie pytanie: „Gdybym to nie ja prowadziła"?
A. Gołaś: To nawet nie chodzi o pytanie, kto prowadził, tylko dlaczego, dlaczego nie ja?

* * *

W dniu wypadku Raúl Lozano, ówczesny selekcjoner reprezentacji Polski, był w Centrum Olimpijskim w Warszawie i podsumowywał niezły sezon prowadzonej przez niego kadry. Stamtąd pojechał na Okęcie, skąd miał wylecieć do Argentyny. Gdy tylko dowiedział się o tragedii, odwołał urlop w rodzinnym kraju. Rzecznik prasowy PZPS Tomasz Wolfke przekazał mediom krótką informację: „Trener Lozano jest załamany i w tej chwili nie chce się wypowiadać publicznie. Nie wierzy w to, co się stało. Opuści

Polskę dopiero po pogrzebie”. Później Lozano napisał list do rodziców Arka:

18.09.2005

Drodzy Rodzice Arkadiusza,

chciałbym znaleźć sposób i słowa, które oddałyby całą pustkę i wyraziły ogromny ból, który mi dzisiaj towarzyszy.

Jestem przekonany, że bólu matki i bólu ojca nikt ani nie może sobie wyobrazić, ani do niczego porównać… Chciałbym jedynie zapewnić Was, że łączę się w nim z Wami, jestem blisko Was i odczuwam stratę związaną z tragiczną śmiercią Waszego syna.

Miałem to szczęście, że poznałem i byłem blisko Arka w tym krótkim okresie naszej współpracy, ale wspaniałe cechy jego charakteru pozostaną w mej pamięci na zawsze. Był chłopcem, który nigdy nie narzekał, na którego twarzy wiecznie gościł uśmiech, który nigdy ani się nie kłócił, ani nie sprzeczał z żadnym z kolegów. Wszyscy uważali go za najwspanialszego kompana.

Dziś odczuwam ogromny ból… jak wszyscy w drużynie narodowej. Arek pozostanie z nami, ponieważ dla osób wyjątkowych zawsze jest miejsce w naszych sercach.

Z wyrazami szacunku
Raúl Lozano

* * *

„Wiadomość o śmierci Arka w wypadku była szokiem – wspomina Witold Roman. – Najpierw przyszło niedowierzanie, czy to się naprawdę stało, czy ktoś nie podał niesprawdzonych informacji. Niestety wkrótce się one potwierdziły… W ciągu godziny w Polskim Związku Piłki Siatkowej podjęliśmy decyzję, że rodzicom Arka trzeba pomóc. Należało zorganizować transport, ktoś musiał z nimi pojechać do Austrii. Sprawy tak się potoczyły, że wziąłem ten obowiązek na siebie. Bardzo ważna okazała się pomoc przy tłumaczeniach dokumentów, ponieważ rodzice Arka nie znali niemieckiego. Trzeba było także przewieźć ciało. Towarzyszyłem

Tomaszowi Gołasiowi, gdy ciało jego syna wkładano do trumny. Dla nas wszystkich były to bardzo ciężkie chwile… Nie należałem do rodziny Arka, ale zżyłem się z nim tak bardzo, że traktowałem go jak brata i wszystko to, co się wtedy działo, głęboko przeżywałem. Nigdy nie zapomnę tych mrocznych momentów, gdy towarzyszy się rodzinie pogrążonej w ogromnej rozpaczy, jedzie się wspólnie wiele kilometrów w niewielkim aucie. Choć komuś może się to wydać dziwne, takie chwile bardzo mocno łączą. Z całych sił chciałem im wtedy pomóc, a z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, jak bardzo jestem wobec tego wszystkiego bezradny. Żadne słowa nie mogły ukoić bólu rodziców Arka".

20 września w częstochowskiej archikatedrze odprawiona została msza w intencji tragicznie zmarłego Arkadiusza Gołasia. Żegnało go kilka tysięcy osób – mniej więcej tyle, ile w czasie meczów zasiadało na trybunach hali AZS-u Częstochowa. Mszę koncelebrowało 15 księży, którym przewodził biskup Jan Wątroba. Homilię wygłosił ksiądz Edward Pleń, krajowy duszpasterz sportowców. Przejmującym momentem uroczystości było wyniesienie z kościoła trumny z ciałem Arka. Na swe barki wzięli ją przyjaciele z reprezentacji Polski i AZS-u Częstochowa. Klubowy sztandar ponieśli dwaj szkoleniowcy, którzy prowadzili Arka zarówno w klubie, jak i w kadrze narodowej – Stanisław Gościniak i Edward Skorek. Gdy trumna spoczęła w karawanie, zebrani przed świątynią kibice zaczęli niczym podczas meczu skandować: „Arek Gołaś, Arek! Arek Gołaś, Arek!". Rozległy się rytmiczne brawa, w górę wzniesiono szaliki w klubowych i reprezentacyjnych barwach. W ten sposób fani pożegnali swojego bohatera w Częstochowie.

W przygotowaniach do samego pogrzebu wzięła udział nie tylko najbliższa rodzina, lecz także władze Ostrołęki i pierwszy trener Arka, Renisław Dmochowski. Kilka godzin przed pogrzebem Rada Miejska Ostrołęki zebrała się na nadzwyczajnym posiedzeniu. Podczas najkrótszej sesji w historii samorządowcy rozpatrzyli tylko jeden punkt. Arkadiuszowi Gołasiowi jednogłośnie przyznano najwyższe odznaczenie „Za zasługi dla miasta Ostrołęki". Radni zgodnie podkreślili, że jedyny olimpijczyk z ich miasta na zawsze pozostanie wyjątkową postacią w jego dziejach.

22 września 2005 roku ostrołęcki kościół pw. św. Franciszka z Asyżu zgromadził tysiące ludzi, którzy przyszli pożegnać Arkadiusza Gołasia. Mszę odprawiło kilkunastu księży z gospodarzem uroczystości pogrzebowej, księdzem kanonikiem Witoldem Kamińskim na czele.

Trumna z ciałem Arka tonęła w dziesiątkach tysięcy kwiatów. Za nią stali rodzice, siostra Kasia i najbliższa rodzina. Zachowały się nagrania z ceremonii pogrzebowej. Widok siatkarzy wynoszących trumnę – Łukasza Żygadły, Krzysztofa Ignaczaka, Grzegorza Szymańskiego, Piotra Gruszki, Grzegorza Kokocińskiego i Piotra Gacka – do dzisiaj wywołuje ciarki na plecach…

„Byłem jednym z tych, którzy nieśli Arka na swoich ramionach. Było nam ciężko, nie tylko z racji wagi. Część uczestników pogrzebu chciała nas zmienić, ale nie zgodziliśmy się, musieliśmy być z nim do samego końca. Ten pogrzeb siedzi mi gdzieś w głowie, lecz nie chcę o tym myśleć – mówi Piotr Gruszka i dodaje: – W ostatniej drodze Arka brali udział nie tylko kibice. On zauroczył ludzi swoją dobrocią. Na pogrzebie byli także ci, których urzekał swoim optymizmem. Wiele osób widziało w nim po prostu fajnego chłopaka”.

„Ja pamiętam już tylko przebitki z pogrzebu – przyznaje Ignaczak. – To był dla nas prawdziwy wstrząs nieść swojego przyjaciela na własnych barkach. Obiecałem sobie, że jak się spotkamy gdzieś tam u góry, to mu wypomnę, że strasznie dużo ważyła ta trumna. Jak go niosłem, ledwie dawałem radę. Było mi ciężko ze względu na wagę i z powodu straty kogoś bliskiego. Na pogrzeb przyszły tłumy, bo Arek był popularną osobą. Tak szczerze to cieszyłem się, że trumna była zamknięta i nie musiałem patrzeć na leżącego w niej mojego najlepszego przyjaciela. Oszukiwałem się, że on może jeszcze kiedyś wróci. Wypierałem z pamięci, że dzień przed wypadkiem do mnie przyjechał i się pożegnał”.

„Z jednej strony pogrzeb był niezwykle przejmujący, a z drugiej stanowił wyraz szacunku dla Arka – wspomina Paweł Papke. – Przecież ten chłopak tyle zrobił dla naszej siatkówki, naszych barw narodowych. Głęboko zapadł mi w pamięć obraz zrozpaczonej młodej żony Arka, jeszcze kilka tygodni wcześniej tak szczęśliwej, i jego rodziców. Nie, nie mogę o tym spokojnie opowiadać. To, co się stało, było tak po ludzku… niesprawiedliwe”.

Po zakończeniu mszy głównymi ulicami Ostrołęki przemaszerował kilkutysięczny żałobny kondukt. Trudno oszacować liczbę osób, które podążały za trumną z ciałem Arka. Kolejne tysiące żegnały młodego siatkarza, stojąc na trasie pochodu. Poruszony Raúl Lozano zgubił się na cmentarzu i długo szukał znajomych twarzy rodziców Arka, którym tak bardzo chciał złożyć kondolencje.

„Po pogrzebie Arka każdy wracał do swojego życia, a my zostaliśmy sami – mówi rozżalona siostra. – Fajnie, że innym się układa, tylko dlaczego akurat nam przydarzyło się to wszystko? Długo nie mogłam tego zrozumieć. Nie mogłam też pojąć, dlaczego on, a nie ja?”.

ROZDZIAŁ 2

AGNIESZKA I AREK, CZYLI OGIEŃ I WODA

Agnieszka Dziewońska poznała Arka Gołasia dzięki swojemu przyjacielowi – Piotrowi. W 2001 roku był sędzią siatkarskim i dobrze znał chłopaków z AZS-u Częstochowa. Do dziś zresztą się przyjaźnią, Piotr jest dla niej jak brat. Gdy pierwszy raz widziała się z Gołasiem, pożegnali się zwyczajnym „cześć". W końcu jednak trafiła się inna impreza, na którą oboje przyszli sami – ani ona, ani on nie byli wtedy w żadnym związku. Usiedli i zaczęli rozmawiać. Narzekali na to, jak samotni się czują, że nikt ich nie kocha, nikt do nich nie dzwoni. Do dziś Agnieszka ma karteczkę z numerem telefonu młodego gracza AZS-u.
Poza numerem Arek dopisał jeszcze: „proszę dzwonić codziennie!".

Ich kontakty stały się częstsze, gdy Arek mieszkał z Kubą Oczko, najpierw w akademiku, a później we wspólnym lokum na ulicy Kiedrzyńskiej. Kubie wpadła w oko koleżanka Agnieszki, Magda, a on spodobał się jej, później zresztą zostali małżeństwem. Arek i Agnieszka zaczęli ich swatać, dopytywali się, czy Kuba wziął już numer od Magdy, aż w końcu się udało. A dwa tygodnie później sami zostali parą.

Pełną temperamentu, jak przyznaje Krzysiek Ignaczak. „Trochę jak ogień i woda. Ich związek, szczególnie na początku, bywał bardzo burzliwy. Szczególnie było to widać po tym, jak często Arek wymieniał swoje telefony. I to wcale nie dlatego, że ulegały awariom, tylko dlatego, że nie wytrzymywały zderzenia ze ścianą. Pamiętam, że kilka razy mogłem się zabawić w bramkarza i łapać rzucane przez niego aparaty, które ze wściekłości rozbijał. Oczywiście nie niszczył tych telefonów wiele, na co dzień był łagodny, tylko czasem potrafił się tak wkurzyć" – opowiada Igła, a Agnieszka dodaje: „Ale zaraz po wybuchu do mnie oddzwaniał i szybko się dogadywaliśmy". Ignaczak potwierdza wersję przyszłej żony Arka: „To prawda, on sam się bardzo szybko uspokajał, a mnie tylko szkoda było tych telefonów. Próbowałem mu przemówić do rozsądku, ale to nigdy nie zadziałało. Faktycznie, tuż po rzuceniu telefonem Arek dzwonił do

Agnieszki. Tyle że najczęściej z mojego aparatu, bo jego modelu nie dało się już poskładać. Jak się taki chłop raz zamachnął…”.

Życie pary było w całości podporządkowane siatkówce. Ciągły pośpiech, wyjazdy, zgrupowania – młodzi zdołali zamieszkać ze sobą na stałe ledwie chwilę przed ślubem. Próbowali sobie radzić, aż w końcu Arek znalazł chyba na to wszystko receptę. W 2004 roku, w Dzień Kobiet, pojechali do rodziców Arka, a później reprezentacja Polski, której Gołaś był już bardzo ważnym ogniwem, miała zacząć zgrupowanie. W drodze do Spały zatrzymali się jeszcze w warszawskiej Galerii Mokotów. Mieli chwilę na zakupy i kawę. Chcieli szybko coś zjeść, czuli presję, żeby się nie spóźnić. Planowali, że podjadą pod hotel w Spale, a Arek zabierze torbę i od razu pobiegnie na halę. Nagle jednak zrobiło się bardzo późno, bo zakupy trochę im się przedłużyły. Mimo sporej zwłoki Arek powiedział, że musi jeszcze coś załatwić. Agnieszka protestowała i mówiła mu, żeby dał spokój, ale on zaczął coś kręcić i pobiegł na korytarz, ponoć do toalety. Nie było go pięć, dziesięć, piętnaście minut, a Agnieszka coraz bardziej się denerwowała. Gdy wrócił, powiedziała, że przez niego będą płacić mandaty. W końcu jednak wsiedli do forda focusa i wyruszyli. Niespodziewanie zrobili kolejny postój. Arek zjechał na jedną ze stacji i skręcił w ścieżkę, którą zajmowały pewne panie…

Agnieszka relacjonuje dalsze wydarzenia: „Byłam w szoku, ale on się zatrzymał i coś wyjął – myślałam, że kupił mi taką modną wtedy przywieszkę do telefonu. No baran jeden, przecież się spóźnimy! Przez chwilę mocowałam się z pudełkiem, lecz gdy je otworzyłam, okazało się, że to wcale nie przywieszka do telefonu. To był pierścionek! Oczywiście zapytał, czy zostanę jego żoną – siedząc w samochodzie, w lesie, w pobliżu wiecie kogo. Potem pytałam go jeszcze kilka razy, czy to wszystko prawda i dlaczego właśnie w taki sposób? Odpowiedział, że na romantyczne chwile przyjdzie czas za dwa tygodnie, po zakończeniu zgrupowania, a on po prostu kupił pierścionek i nie był w stanie tyle czekać. Na tym skończyły się nasze zaręczyny, Arek wrzucił wsteczny bieg i pognał do Spały. Dostałam pierścionek, założyłam go, zostawiłam Arka na miejscu i pojechałam do Częstochowy”.

* * *

16 lipca 2005 roku w Rzeszowie Biało-Czerwoni walczyli o awans na mistrzostwa świata, które rok później zostaną rozegrane w Japonii. Wygrali 3:1 z Bułgarią (dzień później ulegną 2:3 Rosji, ale awans mieli już zapewniony). Wszyscy rozpoczęli świętowanie i nagle prowadzący doping Marek Magiera poprosił wszystkich o chwilę uwagi: „Mamy dla państwa jedną bardzo ważną wiadomość. Otóż jutrzejszy mecz z Rosją będzie ostatnim występem Arkadiusza Gołasia w reprezentacji Polski". Magiera zawiesza głos, a kibice patrzą po sobie ze zdziwieniem, tak samo zaskoczony jest Arek. Dopiero po chwili Marek uśmiecha się i tłumaczy: „Ostatnim występem w stanie kawalerskim!". Wszyscy odśpiewali siatkarzowi „Sto lat!", były życzenia i dużo śmiechu. „To, co się stało po meczu w rzeszowskiej hali, było bardzo miłe. W życiu się nie spodziewałem, że otrzymam takie wsparcie – komentował później Arek. – Fajnie to wszystko wyszło, bo nawet moi koledzy z reprezentacji nie wiedzieli, że coś takiego się wydarzy. Też byli zaskoczeni i reagowali bardzo spontanicznie. Wszystkim kibicom dziękuję za życzenia".

Najważniejszy dzień w życiu Arka i Agnieszki został pierwotnie zaplanowany właśnie na 16 lipca, jednak Biało-Czerwoni walczyli o przepustki na mundial i ślub musiał poczekać. Agnieszka podkreśla, że nigdy nie miała o to pretensji, bo siatkówka nie była tylko pracą Arka, lecz raczej sposobem na życie, hobby. Nie było wyjścia – musieli przesunąć ślub i zorganizować go… w czwartek i piątek. Ku zaskoczeniu młodej pary wszystko udało się bez problemu zrealizować. Nikt z gości się nie wymiksował, nikt też nie narzekał, że musiał wziąć dodatkowe wolne.

Krzysiek Ignaczak, świadek Arka, zapamiętał, że 22 lipca 2005 roku był dla Gołasia ogromnym wydarzeniem, jednym z najważniejszych w życiu. Widać było, że młodzi bardzo się cieszyli. Na wesele zaproszono najbliższą rodzinę i przyjaciół. Przed ślubem Arek trochę się denerwował, dlatego przed wejściem do kościoła wypili z „Igłą" po pięćdziesiątce. Mówił, że będzie się stresował, więc tak dla otuchy… „Sam ślub zapamiętam na całe życie. Jechaliśmy karetą, jak w filmie". O dorożce marzyła Agnieszka, a Arek był jej gotów nieba przychylić. Całą oprawę wesela i salę przygotowano tak, że nawet największy maruda nie mógłby się do niczego przyczepić.

Ignaczak wspomina, że czasami musiał powstrzymywać Arka od śmiechu, a kiedy indziej wesprzeć dobrym słowem, gdy zaczynała go zżerać trema. Bawili się oczywiście do białego rana. „W naszej siatkarskiej

ekipie zawsze czuliśmy się świetnie, więc ani na weselu, ani na poprawinach nie oszczędzaliśmy się nawet przez chwilę. Niewiele czasu im zostawiliśmy na noc poślubną” – śmieje się „Igła”.

Było to typowe polskie wesele: nie zabrakło świniaka, stół uginał się od potraw, nie obeszło się bez tańców, śpiewów i konkursów. Całość została przygotowana na tip-top, największe wrażenie robiła jednak sama para młoda. „Aga to naprawdę piękna kobieta, a widok Arka w garniturze zamiast stroju sportowego był prawdziwym wydarzeniem. Przygrywała nam fajna kapela, trochę »porządziłem« z Piotrkiem Gackiem, potem dołączył do nas Michał Winiarski. Było kilka osób, które potrafiły poderwać tłum, sprawić, że inni wstaną z miejsc. Ale tak naprawdę na weselu niewiele potrzeba, żeby ciuchcia pojeździła po sali. Pamiętam też ich pierwszy taniec. Dziś, na fali tych wszystkich show tanecznych w telewizji, utarło się, że rozpoczęcie wesela przez młodą parę musi być idealne, wyćwiczone i z pomysłem. Arek nie należał do ludzi wyjątkowo uzdolnionych w tym kierunku, więc pierwszy taniec w jego wykonaniu nie wyglądał wybitnie. Natomiast dla niego na pewno stanowił nie lada wyzwanie. Skupiał na sobie wzrok wszystkich i musiał zrobić coś, z czym nie czuł się dobrze” – opowiada drużba.

W cyklu wspomnień, który ukazał się w 2006 roku w „Magazynie Siatkówka”**, Agnieszka opisywała ten dzień ze szczegółami. Przed ślubem nie spała z nerwów. Wstała rano i zaczęły się przygotowania. Nocowała u rodziców. Mieli jednego fryzjera, przyjaciela Patryka, do którego ustawiła się cała rodzinna kolejka – na początek Arek, potem bracia, mama, a na końcu ona. Tymczasem pan młody odebrał bukiet ślubny, panowało ogólne zamieszanie, każdy miał coś do zrobienia – pewnie dlatego do chwili zaślubin czas minął tak szybko. Bohaterzy wieczoru tryskali humorem – wszyscy ich podziwiali, że tak bezstresowo to przechodzą. Rodzice byli bardziej spięci, to oni zawsze najbardziej przeżywają dzień ślubu swoich dzieci. Wszystko układało się idealnie, dopóki nie zatelefonował tata Agnieszki. Lubi pożartować, więc zapytał z udawaną pretensją w głosie, „gdzie ona jest i co robi”, bo Arek już czeka w domu, a jej ciągle nie ma. „Mówię, że przecież jeszcze czas, a tata wtedy rzucił, że tylko żartuje. Madzia już jednak przyjechała i mnie odebrała. Magda Szymańska była moją druhną, a Krzysiek Ignaczak drużbą Arka. Tym telefonem tata spowodował u mnie chwilowy stresik, który jednak szybko minął” – wspominała w magazynie panna młoda.

Wróciła do domu – zaczęło się ubieranie, dopinanie wszystkiego na ostatni guzik. Arek dzwonił, czy może już wyjeżdżać z kamerzystą i fotografem, czy wszystko gotowe? Aparatem opiekował się kuzyn Agnieszki, Michał – uczestniczył i w przygotowaniach, i w ceremonii ślubnej. Skoro Arek sam nie mógł robić zdjęć, musiał coś wykombinować. Na weselu jednak nie odpuścił i pstryknął kilka fajnych fotek.

„Magda pomogła mi w ubieraniu, ostatnich poprawkach. Przyjechał Arek ze swoimi rodzicami i z Krzyśkiem. Zaczęło się błogosławieństwo. Wzruszająca chwila: wiele pięknych słów, drżenie głosu rodziców, a my spokojni, uśmiechnięci, szczęśliwi. Trzymając się za ręce, wolnym krokiem ruszyliśmy do kościoła. […] Wszyscy już na nas czekali. My się cały czas uśmiechaliśmy, byliśmy szczęśliwi. Do ołtarza Arek szedł z mamą, a mnie poprowadził do niego tata – to piękny zwyczaj. […] Tata, jak to tata, ze łzami w oczach oddawał mnie Arkowi przed ołtarzem. Pamiętam to jak dziś. »Jest teraz twoja«, powiedział”.

Patrząc sobie z uśmiechem w oczy, złożyli przysięgę, a potem nastąpiła wymiana obrączek. Było dość chłodno, ale ich serca były gorące, pełne miłości i poczucia spełnienia. „Moim marzeniem było jechać z kościoła na salę weselną dorożką. Arek zgodził się na ten pomysł natychmiast. To było moje pragnienie: jechaliśmy konikami, pozdrawialiśmy ludzi, wszyscy zwracali na nas uwagę. Piękny dzień, pod każdym względem. Podczas naszej podróży doszło do wielu zabawnych sytuacji, ludzie wyglądali przez okna, machali do nas. Wesele… Arek nie lubił tańczyć, szczególnie w parach, więc musiałam z nim popracować, bo jak bez tańców w takim dniu? Całkiem dobrze mu to wychodziło. Tańczył ze wszystkimi i nikt nie narzekał, wręcz przeciwnie” – zapewnia Agnieszka Gołaś.

Wesele minęło im bardzo szybko, jak zazwyczaj dzień, na który tak bardzo się czeka. Podróż poślubna trwała dwa i pół dnia. Pojechali z Ignaczakami i ich synkiem do Wisły. „Tam pojawili się »wujek rekin« i ciocia Aga, która musiała ratować Sebastiana przed tym drapieżnikiem – śmieje się Agnieszka. – Iwona Ignaczak była tłumaczem języka angielskiego i uczyła syna różnych słówek, wtedy na tapecie był akurat rekin, *shark*. Sebastian lubił to słowo powtarzać. Pływaliśmy w basenie i wiadomo, jak jest woda, to powinien pojawić się i rekin. Padło na wujka Arka, zabawa była przednia. Wujek przeobraził się w rekina: Sebastian uciekał, woda pryskała, a Arek go gonił. Ubaw był niesamowity. Arek uwielbiał dzieci, a one to odwzajemniały”.

Po tych dwóch dniach reprezentacja Polski szykowała się na wyjazd na mistrzostwa Europy do Rzymu. Po turnieju Arek miał jeszcze tydzień wolnego, a potem musiał stawić się w nowym klubie – włoskim Lube Banca Macerata. „Ten tydzień wykorzystywaliśmy do granic, ciesząc się sobą, rodziną, przyjaciółmi. Przecież już niedługo mieliśmy się znaleźć daleko od bliskich. Zaczynaliśmy nowy, cudowny etap w naszym życiu – wspomina Agnieszka, która kończyła wtedy studia na Wydziale Inżynierii Procesowej, Materiałowej i Fizyki Stosowanej Politechniki Częstochowskiej. – Arek nigdy nie potrafił powtórzyć tej nazwy. W żartach prosił, żebym mu ją zapisała, bo ludzie się go pytają, a on nie pamięta. Jechaliśmy do Włoch, gdzie mieliśmy się trochę zadomowić, a potem planowałam przyjechać do Polski na obronę. Później miałam wrócić do Italii i zostać z Arkiem. I wszystko się nagle zepsuło”.

* * *

Zdaniem Krzyśka Ignaczaka Arek i Agnieszka byli ze sobą szczęśliwi i do siebie pasowali. Pojawił się taki moment w ich związku, gdy sporo się kłócili, ale potrafili się też błyskawicznie godzić. Poza tym ich osobowości znakomicie się uzupełniały. Decyzji o ślubie nie podjęli pochopnie, zdążyli się już dobrze poznać. Doskonale wiedzieli, na co się piszą. O zaręczynach Arka z Agnieszką „Igła” usłyszał po fakcie. Może Arek nie przekazał mu tej informacji z obawy, że Krzysiek wygada się swojej żonie Iwonie, a ta zaraz pobiegnie z tym do przyjaciółki?

Agnieszka podkreśla, że Arek w domu był po prostu sobą. „Nie traktowałam go jak gwiazdy, nie miał pozycji »królewicza«, który po treningu ma się tylko położyć na kanapie i czekać, aż wszystko zostanie mu podane. Kiedyś »Igła« mi powiedział, że dzięki mojemu podejściu Arkowi nigdy sodówka nie uderzy do głowy, że sprowadza go to na ziemię. Ja myślę, że nawet gdybym robiła inaczej, to i tak nic takiego mu nie zagrażało, on po prostu nie miał gwiazdorskich zapędów – tak opisuje męża i dodaje: – Nikt się nie dogaduje idealnie, nie byliśmy parą, która tylko patrzy sobie w oczy i ćwierka. Byliśmy bardzo młodzi, dopiero wchodziliśmy w dorosłe życie, razem się rozwijaliśmy”.

Jaki był dla niej? Opowiedziała, że w domu potrafił na przykład odgrywać rolę piekarza – co dzień po prostu piekł świeże bułeczki. Nie traktował swojej pracy jak jakiejś wyjątkowej profesji, nie czuł się przez

nią namaszczony. Wszystkie komplementy wprowadzały go raczej w zakłopotanie, niż wbijały w poczucie dumy. Gdy był w domu, wykonywał wszystko, o co go poprosiła, nigdy się nie obrażał. Zawsze garnął się do pomocy przy gotowaniu. Mimo wszystko miał do Agnieszki sporo cierpliwości, bo mówiąc delikatnie, byli energiczną parą. Gdy się o coś pokłócili, Arek potrafił zawsze wyciągnąć rękę. „U nas nie było czegoś takiego jak fochy, obrażanie się na drugą osobę trwało najwyżej pięć minut. Emocje szybko opadały. Nie słyszeliśmy się dłużej niż dwie godziny tylko wtedy, gdy jechał na trening lub na mecz. Arek zapewniał mi duże wsparcie, komfort, poczucie, że będzie przy mnie, choćby nie wiem co. Mimo całej tej siatkówki miałam wrażenie, że jestem dla niego numerem jeden".

Potrafił też bronić swojej wybranki. Kiedyś podczas ligowego meczu w Sosnowcu Arek zaserwował asa i Agnieszka z radości aż podskoczyła. Nagle przyczepił się do niej jakiś kibic rywali. „Arek zaczął do niego startować niemal prosto z boiska. Oboje byliśmy podobni, spokojni, do rany przyłóż, ale do czasu. Jak takie błękitne niebo, na którym czasem pojawiała się chmurka wywołująca tornado" – śmieje się Aga. Do dziś pamięta także inne zdarzenie związane ze spotkaniem ligowym. Częstochowianie grali z ekipą z Jastrzębia-Zdroju. AZS utrzymywał przewagę, w piątym secie prowadził wysoko i nagle coś się stało – nikt nie skończył ataku, nawet Arek. „Przyjechał do domu, rzucił torbę, a ja zaczęłam go pocieszać, że nie tylko on popełnił błąd. Wiedziałam, co się stało, bo razem z dziewczynami słuchałyśmy radia, w którym mecz relacjonowali Marek Magiera i Konrad Pakosz. I nagle, pierwszy raz w życiu, Arek się rozryczał! Byłam w szoku, nie wiedziałam, co mam zrobić. Nie mógł przeżyć, że nie skończył choćby tego jednego ataku…"

Nigdy nie dał jej też żadnego powodu do zazdrości, choć jak mówi Ignaczak, w reprezentacji to właśnie Arek i Michał Bąkiewicz mieli status „Kenów", do których wzdychały nastolatki. „Inne dziewczyny? – zastanawia się Agnieszka. – Pamiętam taką sytuację z meczu reprezentacji w Łodzi. Po spotkaniu chciał mi pomachać, więc ruszył w moim kierunku, ja też próbowałam się do niego zbliżyć. Jednak w pewnej chwili zostałam niemal staranowana przez jakieś młode dziewczyny i chyba wtedy poczułam tak wyraźnie, że Arek znajduje się w centrum ich zainteresowania. Musiał mnie wtedy niemal na siłę wyciągać z tego tłumu. Arek i jego koledzy byli niczym członkowie jakiegoś boys bandu. Nie

uprzykrzało nam to za bardzo życia, nawet jeśli był »atakowany« przez telefon czy na Gadu-Gadu. Oboje traktowaliśmy całe to zamieszanie jako część jego pracy. Nigdy nie czułam, by z mojej strony prowadziło to do jakichś wyrzeczeń, bo wiedziałam, z czym wiąże się sport. Mój tata zawsze żył sportem i cieszyłam się, że Arek ma podobną pasję. Przede wszystkim byliśmy razem. Byliśmy nastawieni na bycie razem!”

* * *

Tymi słowami Agnieszka opisywała w „Gali”*** największe marzenia, jakie dzieliła z Arkiem…

GALA: Stała się pani bardziej uważna?
A.G.: Wyostrza mi się pamięć szczegółów. Gdyby ktoś dwa miesiące temu zapytał mnie: „Słuchaj, powiedz, jak wygląda skóra Arka?”, odpowiedziałabym: „Skóra jak skóra, normalna”. A w tym momencie jestem w stanie narysować ją z każdym pieprzykiem. Nawet bym się nie spodziewała, że to wiem.

GALA: Dojrzewaliście razem?
A.G.: Byliśmy ze sobą cztery i pół roku. Poznaliśmy się na pierwszym roku studiów. Dla niego był to okres prawdziwej pracy, dorosłych wyborów. Granie w siatkówkę przestało być hobby, stało się zawodem. Wszedł do reprezentacji Polski, podpisał świetny kontrakt z włoskim klubem. Jak powiedział jego przyjaciel Krzysztof Ignaczak, wyciągnęłam od Arka, co najlepsze, a on wyciągnął to samo ode mnie. Dojrzeliśmy do założenia rodziny. To chyba największy dowód dojrzałości, kiedy młode osoby postanawiają, że chcą stworzyć małe „Gołasiątka”, jak żartowaliśmy. To było nasze największe marzenie. Krzysztof zaskoczył mnie, gdy powiedział, że Arek zwierzał mu się, że chciałby mieć dziecko. Nigdy nie sądziłam, że rozmawiali o tym, bo Arek nie był wylewny. Krzysiek ma pretensję do Boga, że nie dopuścił do spełnienia największego marzenia przyjaciela.

GALA: A pani ma złość do Boga?

A.G.: Po części do Niego, po części do losu. Po części do siebie. Naprawdę nie wiem, kogo obwiniać. Mam żal, że tak się musiało stać. Każda żona sportowca wie, że jej życie kręci się dookoła męża. Moje ostatnie pięć lat było podporządkowane pasji Arka i naszej miłości. Nie ubolewałam nad tym, że po parę miesięcy w roku mieszkamy z dala od rodzin i przyjaciół. Najważniejsze, że byliśmy ze sobą. Arek odszedł i zostałam sama. Bez niego i bez tego motoru, który napędzał moje dni. Czy mam złość, czy żal? Nie wiem. Trudno nie być złym. A z drugiej strony mam poczucie wielkiej bezsilności. Zawsze z Arkiem sądziliśmy, że jak się bardzo chce, to można wszystko osiągnąć. Ale na co mogę mieć wpływ? Wobec najważniejszych rzeczy w życiu – kiedy urodzi się dziecko, a kiedy ktoś ma odejść z tego świata – jesteśmy zupełnie bezsilni. Jesteśmy bezsilni wobec naszej przyszłości.

ROZDZIAŁ 3

Z OSTROŁĘKI DO WARSZAWY

W dzieciństwie drugim domem Arka była wieś Suche, z której pochodzi jego mama. Chłopiec doskonale znał każdy zakamarek gospodarstwa dziadków, lubił chodzić w najdziwniejsze, niedostępne dla innych miejsca. Pewnego razu jego ciekawość omal nie doprowadziła do tragedii. „Nie pamiętam, czy poszedł wtedy za wujkiem, czy dziadkiem, ale wspiął się w jakiś sposób na strych obory – relacjonuje Danuta Gołaś. – Wszystko było przykryte słomą, więc nie mógł zauważyć, że w stropie jest spora dziura. Arek spadł z mniej więcej czterech metrów, doznając naprawdę poważnego urazu”.

Przy upadku Arek mocno uderzył się w głowę. Miał wstrząs mózgu i pękniętą czaszkę. Po incydencie lekarze wprawdzie nie zabronili Gołasiowi uprawiania żadnej dyscypliny sportu, lecz musiał pozostawać pod stałą opieką neurologa. „Gdy Arek zajął się już siatkówką na poważnie, podczas jednego z badań kontrolnych w Warszawie pani doktor przestraszyła nas, że ten dawny wypadek może jeszcze spowodować problemy zdrowotne” – opowiada jego mama. O zdarzeniu dowiedziała się przypadkiem i nie znała żadnych szczegółów – również dlatego, że Arek nie lubił o tym mówić. „Wcześniej całymi latami, raz na kwartał, jeździliśmy na kontrolę do lekarza w Ostrołęce. Pani doktor spytała mnie i męża, co sądzimy o tym, że po takim wypadku Arek uprawia sport. Nie mieliśmy nic przeciwko temu. Badania, które regularnie przeprowadzaliśmy, nie wykazały żadnych zmian. Życie ani zdrowie syna na szczęście nie były zagrożone”.

Arek urodził się 10 maja 1981 roku, ponad dwa tygodnie po wyznaczonym terminie. „Chociaż mieszkaliśmy w Ostrołęce, pojechaliśmy na poród do Przasnysza, bo w naszym szpitalu grasował wtedy gronkowiec” – wspomina Tomasz Gołaś, ojciec. Arek był bardzo spokojny i rzadko płakał. Rodzice mogli policzyć nieprzespane noce na palcach jednej ręki. Maluch szybko stał się oczkiem w głowie całej rodziny, a zwłaszcza babci Alicji. Przyszły siatkarz nie sprawiał kłopotów wychowawczych, głupie pomysły rzadko przychodziły mu do głowy. W przedszkolu poznał się i polubił z Pawłem Zygmuntem – potem chodzili

także do tej samej klasy w podstawówce. „Jeśli nie mogliśmy znaleźć Arka, wiedzieliśmy, że jest w jednym z dwóch miejsc – mówi mama. – Albo w szkole, albo u Pawła Zygmunta. Mieliśmy telefon do jego mamy, więc w razie wątpliwości natychmiast do niej dzwoniliśmy. Nie musieliśmy się martwić, bo Paweł, podobnie jak nasz syn, nie był typem łobuza. Z drugiej strony gdy Arek już wywinął jakiś numer, to nigdy sam, zawsze razem z Pawłem”.

Trzy lata po narodzinach Arka na świat przyszła jego siostra, Kasia. Mówienie o bracie do dziś przychodzi jej z trudem. „Przez cały tydzień siedziałam w pracy i zastanawiałam się, co mam powiedzieć o moim Arku. I nie było mi z tym łatwo, bo właściwie w domu mało rozmawiamy na jego temat. To siedzi gdzieś w środku, podobnie jest zresztą chyba w całej rodzinie. Ja trzymam wszystko w sobie, jest mi ciężko, ale spróbuję – mówi Kasia. – Jestem spokojną osobą, ale Arek był chyba jeszcze spokojniejszy. Najtrudniej było coś od niego wyciągnąć. Gdy chciałam się czegoś dowiedzieć, to na pytanie: »jak było?« odpowiadał najczęściej tylko: »fajnie«. Taki miał charakter, był trochę skryty, oszczędny w słowach. Zupełnie nie potrafił się czymś pochwalić, o jego późniejszych sukcesach dowiadywaliśmy się najczęściej od innych osób lub z innych źródeł. Dlaczego był taki spokojny? Bo u nas zawsze było spokojnie. Rodzice wychowywali nas normalnie, choć pamiętam, że niektórzy znajomi zwracali mi uwagę, że w naszym domu panuje taka fajna, ciepła atmosfera, widać w nim było miłość. Trochę się im dziwiłam, czemu zwracają na to uwagę, bo dla mnie to było zwyczajne, codzienne. Myślę, że dla mnie i dla Arka rodzice zrobili bardzo wiele, dużo nam dali. To było takie przyjemne miejsce”.

Siostra przyznaje, że tak wielkie siatkarskie umiejętności Arka były szokiem dla wszystkich bliskich. Nie wychowywano go w jakiś specjalny sposób, nikt nie oczekiwał, że stanie się zawodowym sportowcem, w rodzinie w ogóle nie było takich tradycji. W życiu obojga rodzeństwa sport pojawił się w podstawówce, lecz na pewno nie miał być docelowo sposobem na życie. Arek wybrał klasę o profilu siatkarskim, Kasię pociągała lekka atletyka.

„Arek zawsze lubił mieć wszystko poukładane, cenił porządek, a ja w młodości niekoniecznie. W dzieciństwie powodowało to pewne zgrzyty, ponieważ dzieliliśmy mały pokój w zwykłym bloku z wielkiej płyty. Później nasze kontakty stawały się coraz rzadsze, bo Arek przyjeżdżał już

tylko w weekendy, więc i okazji do sprzeczek było mniej” – śmieje się Kasia.

* * *

Do podstawówki poszedł we wrześniu 1988 roku. W Szkole Podstawowej nr 7 im. Janusza Kusocińskiego w Ostrołęce uczyło się, bagatela, 2600 dzieci! Popularna „Siódemka” różniła się od innych szkół także tym, że była otwarta od poniedziałku do soboty. Pełne wolne weekendy stanowiły przywilej tylko klas sportowych – ze względu na częste wyjazdy na turnieje.

W pierwszych latach edukacji Arek był lubiany, bo chętnie dzielił się z innymi. Nawiązywał silne koleżeńskie więzi – jak choćby ze wspominanym już Pawłem Zygmuntem, najlepszym przyjacielem jeszcze z czasów przedszkola. Kumple byli nierozłączni, odwiedzali się niemal codziennie chociaż na kilkanaście minut.

Arek uwielbiał klocki Lego, lecz już wtedy interesowała go też technika i informatyka. Nikogo nie zdziwiło, gdy pieniądze z pierwszej komunii zdecydował się przeznaczyć na komputer Atari. To było coś! Drzwi do mieszkania Gołasiów praktycznie przestały się zamykać – nigdy nie brakowało chętnych do zagrania na kupionym w Peweksie cudeńku!

„Był dobry z przedmiotów ścisłych, tak samo zresztą jak jego siostra – wspomina pan Tomasz. – Szczególnie dobrze radził sobie z matematyką. Zdecydowanie gorzej szło mu z językiem polskim, popełniał sporo błędów, a gdy trzeba było napisać wypracowanie, zawsze prosił mnie o pomoc. Może nie był prymusem, ale też nigdy nie sprawiało mu problemu przejście do następnej klasy. Tak sobie teraz myślę… Kiedy on tak naprawdę miał znaleźć czas na wytężoną naukę?”

Zamiłowanie do nauk ścisłych odziedziczył po ojcu. Jego mama to humanistka. „Wagary? – mówi z uśmiechem pan Tomasz. – Jeśli wybierali się wszyscy, to przecież nie mógł się wyłamać i zostać sam w szkole! A po jakimś czasie przychodził do nas sam, wiedząc, że przecież prędzej czy później i tak się dowiemy, i przyznawał się, że razem z całą klasą zwiali z lekcji. Arek był wobec nas bardzo uczciwy”.

W pewnym momencie, gdy zdecydowanie postawił na sport, musiał nieco zaniedbać naukę. Pierwszy raz trója na świadectwie Arka pojawiła się w piątej klasie – stopień dostateczny otrzymał z języka polskiego. W szóstej

klasie obok trójki z polskiego pojawiła się druga, z rosyjskiego. Rok później – było ich już cztery. W liceum powoli zaczęły przeważać stopnie dostateczne i mierne, ale wówczas Arek odnosił już pierwsze siatkarskie sukcesy nie tylko na lokalnym podwórku, ale też na szczeblu ogólnopolskim. Gołasiowie czerpali dumę ze sportowych osiągnięć syna.

* * *

W pewnym momencie Arek stanął przed tym samym trudnym wyborem, co każdy młody zawodnik: musiał zdecydować, czy chce pozostać siatkarzem amatorem i grać rekreacyjnie w niższych ligach, czy postawić wszystko na jedną kartę. „Na początku myślał przede wszystkim o tym, żeby pójść do klasy sportowej – wspomina ojciec. – Na etapie czwartej klasy ktoś wpadł na pomysł, żeby zebrać wysokich chłopaków i zrobić z nich klasę siatkarską. Zgromadziło się piętnastu”.

„Zrobili też wewnętrzny przesiew – uzupełnia pani Danuta. – Chętni musieli przejść różne testy, sprawdzano, kto się do czego nadaje. Arek miał bardzo długie nogi, był szczupły, ale aż do trzeciej klasy się nie określił, co właściwie chce robić. A klas sportowych o różnych profilach było bardzo dużo. W końcu Arek zdecydował się na siatkarską”.

W czwartej i piątej klasie Arek i jego koledzy mieli po sześć godzin zajęć sportowych. W szóstej – osiem, w siódmej – dziesięć, a w ósmej – aż 12. I co gorsza, były to godziny bardzo żmudnej pracy – zanim młodzi zaczną zmagania na siatce, muszą nauczyć się koordynacji ruchowej i nabrać sprawności. Przewroty w przód, stanie na głowie i na rękach. Mnóstwo zajęć związanych z podstawami techniki. Nie każde dziecko miało tyle cierpliwości, by to wytrzymać. Trenerzy Renisław Dmochowski i Lucjan Łomacz świetnie zdawali sobie z tego sprawę, a efekty ich pracy były widoczne gołym okiem: z „Siódemki” oprócz Arka do wielkiej siatkówki przebił się choćby obecny rozgrywający reprezentacji Polski, Grzegorz Łomacz, który zresztą razem z Arkiem brał udział w jednym z obozów sportowych w Darłówku. Syn trenera Lucjana był wówczas małym chłopcem, ale jego pokłady energii zdawały się nieograniczone.

W tamtych czasach trening młodych siatkarzy był wielowymiarowy. Dzisiaj oczekuje się szybkich wyników, przez co znacznie wcześniej przypisuje się graczy do określonych pozycji. Trenerzy z Ostrołęki uważali chociażby, że siatkarz grający jako środkowy bloku nie powinien

zaniedbywać przyjęcia – to wcale nie spowalnia rozwoju zawodnika, tylko czyni go bardziej wszechstronnym. Arek, choć grał na środku, regularnie ćwiczył przyjmowanie piłki. Pamiętajmy zresztą, że ówczesna siatkówka różniła się od dzisiejszej. Obecnie specjalizacje są węższe: tylko jeden zawodnik rozgrywa, a libero zastępuje z tyłu środkowych, którzy nie muszą aż tak dobrze grać w polu, jak to bywało dawniej.

Arkowi udało się pojechać z zespołem na szkolne mistrzostwa Polski do Słupska. Wrócili z brązowymi medalami. Rozgrywki zorganizowano wówczas po raz ostatni – ze względu na brak funduszy zostały zawieszone. Później młodzi siatkarze rywalizowali już tylko na poziomie makroregionu, mierząc się z rówieśnikami z okolic Białegostoku, Olsztyna i Warszawy. Rok po sukcesie w Słupsku drużyna zajęła drugie miejsce w turnieju makroregionalnym w Białymstoku, ustępując tylko Szkole Podstawowej nr 106 z Warszawy, która stała się zalążkiem MOS-u Wola Warszawa – ważnego przystanku na dalszej siatkarskiej drodze Arka.

Widzowie oglądający tamten turniej lepiej niż sam wynik zapamiętali zapewne jedną akcję w jego wykonaniu – Arek wyskoczył w niej do przechodzącej piłki i huknął bez zastanowienia, choć znajdowała się na wysokości samego końca antenki! Wyczyn 15-latka zrobił piorunujące wrażenie na kibicach, którzy przywykli do oglądania takich zagrań raczej tylko w telewizji.

W Ostrołęce możliwości rozwoju powoli się wyczerpywały. Chętnych do ćwiczeń było coraz mniej, w dodatku zaczynało brakować pieniędzy na utrzymanie drużyny. Trener Dmochowski wiedział, że trafił mu się prawdziwy diament, który jednak w takich warunkach nie zostanie w pełni oszlifowany. Jedną z możliwości był wyjazd do Szkoły Mistrzostwa Sportowego, wówczas jeszcze zlokalizowanej w Rzeszowie. Ale ani Arkowi, ani tym bardziej jego rodzicom nie uśmiechał się wyjazd syna na drugi koniec Polski. Znaleźli więc inną drogę.

„W klubie z Ostrołęki nie było wtedy sekcji kadetów i juniorów – mówi Krzysztof Felczak, trener MOS-u Wola Warszawa, jeden z najważniejszych szkoleniowców w karierze Arka. – Trenerzy zastanawiali się, co zrobić z zawodnikami, którzy po skończeniu podstawówki po prostu nie mieli gdzie później grać. Pamiętam, jak Renisław Dmochowski opisywał mi poszczególnych chłopaków. Powiedział wtedy, że jest jeszcze taki jeden, wyjątkowy. Wysoki, chudy, siedział akurat na trybunach. Ponoć jeden z najciekawszych chłopaków z Ostrołęki. Trener Dmochowski był

przekonany, że kiedyś będzie o nim głośno. Okazja do tego, żeby Arka zobaczyć, nadarzyła się dopiero wiosną. Byliśmy na makroregionalnych rozgrywkach w Białymstoku, spotkaliśmy się z Ostrołęką w finale. Wtedy, jeszcze jako reprezentacja szkoły nr 106 z Warszawy, zdobyliśmy złoty medal. No i wiele nie trzeba było patrzeć! Od razu usiedliśmy do poważnych rozmów, a nasi przyjaciele z Ostrołęki przekazali nam trzech młodych chłopaków. W tym właśnie Arka. O dziwo, to właśnie on zdecydował się na dołączenie do nas najpóźniej, w jego domu były spore rozterki, a najwięcej wątpliwości co do wyjazdu syna miała mama. Miałem kontakt z ojcem Arka, rozmawialiśmy długo z bliskimi wszystkich siatkarzy. Ostateczną decyzję Arek i jego rodzice podjęli, o ile dobrze pamiętam, w czerwcu. W sierpniu pojechał z nami na pierwszy obóz sportowy".

Trener Felczak miał świadomość, że w roczniku Arka, 1981, pojawiło się wielu uzdolnionych siatkarzy. Mógł też zapewnić państwa Gołasiów, że zagwarantuje ich synowi rozwój. Świeżo założony MOS Wola Warszawa starał się otoczyć wszystkich zawodników jak najlepszą opieką. Trenerzy pozostawali w stałym kontakcie z rodzicami, którzy zresztą często przyjeżdżali, by przekonać się o postępach chłopców. Klub nie był zawodowy, nie mógł więc wypłacać stypendiów. Stanowiło to pewien mankament, ale tak naprawdę wówczas w Polsce może jedna albo dwie organizacje posiadały środki na wsparcie finansowe dla młodych. MOS gwarantował za to rzetelną pracę w mocnym, wyrównanym zespole. A tej Arek potrzebował najbardziej – podczas obozu sportowego w Stręgielku pokazał, że jego mocnymi stronami są doskonała motoryka i koordynacja, musiał jednak dogonić grupę pod względem siatkarskiej techniki.

„Myślę, że w tamtym momencie trener Felczak jeszcze nie widział w Arku zawodnika, który zrobi aż taką furorę, zagra w reprezentacji Polski – zastanawia się Danuta Gołaś. – Na pewno uważał go za chłopaka o sporym potencjale. Zdawał też sobie sprawę, że jego dalszy rozwój w Ostrołęce byłby niemożliwy. Rozmowy z trenerem Felczakiem przebiegały w bardzo kulturalnej atmosferze i dotyczyły spraw merytorycznych. Konfrontowaliśmy nasze argumenty. Dostaliśmy czas na podjęcie decyzji, nikt na nas nie naciskał ani nas nie poganiał. Mąż i sam Arek od początku podchodzili do tematu entuzjastycznie, ja się długo wahałam".

„Gdy Arek skończył ósmą klasę, pojechał w lipcu na trzy tygodnie nad morze z chłopakami z Warszawy – wspomina Tomasz. – Gdy wrócił, powiedział, że chce grać w stolicy. Poznał zawodników MOS-u Wola Warszawa i dał do zrozumienia, że pragnie być właśnie z nimi”.

Decydujący głos należał do Arka. „Gdyby nie chciał, nie doszłoby do tego wyjazdu – mówi pani Danuta. – Nie byliśmy rodzicami, którzy usiłowaliby spełniać własne ambicje poprzez wpływanie na decyzje syna. Najważniejsze było, żeby mógł się rozwijać. Baliśmy się o jego bezpieczeństwo, wiadomo. Czy nie wpadnie w niewłaściwe towarzystwo, jak sobie poradzi? Młodzi zawodnicy mieszkali w internacie, ale już do hali musieli dojeżdżać samodzielnie. Tak naprawdę nie wiedzieliśmy, co go czeka w tej Warszawie. Arek nigdy nie był specjalnie wylewny. Gdy przyjeżdżał do domu, zawsze podpytywałam, jak mu się żyje w stolicy. Odpowiadał tylko tyle, że bardzo dobrze”.

Wyjazd Arka do Warszawy bardzo dobrze zapamiętała siostra. „Między nami były niby tylko trzy lata różnicy, ale gdy on miał 14 lat, a ja ledwie 11, to głównie się sprzeczaliśmy, zamiast wspierać – opowiada Kasia. – Dziś pewnie byłoby inaczej. Gdy Arek wyprowadził się z domu, zaczął żyć swoim życiem, ciągle go nie było. Jeszcze w liceum przyjeżdżał do domu co weekend, później pojawiał się coraz rzadziej. Przyznaję, że byłam zazdrosna, gdy Arek wracał na weekend z Warszawy. Bo wszystko kręciło się wokół niego, mama szykowała jego ulubione jedzenie. Wtedy byłam jeszcze taka dziecinna” – śmieje się.

* * *

Wychowawca Arka przyznawał, że z kilkoma chłopakami z Ostrołęki radził sobie z trudem. Zwracał im uwagę na niewyrzucone śmieci czy bałagan w pokoju. Zazwyczaj podczas zgrupowań i obozów sportowych trenerzy toczyli z chłopakami walkę, aby w ich pokojach zapanował chociaż względny porządek. Po śniadaniu młodzi sportowcy dostawali pół godziny na doprowadzenie swoich pokoi do jakiego takiego ładu. A ponieważ w internacie Arka stosunkowo niewielkie pokoje zamieszkiwało po trzech chłopaków, bałagan potrafił osiągać monstrualne rozmiary. Tyle tylko, że nigdy nie dotyczył Arka.

Kasia wspomina, że Arek od małego lubił mieć wszystko w nienagannym porządku. To zamiłowanie do ładu zostało mu na zawsze: „Torba sportowa

Arka przeszła chyba do legendy. Chodziło o to, że utrzymywał w niej porządek, nawet gdy wracał ze zgrupowań. Wszystko było poskładane, w perfekcyjnym ładzie. Miał tak od dziecka, czym zaskakiwał nawet swojego tatę – wspomina Agnieszka Gołaś. – On po prostu musiał wiedzieć, gdzie co ma, zresztą bardzo mi to pasowało, ja też lubię ten rodzaj zorganizowania. Przed każdym wyjazdem Arek sporządzał listy, co ma zabrać, odhaczał kolejne pozycje. W tym byliśmy zgodni w stu procentach".

W Warszawie Arek radził sobie bardzo dobrze, a trener Felczak twierdzi, że wcale nie był zaskoczony jego szybkimi postępami: „Rozwijał się systematycznie, a w pewnym momencie poszedł błyskawicznie do przodu. Jeśli młody chłopak sprawnie przyswaja różne elementy gry: atak, blok i obronę, i ciągle je poprawia, rokowania są duże. Po Arku było widać, że naprawdę »ma papiery« na profesjonalne granie na wysokim poziomie. Do tego zawsze był skromny. Kiedyś powiedziałem mu półżartem, że ma się przykładać do nauki, zwłaszcza do angielskiego, i zdać maturę, bo to się przyda, gdy już trafi do ligi włoskiej. Arek zaśmiał się tylko i powiedział, że mam sobie z niego nie żartować. Wydaje mi się jednak, że choć nie dawał tego po sobie poznać, już wtedy kiełkowała w nim świadomość, iż kiedyś może się znaleźć w jednej z najmocniejszych lig na świecie".

W stolicy trafił do grupy utalentowanych, a przy tym pracowitych chłopaków. Rocznik 1981 do dziś jest uważany za jeden z najlepszych w historii MOS-u Wola Warszawa. „Goły" nigdy nie narzekał. Omijały go większe problemy, rozwijał się harmonijnie i nie dostawał od losu powodów, aby zwątpić w wybór, którego dokonał. Przeciwnie, wielkie cele rysowały się przed nim coraz wyraźniej – zaczął dostawać powołania do reprezentacji Polski kadetów. A gdy z jakiegoś powodu czuł się gorzej, mógł po prostu wsiąść w autobus i pojechać do domu. Ostrołękę od Warszawy dzieli zaledwie 120 kilometrów.

* * *

W Warszawie Arek Gołaś chodził do 39. Liceum Ogólnokształcącego im. Lotnictwa Polskiego. Reprezentacja jego ogólniaka rywalizowała w Szkolnej Lidze Siatkówki z drużynami ze stolicy i okolic. W pierwszym sezonie rozgrywek, 1994/95, liga liczyła zaledwie 12 zespołów. Rok później było ich już 36. Zmaganiom z uwagą przyglądał się trener Hubert

Jerzy Wagner. Legendarny „Kat” wierzył, że SLS przyczyni się do rozwoju siatkówki w stolicy i mocno kibicował inicjatywie. Począwszy od sezonu 1997/98 39. LO zaczęło osiągać znaczące sukcesy – wówczas „Lotnicy” zdobyli brązowy medal. Rok później wygrali całe rozgrywki. Nie brakowało im zawziętości – nawet gdy zapewnili już sobie zwycięstwo w lidze, nie odpuszczali rywalom. Gdy przyszło do pojedynku z reprezentacją 41. Liceum Ogólnokształcącego im. Joachima Lelewela, która w razie zwycięstwa zajęłaby w SLS drugie miejsce, nie zamierzali dawać rywalom forów. Trener „Lelewela” Ryszard Koziara i kapitan zespołu Rafał Zandberg wierzyli, że uda im się wygrać – jako jedyni pokonali w tamtym roku 39. LO i liczyli na powtórkę. Niestety, drużyna Gołasia miała swoje plany. Rozniosła rywali, a oprócz Arka pierwszoplanową rolę odegrał wówczas Kuba Łomacz, jego kolega z Ostrołęki, przyszły zawodnik Płomienia Sosnowiec. Warto wspomnieć, że przez SLS przewinęli się w późniejszych latach siatkarze, którzy obecnie są ważnymi postaciami w klubach PlusLigi, a nawet reprezentacji kraju – między innymi Grzegorz Łomacz, Piotr Nowakowski, Michał Żurek czy Damian Wojtaszek. Rozgrywki międzyszkolne funkcjonują zresztą do dziś.

„Szkolna Liga Siatkówki, założona przez Bronisława Orlikowskiego, to wspaniała inicjatywa – ocenia Krzysztof Felczak. – Z jednej strony pozwala się rozwijać młodym siatkarzom, którzy mogą rywalizować z najlepszymi. Z drugiej to impreza ważna dla samych szkół. Na mecze SLS przychodzą koledzy i koleżanki zawodników oraz zawodniczek, mogą zobaczyć w nich sportowców, nierzadko już odnoszących sukcesy, nawet na arenie międzynarodowej. Jako MOS Wola Warszawa nigdy nie zabraniamy naszym siatkarzom udziału w tych rozgrywkach. Rozumiemy, że chcą pokazać się znajomym, dziewczynom, a ich zwycięstwa przynoszą dumę szkołom. Arek i jego koledzy chcieli wygrywać zawsze, nieważne, kto stał po drugiej stronie siatki. To byli sportowcy z krwi i kości, których bolała każda porażka. Nie zapominajmy też, że za dobre wyniki w SLS można było dostać nagrody”.

Także w rywalizacji klubowej o mistrzostwo Warszawy zespół Arka radził sobie doskonale. Przeszli wtedy do historii, nie tracąc nawet seta w dziesięciu meczach! Dopiero jednak mistrzostwa Mazowsza i późniejsza rywalizacja na poziomie makroregionów były w tamtych czasach przepustką do walki o medale w rozgrywkach ogólnopolskich. A w kategorii kadetów drużyna Arka ograła wtedy juniorów MDK-u

Warszawa, co było nie lada wyczynem – w tym samym sezonie nawet juniorzy MOS-u Wola nie dali im rady.

* * *

Obecnie w MOS-ie trenuje około 500 dziewcząt i chłopców, głównie od czwartej klasy szkoły podstawowej, choć zdarzają się wyjątki – na zajęciach można spotkać także utalentowanych uczniów z młodszych klas, określanych pieszczotliwie mianem „rodzynków". MOS Wola wywalczył kilkadziesiąt medali, a co najważniejsze, wychował zawodników, którzy grali na poziomie PlusLigi, Orlen Ligi i reprezentacji kraju. Oprócz Arka Gołasia nie można nie przywołać choćby nazwisk Zbigniewa Bartmana, Grzegorza Łomacza, Fabiana Drzyzgi czy Jolanty Kosmol-Studziennej.

Czasem się zdarza, że wychowankowie zapominają o miejscu, z którego wypłynęli na szerokie wody. W przypadku MOS Wola to nie do pomyślenia. Wywodzący się stąd siatkarze chętnie wspierają swój dawny klub, pomagają w organizacji różnych przedsięwzięć lub po prostu odwiedzają młodych adeptów podczas treningów. Byli zawodnicy trenerów Felczaka i Zimnickiego regularnie przekazują klubowi swoje koszulki, na które powoli zaczyna brakować miejsca – gabloty z pamiątkami pękają już w szwach. Wielkie wrażenie robią pozowane zdjęcia wychowanków MOS-u, którzy właśnie zdobyli brązowy medal mistrzostw świata juniorów w Rijadzie. To Arek Gołaś i Maciek Kosmol. Obok nich można znaleźć oryginalne koszulki narodowej reprezentacji, przekazane przez Arka, Drzyzgę czy Łomacza.

Kolejne, co wyróżnia MOS na tle innych młodzieżowych drużyn, to wzorowa współpraca z klubami z zagranicy. Jednymi z pierwszych, którzy mogli posmakować gry poza naszym krajem, byli właśnie ci urodzeni w 1981 roku, czyli między innymi Arek. Ponieważ rocznik uważano za utalentowany i wiązano z nim wielkie nadzieje, trenerom zależało, żeby zawodnicy mogli zobaczyć kawałek świata. Plan był bardzo prosty: wyjazd na turniej, świetny występ, dotarcie do finału, zaproszenia na kolejne zawody. W ten sposób MOS odwiedził między innymi Berlin, Antwerpię i Paryż. Głównym ich rywalem, z którym regularnie przegrywali finały, była drużyna SCC Berlin. Grał w niej Björn Andræ, postać znana kibicom siatkówki – wielokrotny reprezentant Niemiec, który przez pewien czas występował w AZS-ie Olsztyn. Po którymś turnieju z trenerami MOS-u

skontaktowali się ludzie ze Stanów Zjednoczonych, ale tak daleki wyjazd nie był możliwy ze względów finansowych.

Choć sportowo warszawiacy radzili sobie znakomicie, na tle zachodnich drużyn prezentowali się jak ubogi krewny. Podczas turnieju w Holandii trener Felczak z niedowierzaniem patrzył, jak Belgowie wyrzucają do kosza całkiem jeszcze dobre buty Adidasa czy ASICS-a. Chłopaki z Woli daliby się pokroić za takie obuwie, graliby w nich jeszcze przez dobry rok. Teraz czasy już się zmieniły, ale wtedy nagrody takie, jak markowe dresy i koszulki, robiły na młodych polskich siatkarzach spore wrażenie.

Wyjazdem do dziś wspominanym z wielkim sentymentem były Saloniki. „Grecy odezwali się do nas któregoś razu z zaproszeniem – opowiada Krzysztof Felczak. – Zaczęliśmy się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Ktoś z rodziców wpadł na pomysł, żeby porozmawiać o naszym wyjeździe z LOT-em i załatwił dziesięć darmowych biletów, co znacznie obniżało koszty podróży. Gdy już uzyskaliśmy te wejściówki, mogliśmy zaprosić rodziców na spotkanie i przedstawić pomysł podróży. Udało się, wyszło super! Moi zawodnicy ekscytowali się zresztą każdym wyjazdem, wiele z nich wspominają do dziś. Bo swoją drogą ten 1981 to jeden z niewielu roczników, który wciąż utrzymuje ze sobą kontakt. Dwa razy spotkali się u nas w klubie, pograli sobie w siatkówkę, pooglądaliśmy filmy z czasów, gdy reprezentowali barwy MOS-u. Szkoda, że nie zachowało się nagranie z finałów mistrzostw Polski w Nysie, zdobyliśmy wtedy złoto. Ależ to były czasy… Zwykle jeździliśmy wtedy zdezelowanym autosanem, bo cięliśmy koszty wszędzie, gdzie się tylko dało. W Berlinie spaliśmy u znajomych. Utrzymywaliśmy regularne kontakty z Antwerpią, Paryżem, Kopenhagą… Często jeździliśmy na turnieje to Austrii i do Włoch. Nie wszystkie propozycje przyjmowaliśmy, bo zwyczajnie nie mogliśmy sobie pozwolić na opłaty za noclegi i tak dalej”.

* * *

Przede wszystkim jednak klub walczył na krajowym podwórku. Pierwszy medal mistrzostw Polski MOS Wola Warszawa zdobył w 1991 roku w Poznaniu. Na kolejny trzeba było czekać siedem lat. Turniejów dla młodzików wówczas nie organizowano w ogóle, więc o medale siatkarze MOS-u mogli rywalizować dopiero po wejściu w wiek juniora młodszego lub kadeta. Pierwszą wielką imprezą, w której wzięła udział drużyna Arka,

była Ogólnopolska Olimpiada Młodzieży w Poznaniu, uważana za nieoficjalne mistrzostwa Polski juniorów młodszych.

MOS rozpoczął turniej w stolicy Wielkopolski, pokonując 3:0 Chełmiec Wałbrzych. W kolejnym meczu odprawił z kwitkiem Resovię, znów nie tracąc nawet seta. Te wyniki dawały juz awans do czwórki walczącej o medale, zatem w kolejnym starciu, z Jokerem Piła, szkoleniowcy MOS-u mogli puścić w bój nominalnych rezerwowych. Porażka 2:3 nie miała żadnych konsekwencji. W półfinale ekipa z Woli mierzyła się z Bosmanem Morzem Szczecin. Warszawiacy prowadzili w setach 2:0 i grali koncertowo mimo braku jednego z liderów, Pawła Pyziaka. W trzecim secie poważnej kontuzji doznał jeden z najlepszych w tym meczu zawodników MOS-u, Jakub Korpak. Wydawało się, że może to przynieść poważne kłopoty, ale wówczas zdolności przywódcze pokazał Adam Gniadzik, który poprowadził klub do wspaniałego triumfu. Znów 3:0 i awans do wielkiego finału.

Tam na siatkarzy z Woli czekał AZS Olsztyn. Osłabiony MOS przegrał decydujące starcie 1:3. Warszawiacy spróbowali zaskoczyć rywali, przesuwając Arka Gołasia na pozycję atakującego. Niestety, manewr trenera Felczaka się nie powiódł. Świetną postawę drużyny docenili wówczas kibice, którzy po półfinale zgotowali warszawskim siatkarzom owację na stojąco. Po zakończeniu turnieju udanych indywidualnych występów pogratulował Kubie Korpakowi i Arkowi Gołasiowi Hubert Wagner.

Skład MKS-u MOS-u Wola Warszawa, wicemistrzów Polski juniorów młodszych w 1998 roku, przedstawiał się następująco: Hubert Banasiak, Adam Gniadzik, Arkadiusz Gołaś, Jakub Korpak, Maciej Kosmol, Maciej Lizińczyk, Dawid Mańkowski, Konrad Mańkowski, Michał Peciakowski, Paweł Pyziak, Filip Ryczywolski, Daniel Sadowski i Krzysztof Winiewski. Pierwszym trenerem był Krzysztof Felczak, drugim Krzysztof Zimnicki, a masażystą Krzysztof Mańkowski.

Niecały miesiąc po zdobyciu srebra część ekipy wzięła udział w rywalizacji ośmiu najlepszych polskich drużyn w kategorii juniorów starszych. Turniej rozgrywano w Pile, w dniach 10–14 czerwca 1998 roku. MOS już na starcie wyróżniał się na tle rywali – zaledwie jeden zawodnik, Robert Okuń, należał do rocznika 1979, którego przedstawiciele przeważali w składach pozostałych zespołów. Brak doświadczenia szybko dał o sobie znać. MOS rozpoczął turniej od porażki z AZS-em Yawalem Częstochowa 0:3. Potem przyszły porażki w tych samych rozmiarach z AZS-em Olsztyn

i Jokerem Piła. Warszawiacy podjęli walkę tylko z Wifamą Łódź, ale przegrali po tie-breaku. Pozostał mecz o 7. miejsce, w którym z kolei lepsza okazała się Avia Świdnik (0:3).

Rok później było już znacznie lepiej. Tym razem w kategorii juniora starszego startowali zawodnicy z roczników 1980 i 1981. W MOS-ie wiodące role odgrywali siatkarze z rocznika 1981 – Arek Gołaś, Maciej Kosmol i Jakub Korpak. Do ogólnopolskiego szczebla rozgrywek chłopcy z Woli awansowali dzięki zwycięstwu w turnieju zorganizowanym w Świdniku. Finały rozegrano w Bielsku-Białej.

Na początek MOS wziął rewanż na Jokerze, zwyciężając 3:0. W kolejnym meczu podobne lanie dostał odwieczny rywal, AZS Olsztyn – a warto zauważyć, że występowali w nim wówczas między innymi Łukasz Kadziewicz, Wojciech Grzyb, Marcin Mierzejewski czy Paweł Siezieniewski. Mając już zapewniony awans, kolejny mecz MOS rozegrał głównie rezerwami – co nie przeszkodziło pokonać 3:1 Górnika Radlin i z pierwszego miejsca awansować do fazy pucharowej. W półfinale Wifama Łódź nie ugrała przeciwko warszawiakom nawet seta.

W finale starły się dwie dotąd niepokonane ekipy – MOS Wola Warszawa i BBTS Bielsko-Biała. Niesieni dopingiem prawie półtora tysiąca widzów gospodarze zwyciężyli 3:0. Młodzi siatkarze trenerów Felczaka i Zimnickiego wzbogacili się zatem o kolejne srebrne medale. Porażka z BBTS-em nie przynosiła ujmy – drużyna, której filarami byli między innymi Grzegorz Pilarz, Jakub Oczko czy Wojciech Gradowski, od trzech lat nie miała w Polsce konkurencji.

O ile gospodarze byli wówczas niepokonani, MOS zdecydowanie przerastał pozostałe drużyny. Zdobywając srebro, Gołaś z kolegami w stu procentach zrealizowali poczynione przed turniejem założenia. Od początku było jasne, że BBTS to ogromnie trudny rywal. Warto wspomnieć, że turniej w Bielsku-Białej zorganizowano na rewelacyjnym poziomie. Atmosfera na trybunach i oprawa całej imprezy udowadniały, że organizatorzy wyprzedzili swoje czasy. Obiekt był znakomicie przygotowany, a transmisję ze spotkania finałowego pokazała telewizja z Katowic. Nagrody dla najlepszych drużyn i zawodników wręczała ówczesna Miss Podbeskidzia.

* * *

W kolejnym roku MOS był jednym z głównych faworytów mistrzostw, obok między innymi AZS-u Olsztyn. „Zarówno AZS Olsztyn, jak i my byliśmy tylko zwykłymi ludźmi – mówi Krzysztof Felczak, wspominając kolejny turniej, w 2000 roku rozgrywany w Nysie. – Mogliśmy przegrać przez jakąś błahostkę. W naszym przypadku stało się tak na inaugurację mistrzostw, z Bosmanem Morzem. Ekipa ze Szczecina miała swoje atuty, ich młodsi zawodnicy dość niespodziewanie dla nas »odpalili«. To był kubeł zimnej wody na rozgrzane głowy. Wszyscy przekonaliśmy się, że nie możemy się skupiać na finale, tylko na tym, żeby się do niego dostać”.

Margines błędu się skurczył, w dodatku kolejnym rywalem był odwieczny „wróg” z Olsztyna. Arek Gołaś i spółka zagrali kapitalne spotkanie. Od początku zaatakowali z niesamowitym zacięciem, czego symbolem stała się jedna z fotografii, na której Arek dosłownie przeskakuje rywali – nikt z nich nie był w stanie wybić się tak wysoko! AZS Olsztyn przegrał do zera, a sytuacja w turnieju stała się bardzo ciekawa – każda drużyna w grupie miała po jednym zwycięstwie i jednej porażce, więc przed ostatnią serią spotkań nie było mowy o kalkulacjach. W tych okolicznościach doszło do derbów Warszawy, rozstrzygniętych na korzyść MOS-u, który pokonał MDK 3:0.

Na półfinałowe starcie trenerzy oczekiwali z niepokojem. Przeciwnikiem mieli być gospodarze z Nysy, którym mogły pomagać „ściany”, a w dodatku z dużym zmęczeniem zmagał się podstawowy atakujący MOS-u, Konrad Mańkowski. Trener Felczak długo się zastanawiał, czy go oszczędzać, aby mógł zagrać w ewentualnym finale, czy zaryzykować i ewentualnie później rozważać, kim zastąpić jednego z liderów. Zdecydował się na drugi wariant i na pewno nie żałował – MOS Wola Warszawa pozwolił gospodarzom z Nysy wygrać tylko jednego seta.

W finale doszło do kolejnego spotkania z AZS-em Olsztyn. „Prowadziliśmy w setach 2:0 –wspomina trener Felczak. – Przegraliśmy trzecią partię, a w czwartej zaczęło się już robić bardzo nieprzyjemnie. Poszliśmy na całość. Zdjąłem z boiska Konrada Mańkowskiego, w jego miejsce wszedł Paweł Pyziak. Przegrywaliśmy 19:22, a on wyciągnął nam wynik! Przy stanie 26:25 piłkę meczową miał na ręku Maciek Kosmol i nie zawiódł. Wygraliśmy 27:25, a cały mecz 3:1”.

Mistrzami Polski juniorów starszych w sezonie 1999/2000 zostali: Michał Drewniak, Adam Falkowski, Adam Gniadzik, Arkadiusz Gołaś, Jakub Korpak, Maciej Kosmol, Dawid Mańkowski, Konrad Mańkowski,

Michał Peciakowski, Paweł Pyziak, Filip Ryczywolski, Kamil Słupski, Krzysztof Winiewski i Konrad Woroniecki. Zespół prowadził duet trenerski: Krzysztof Felczak i Krzysztof Zimnicki.

„Po meczu zatrzymaliśmy się w restauracji – kontynuuje trener. – Dzisiaj pewnie nie byłoby o tym mowy, ale wtedy postawiliśmy chłopakom szampana. Potem mieliśmy wewnątrzklubowe spotkanie, na którym podziękowaliśmy zawodnikom za sukces. W nagrodę zorganizowaliśmy im wyjazdy zagraniczne, do Bawarii i Włoch. Oba doszły do skutku, ale z powodu konfliktu terminów nie mogli na nie pojechać młodzieżowi reprezentanci kraju ani siatkarze, którzy podpisali zawodowe kontrakty z klubami Serii A i Serii B (tak nazywały się wówczas dwie najwyższe klasy rozgrywkowe w Polsce – przyp. autora)”.

* * *

Sukces siatkarzy MOS-u odbił się szerokim echem w lokalnych i ogólnopolskich mediach. „Gazeta Wyborcza” pisała o „Asach Pyziaka”, „Przegląd Sportowy” – o „Złotych chłopcach z Rogalińskiej”, „Super Express” – o „Złotej odtrutce siatkarzy z Woli”, a „Życie Warszawy” obwieściło, że „MKS MOS Wola wreszcie znalazł się na najwyższym stopniu podium”.

Sukces, na który złoci medaliści z Woli pracowali od kilku lat, okazał się tym cenniejszy, że ułatwił młodym siatkarzom zawarcie profesjonalnych kontraktów. Trenerów MOS-u dosłownie oblegali działacze pierwszoligowych zespołów, którzy chcieli pozyskać najzdolniejszych juniorów w kraju. Jednego z siatkarzy wysłannicy z Częstochowy oglądali już od dłuższego czasu. W końcu prezes AZS-u Częstochowa, Andrzej Gołaszewski, wybrał się w podróż do Spały i usiadł przy stole z rodzicami oraz z Arkiem…

Z pozyskaniem Arka do AZS-u wiąże się pewna anegdota. Prezes Gołaszewski pojawił się na meczach Ligi Światowej w Katowicach i poszedł na obiad z prezesami Mostostalu, Kazimierzem Pietrzykiem, i Morza Szczecin, Januszem Kamińskim. W pewnym momencie przyjechał Leon Bartman i powiedział: „Panowie prezesi siedzą przy stole i smacznie sobie jedzą, podczas gdy w Cetniewie nasi młodzi chłopcy wywalczyli awans na mistrzostwa świata kadetów, które będą rozgrywane w Arabii Saudyjskiej. Zamiast ich oglądać, wy się objadacie!”.

Prezes Gołaszewski puścił oko Leonowi i poprosił o rozmowę na osobności. Bartman opowiedział, że w tej grupie wiekowej jest trzech ciekawych chłopaków. Michała Bąkiewicza AZS obserwował już wcześniej. Ale ponoć fajne mecze rozgrywał też Kuba Oczko, a poza nim wyróżniał się jeszcze Arek Gołaś. Z tym ostatnim był kłopot, bo prezes Gołaszewski wcześniej dogadał się już z Wojtkiem Grzybem, odwiedził go nawet w domu, rozmawiał z rodzicami. Ale Leon przekonywał, że Arek jest fenomenalny, choć może brakuje mu jeszcze trochę techniki.

„Szybko wziąłem telefon i zadzwoniłem do Edka Sroki, który był trenerem tej grupy w Szkole Mistrzostwa Sportowego – relacjonuje Gołaszewski. – Dopytałem, czy nazajutrz będą w szkole rodzice, bo na ten dzień akurat zaplanowano zakończenie roku. Gdy otrzymałem potwierdzenie, nic nikomu nie powiedziałem, obejrzałem jeszcze z kolegami prezesami mecz Ligi Światowej, a wieczorem wsiadłem w samochód i pojechałem do domu, do Częstochowy. Wydrukowałem czyste umowy i rankiem następnego dnia pognałem do Spały. Po zakończeniu roku umówiliśmy się z całą czwórką, oczywiście także z ich rodzicami. Budując zespół, zwykle zaczynałem od rozgrywającego. Usiedliśmy więc z Kubą, który miał być następcą Irka Kłosa. Porozmawialiśmy normalnie, otwarcie, bo wtedy jeszcze nie było menedżerów. Zasugerowałem czteroletni kontrakt, by chłopaki skończyli studia, by mogli się w Częstochowie rozwijać. Kuba podpisał jako pierwszy, potem Michał. No i w końcu zapytałem ich, co mam zrobić ze środkowymi. Kuba Oczko powiedział, że jeśli prezes chce środkowego na już, to niech bierze Wojtka. A jeśli może poczekać na eksplozję talentu, to Arka. No i ostatecznie wzięliśmy Gołasia, bo Wojtek nie chciał być czwartym czy piątym środkowym. Grzyb został w Olsztynie, bo tam miał dostać szansę na regularną grę. Spotkałem się z rodzicami Arka i tak w 2000 roku podpisaliśmy umowę na cztery lata” – dodaje.

Potem Gołaszewski spokojnie pojechał na kolejny mecz „światówki” do Katowic. Panowie siedzieli w loży i znów zajrzał do nich Leon Bartman. Śmiejąc się, powiedział: „Wy tu sobie siedzicie, a »Goły« był w Spale i wykupił pół drużyny z pierwszej szóstki”.

„Gościom szczęki opadły, nie mogli uwierzyć – triumfował Gołaszewski. – »Przecież ty byłeś tu z nami jeszcze wieczorem, kiedy zdążyłeś?!« »Rano, kolego, pojechałem«. Oni też tych chłopaków chcieli, tylko ja jeden się pospieszyłem. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”.

ROZDZIAŁ 4

DZIĘKI SPALE SĄ MEDALE

W MOS-ie Wola Arek rozwijał się harmonijnie, lecz jego talent potrzebował kolejnych bodźców. Świetne występy i spory potencjał szybko zostały dostrzeżone. Ireneusz Mazur, trener między innymi mistrzów świata juniorów przychodził na mecze MOS-u, a także treningi, i bardzo szybko dostrzegł diament w drużynie trenera Felczaka.

„To był chłopak, który od pierwszej chwili zauroczył mnie swoją lekkością – wspomina były selekcjoner, obecnie ekspert Polsatu Sport. – Już jako młodziutki gracz skakał wyżej, niż potrafił uderzyć. Krzysiek Felczak doskonale wiedział, kto trafił do jego drużyny. Arek unosił się z niebywałą łatwością, ale na początku ten olbrzymi zasięg chyba mu nawet przeszkadzał. Trudno znaleźć podobnego gracza, bo bardzo rzadko się zdarza, by środkowi dysponowali taką skocznością. Miał przez to taki problem, że często dostawał piłką w twarz, co z kolei powodowało, że zamykał oczy, skacząc do bloku. Pamiętam, że pracowaliśmy z Arkiem, by nauczył się lepiej wykorzystywać swoje atuty, sporo czasu poświęcaliśmy na to, by poprawić element bloku. Jeśli porównać go z Mariuszem Wlazłym, który skakał niczym sprężyna, miał dynamit w nogach, to Arek raczej sprawiał wrażenie, jakby się unosił w obłokach. Nie było wiadomo, jak to w ogóle możliwe”.

Arek znajdował się pod stałą obserwacją i w końcu zapracował na powołanie do młodzieżowej reprezentacji Polski. Trener Mazur przekonał także ówczesnego szkoleniowca kadry, Edwarda Srokę, że Arek powinien trafić do miejsca, gdzie młodzi, bardzo zdolni siatkarze mają szansę maksymalnie rozwinąć swój talent. Chodziło o spalską Szkołę Mistrzostwa Sportowego, w której uczyli się tacy gracze, jak przyszli mistrzowie świata: Michał Winiarski, Fabian Drzyzga, Mateusz Mika, Paweł Zatorski czy Marcin Możdżonek.

Założona w 1995 roku Szkoła Mistrzostwa Sportowego, w której obiektach najczęściej trenuje siatkarska reprezentacja Polski, początkowo znajdowała się w Rzeszowie, a cztery lata później przeniesiono ją do Spały. Trafiała tam większość najzdolniejszych siatkarzy z całego kraju. Ambicją szkoły było wychowywanie przyszłych reprezentantów Polski.

Do juniorskiej kadry, prowadzonej wówczas przez trenera Srokę, Gołaś trafił dopiero w drugiej klasie liceum, razem z Jakubem Oczko. Choć wraz z Kubą dołączyli do reprezentacji nieco później, bardzo szybko się w niej zaaklimatyzowali. Obowiązki szczelnie wypełniały każdy dzień młodych siatkarzy. Od ósmej rano dwie lekcje, po nich pierwszy trening. Uczniowie SMS-u trenowali w hali, specjalnie dla nich podzielonej na trzy sektory. W jednym rozłożono matę zapaśniczą, w drugim akrobatyczną, a trzeci służył do ćwiczeń siatkarskich. Dwa razy w tygodniu wykonywali treningi ogólnorozwojowe na macie akrobatycznej, a raz w tygodniu poznawali podstawy zapasów. Zdaniem trenerów te ostatnie w pewnym stopniu zastępowały zajęcia w szkolnej siłowni, wówczas pomieszczeniu o raczej spartańskich warunkach. Po porannych treningach uczniowie wracali na lekcje i szlifowali języki – polski, angielski czy rosyjski. Po obiedzie przychodził czas na krótki odpoczynek, następnie znowu dwie lekcje, a wieczorem kolejne zajęcia sportowe.

Chłopcy spędzali ze sobą bardzo dużo czasu. Gdy któryś chciał porozmawiać z rodzicami, schodził do recepcji. Z powodu napiętego harmonogramu i czysto technologicznych ograniczeń (z zasięgiem rzadkich jeszcze wtedy komórek bywało różnie) uczniowie zwykle kontaktowali się z bliskimi raz w tygodniu.

Podczas pobytu w Szkole Mistrzostwa Sportowego wszystkim zdarzały się oczywiście chwile słabości, ale każdy liczył, że godziny spędzone na parkiecie prędzej czy później zaprocentują. Treningi z najlepszymi chłopakami z całego kraju pozwalały szybciej podnosić umiejętności. Oczywiście droga do wielkiej kariery nie zawsze prowadziła przez SMS, ale chłopakom ćwiczącym w Spale na pewno łatwiej było dostać się do poważnej siatkówki. Co nie znaczy jednak, że nie sprawiało im kłopotów łączenie intensywnych treningów z nauką.

„W okresie dojrzewania robi się niemądre rzeczy – przyznaje Jakub Oczko, podstawowy rozgrywający kadr młodzieżowych, który jednak do dorosłej reprezentacji się nie przebił. – W Spale nie roi się może od klubów i dyskotek, ale dla nas nie stanowiło to wielkiego problemu. Pełne nieszablonowych pomysłów głowy zawsze znajdą jakiś sposób na intensywne spędzenie wolnego czasu! Nie byliśmy święci, wycinaliśmy różne numery. Wypijało się piwo, czy kilka, i wracało przez płot. Kilku z nas zdarzyło się na nim zawisnąć i trzeba było kombinować, jak nieszczęśników ściągnąć, żeby nikt nie zauważył. Zawsze trzymaliśmy się

razem, wychodziliśmy w grupie i w grupie wracaliśmy. Nawet jeśli ktoś, powiedzmy, zmęczył się tak, że nie mógł iść o własnych siłach, to w kilku ciągnęliśmy go do ośrodka. Bywało, że zdzierały się przy okazji buty albo gubiły klapki".

Z takimi pomysłami musieli radzić sobie trenerzy i wychowawcy. Ze szczególnym uwzględnieniem najważniejszego z nich – Edwarda Sroki. To on kształtował tych chłopaków. Być może bez jego nadzoru kariery Arkadiusza Gołasia, Wojciecha Grzyba i spółki nie nabrałaby takiego rozpędu. Zapanowanie nad grupą nastolatków, nawet jeśli ambitnych i zdeterminowanych, nie było takie proste. Trenerzy musieli wiedzieć, kiedy „skracać smycz", a kiedy dać im więcej swobody. Znajdujących się daleko od domów 15- czy 16-latków trzeba było uczyć nie tylko tajników gry w siatkówkę, lecz także podstawowych rzeczy, choćby dbania o porządek.

Wzorowano się na doświadczeniu z rocznikiem 1977 – grupą, w skład której wchodzili między innymi Dawid Murek czy Sebastian Świderski, pod okiem Ireneusza Mazura zdobywający medale na największych imprezach. Zaszczepienie rocznikowi 1981 tej samej sumienności i dokładności stało się jednym z nadrzędnych celów kadry szkoleniowej.

„Arek był wspaniałym młodym człowiekiem, który wszystko chłonął – opowiada trener Mazur. – A na dodatek większość sportowych umiejętności przychodziła mu z taką wrodzoną łatwością. Nawet jeśli miał jakiekolwiek mankamenty techniczne, to znikały one, gdy tylko wyskoczył. Od razu każdemu uśmiechała się buzia. Co do jego zachowania, to nigdy nie stwarzał problemów wychowawczych, był niezwykle poukładanym człowiekiem. Bardzo miły i sympatyczny chłopak. Ja wiem, że po czasie o każdym mówi się tylko w superlatywach, lecz w jego przypadku naprawdę dostrzegałem same plusy".

Na marginesie warto wspomnieć, że nadanie biegu karierom Arka Gołasia i Kuby Oczko, którzy w 2000 roku trafili do AZS-u Częstochowa, było jednocześnie początkiem końca przygody Sroki z SMS-em. Już rok później podziękowano zarówno jemu, jak i Ireneuszowi Mazurowi. Tak czy inaczej, szkoleniowca trzeba uznać za jednego z najważniejszych architektów późniejszych sukcesów Arka Gołasia – obok Remisława Dmochowskiego i Krzysztofa Felczaka.

* * *

Gdy reprezentacyjne szlify zbierał rocznik 1981, zaopatrzenie kadry młodzieżowców w sprzęt stało na poziomie, który można określić jako „przyzwoity” – choć daleko mu jeszcze było do obecnego, kiedy każdy przybywający zawodnik dostaje starannie przygotowaną walizkę, w której znajdzie wszystko, czego potrzebuje. Nie zdarzały się już znane z wcześniejszych lat przypadki, gdy młodzi siatkarze otrzymywali stroje „w spadku” po starszych rocznikach i przez cały pobyt w SMS-ie mieli do dyspozycji tylko jeden komplet. Choć bez rozczarowań i tak się nie obywało. Pierwsze koszulki reprezentacji Polski, jakie dostali Arek i koledzy, nie miały nadrukowanych nazwisk. Sprawiło to spory zawód młodym siatkarzom – każdy marzył o sprzęcie kadry z przydzielonym numerem, ale przede wszystkim z własnym nazwiskiem. Takich doczekali się dopiero podczas mistrzostw Europy kadetów, które odbywały się w naszym kraju. Nie mogli się wówczas nacieszyć nowymi koszulkami, przymierzali je wielokrotnie i z dumą paradowali po hotelu. Dla młodych zawodników, dopiero rozpoczynających poważną przygodę ze sportem, była to jedna z najważniejszych chwil w życiu.

Wspomniane mistrzostwa, rozgrywane w Polsce w 1999 roku, stały się dla Arka pierwszą dużą imprezą. Naszą reprezentację umieszczano w gronie faworytów. W turnieju brało wówczas udział osiem zespołów, podzielonych na dwie grupy. Zgodnie z oczekiwaniami Polacy ukończyli fazę grupową z kompletem zwycięstw, pokonując Słowację, Ukrainę i piekielnie mocną Rosję. Niestety rozbudzone tymi wynikami apetyty nie zostały w pełni zaspokojone. Mimo dopingu szczelnie wypełnionych trybun nasi reprezentanci ulegli w półfinale Niemcom. Również w meczu o brąz Gołaś i koledzy zawiedli, dając się ograć Czechom.

Polacy traktowali ten turniej bardzo poważnie, o czym świadczy przykład Kuby Oczko. Tuż przed mistrzostwami, podczas zgrupowania, doznał kontuzji śródstopia i uszkodził kości. Ponieważ należał do wiodących postaci w drużynie, zrobiono wszystko, aby doprowadzić go do „stanu używalności”. W efekcie utalentowany rozgrywający przystąpił do gry z marszu, praktycznie bez żadnych przygotowań. A młodzieżowe mistrzostwa Europy to bardzo wymagający turniej – mecze rozgrywa się dzień po dniu, nie ma czasu na regenerację. Przed spotkaniem o brąz ogólne osłabienie było już tak silne, że Oczko dostał silnego krwotoku z nosa – jego organizm odmówił posłuszeństwa. Niepocieszony, nie mógł wesprzeć kolegów przeciwko Czechom.

Co nie powiodło się w Gdańsku, udało się w Rijadzie. Kilka miesięcy później w stolicy Arabii Saudyjskiej rozegrano mistrzostwa świata kadetów. Oprócz dobrze znanych Rosjan, którzy ostatecznie triumfowali w rozgrywanych na polskiej ziemi mistrzostwach Europy, nasi reprezentanci trafili w grupie także na Algierię i Tunezję. Wśród faworytów całego turnieju wymieniano wówczas przede wszystkim Rosję, ale też Brazylię i Wenezuelę.

Polacy rozpoczęli od meczów z afrykańskimi rywalami, którzy nie zawiesili im poprzeczki zbyt wysoko – ani Algierczycy, ani Tunezyjczycy nie ugrali przeciwko nam choćby seta. W meczu z Rosją nie było już tak przyjemnie, ale trudno też powiedzieć, żeby Sborna sprawiła Polsce lanie – przegraliśmy 1:3, lecz w każdym secie nasi reprezentanci toczyli z rywalami wyrównaną walkę. Do dalszych gier Polacy awansowali z drugiego miejsca w grupie. W fazie play-off odprawili Chińczyków 3:1, dzięki czemu w ćwierćfinale mogli zmierzyć się z wielką Brazylią. I Canarinhos potrafili wygrać z Polską tylko jednego seta! Niestety w półfinale to Arek Gołaś i jego koledzy musieli uznać wyższość Wenezueli, przegrywając 0:3. W meczu o trzecie miejsce udało się pokonać gospodarzy, Arabię Saudyjską, 3:2.

Warto wspomnieć, że Saudyjczycy na turniej kadetów wystawili… dorosłych mężczyzn. Dziwnym trafem wszyscy ich zawodnicy mieli wpisany w paszport dokładnie ten sam dzień urodzenia: 30 września 1981 roku. Na trybunach, obok mieszkańców Rijadu, oficjeli i zagranicznych gości, siedziały żony rzekomych kadetów, z dziećmi na kolanach…

Mistrzostwa wykreowały kilku bohaterów, wśród których wyróżniano zwłaszcza trio: Rosjanin Siemion Połtawski, Wenezuelczyk Ernardo Gómez i Polak Arkadiusz Gołaś. Czyli reprezentanci krajów, które obsadziły turniejowe podium.

Wyjazd do tak egzotycznego kraju jak Arabia Saudyjska był dla młodych Polaków niesamowitym doświadczeniem, wówczas zapewne przygodą życia. Z powodu ekstremalnych upałów zawodnicy właściwie nie opuszczali klimatyzowanych wnętrz, aby nie ryzykować osłabienia organizmów. Kilka razy udało się zorganizować wyprawy do centrum handlowego, zajrzeć na miejskie targowisko i to właściwie tyle, jeśli chodzi o egzotyczne atrakcje. No, z pewnością w ich pamięci pozostał też pełen przepychu hotel i… eskorta policji. Gdy przemieszczali się między swoimi

pokojami a obiektami sportowymi, zwykle towarzyszyły im policyjne radiowozy. O ile zazwyczaj siatkarze przywozili z zagranicznych wyjazdów liczne pamiątki, z Arabii Saudyjskiej wielu wróciło tylko z jedną, ale za to bezcenną – medalem wywalczonym na parkiecie hali w Rijadzie.

Kuba Oczko wspomina: „Podczas jednej z wizyt na miejskim targowisku pan przewodnik powiedział, że niecały tydzień temu jednemu człowiekowi obcięto dłoń, a innemu palce za kradzież. Popatrzyliśmy po sobie, ogarnęła nas konsternacja. Nie wiedzieliśmy, jak się zachować. Czy to jakaś groźba, przestroga, czy może coś innego? Gdy przewodnik dodał, że stoimy w miejscu niedawnej egzekucji, zupełnie odechciało się nam zakupów".

„Nie mieliśmy obaw związanych z tym wyjazdem – twierdzi Tomasz Gołaś. – Wcześniej syn wielokrotnie jeździł za granicę, co prawda nie w tak egzotyczne miejsca, ale wiedzieliśmy też, że wyrusza z reprezentacją i wszystko będzie miał zapewnione, więc nie musieliśmy się o niego bać. Szkoda tylko, że do kraju nie docierało zbyt wiele informacji o tym turnieju. W Telewizji Polskiej pojawiła się krótka przebitka, gdy chłopaki wywalczyli brązowy medal, ale nie pamiętam, czy można było zobaczyć zdjęcie drużyny, która w swojej kategorii wiekowej zajęła przecież trzecie miejsce na świecie".

Odniesiony w Arabii Saudyjskiej sukces pozwolił Arkowi jeszcze mocniej uwierzyć we własne możliwości. O tym, że należy wysoko cenić ten brąz, niech zaświadczy fakt, że na mistrzostwach świata młodzieżowa reprezentacja Polski nie zdobyła medalu nigdy wcześniej, a na kolejny przyszło czekać aż 14 lat – drużyna kadetów znów zajęła trzecie miejsce w tym turnieju dopiero w 2013 roku. Dwa lata później udało się wywalczyć historyczne złoto.

A tak wyglądał skład reprezentacji Polski juniorów, która w Arabii Saudyjskiej stanęła na podium: Michał Bąkiewicz, Arkadiusz Gołaś, Krzysztof Grzesiowski, Wojciech Grzyb, Grzegorz Kokociński, Maciej Kosmol, Jacek Malczewski, Marcin Olichwer, Jakub Oczko, Grzegorz Pasławski i Michał Uliński. Pierwszym trenerem był Edward Sroka, drugim – Wojciech Kasza, masażystą – Siergiej Wiekluk, a kierownikiem zespołu – Leon Bartman.

* * *

Nagrodę za ciężką kilkuletnią pracę stanowiły dla Arka Gołasia, Michała Bąkiewicza i Kuby Oczko zawodowe kontrakty z AZS-em Częstochowa. Zanim jednak doszło do ich podpisania, trzeba było jeszcze zdać maturę.

„Każdy z nas miał świadomość, że to nie jest kartkówka czy kolejny sprawdzian – wspomina Wojciech Grzyb, środkowy z reprezentacyjną karierą, wicemistrz świata z 2006 roku. – Nasza klasa raczej nie miała problemów z nauką i wszyscy zdaliśmy maturę bez najmniejszego problemu. Pamiętam, że ze Spały zabrał nas do Tomaszowa Mazowieckiego specjalny bus, musieliśmy się ubrać w garnitury. Było nam o tyle łatwiej, że pisaliśmy w naszym wąskim gronie, w jednej z klas, a nie jak cała szkoła w sali gimnastycznej. Zatem atmosfera i cała ta otoczka wokół egzaminu nie doskwierały nam tak bardzo. Z kolei do ustnych egzaminów podeszliśmy w Spale. I z tego, co pamiętam, nie tylko nikt z nas nie miał problemów ze zdaniem matury, ale każdy z nas dostał dobre stopnie”.

Po rozdaniu świadectw maturalnych na wspomnianą wcześniej trójkę czekało przedstawicielstwo klubu spod Jasnej Góry. Prezes Andrzej Gołaszewski miał już gotowe umowy. Warto pamiętać, że na początku XXI wieku w Polsce liczyły się dwie siatkarskie drużyny: AZS Częstochowa i Mostostal Azoty Kędzierzyn-Koźle. Dla młodych zawodników, dopiero zaczynających zawodową karierę, możliwość gry w którymkolwiek z tych klubów oznaczała spełnienie marzeń.

* * *

Przygodę Arka w kadrach młodzieżowych wieńczyły mistrzostwa świata, rozegrane między 11 a 19 sierpnia 2001 roku we Wrocławiu i Opolu. Cztery lata wcześniej w MŚ juniorów w Bahrajnie polscy siatkarze wywalczyli złoto, a filarami tamtej drużyny byli między innymi Piotr Gruszka, Paweł Papke, Marcin Prus i Sebastian Świderski. W 1991 roku w tajlandzkim Ubon Ratchathani młodzi Polacy zawiedli, zajmując odległą, dziewiątą pozycję. Rok 2001 miał przynieść przełom i powrót na medalową ścieżkę, tym bardziej że do turnieju przystępowaliśmy jako gospodarze.

Przed rozpoczęciem imprezy trener Sroka uważał, że jego zespół jest w stanie wygrać z każdym i sięgnąć po medal. Jedną z centralnych postaci drużyny, siatkarzem, któremu przyglądano się ze szczególną uwagą, był Arek, mający już wówczas za sobą debiut w seniorskiej reprezentacji.

Przed mistrzostwami rozegrano mecze sparingowe, których wyniki napawały optymizmem. Gołaś i spółka odprawili z kwitkiem między innymi Słowację, Rosję i Wenezuelę. Wśród faworytów turnieju widziano broniących tytułu Rosjan, ale też Włochów, Brazylijczyków czy Wenezuelczyków dowodzonych przez niesamowitego Ernardo Gómeza. No i Polaków, jako gospodarzy. W fazie grupowej nasza drużyna mierzyła się z Francją, Chinami i Słowacją. Dwa zwycięstwa oraz porażka pozwoliły awansować z drugiego miejsca. Niestety im dalej w las, tym było gorzej. Polacy ostatecznie zajęli dziewiąte miejsce, co uznano za klęskę. Triumfatorami okazali się Brazylijczycy, którzy w finale pokonali Rosjan. Trzecie miejsce przypadło Wenezuelczykom.

Trener Sroka był rozczarowany wynikiem, ale starał się też szukać pozytywów. Za sukces uważał już choćby samo przygotowanie do „dorosłej” siatkówki całego grona świetnych zawodników, z Michałem Bąkiewiczem i Arkiem Gołasiem na czele. Zresztą w dolnośląskim turnieju wzięło udział wielu siatkarzy, którzy później urośli do rangi gwiazd tego sportu. Brazylię do zwycięstwa poprowadził przyjmujący Murilo Endres. W ekipie Włoch, która zajęła czwarte miejsce, występowali Michał Łasko i Cristian Savani. Francja nie zrobiła furory, ale jej lider Guillaume Samica zaprezentował się znakomicie. W siatkówce następowała właśnie wymiana pokoleń – na parkiety wchodziła nowa, zdolna generacja.

Z kadry, która rozczarowała kibiców podczas mistrzostw świata w 2001 roku, w seniorskiej siatkówce zaistnieli na poważnie obok Arka Gołasia chyba tylko Wojciech Grzyb, Grzegorz Kokociński, Jakub Oczko, Paweł Siezieniewski i Michał Winiarski. Nie każdy został etatowym reprezentantem Polski czy choćby czołową ligową gwiazdą na swojej pozycji – wszyscy mieli jednak swoje wielkie momenty i trafiali na pierwsze strony gazet.

ROZDZIAŁ 5

PRZYJAŹŃ “IGŁĄ” SZYTA

Arek z Krzyśkiem Ignaczakiem poznali się w 1996 roku. „Igła” był już wtedy graczem ligowym, Gołaś – zaledwie zdolnym juniorem. Ich przyjaźń rozkwitła na dobre w Częstochowie, gdy razem występowali w barwach AZS-u.

Jak opowiada Agnieszka Gołaś, byli niczym papużki nierozłączki. Zatraceni we własnym świecie, szczególnie gdy siadali przed komputerem. Agnieszka doskonale pamięta sytuację, gdy „Igła” się wściekł, bo dziewczyny oderwały ich od ulubionej gry – *Heroes of Might and Magic III*. Krzysiek był wkurzony, a one chciały się tylko pochwalić, że Iwona zaszła w ciążę…

Arek i Krzysiek spędzali ze sobą mnóstwo czasu, choć jak trafnie zauważało wielu obserwatorów, czasem wydawało się, że różnią się od siebie niczym czarne i białe. „Igła” zawsze zachowywał się głośno, Arek był z natury powściągliwy. I chyba tylko on potrafił aż tak wyciszyć Krzyśka. Obu utalentowanych siatkarzy połączyła wyjątkowa przyjaźń. „Arek był powiernikiem wszystkich moich tajemnic. Zabrakło go i o wielu rzeczach nie mam z kim porozmawiać. Mam moją ukochaną Iwonę, oczywiście. Ale są tematy, których ona nie zrozumie. Arek rozumiał mnie zawsze” – dodaje mistrz świata, który w poniższym wywiadzie opowiada o swoim najlepszym przyjacielu.

Jak się poznaliście z Arkiem? Jakie pierwsze wrażenie na tobie zrobił?

Mój pierwszy kontakt z Arkiem miał miejsce w 1996 roku, gdy trafiłem do pokoju, w którym „Goły” mieszkał z Kubą Oczko. Byłem wtedy siatkarzem z najwyższej klasy rozgrywkowej, miałem już wyrobioną markę. Spotkałem późniejszych reprezentantów Polski, przyszłe gwiazdy polskiej siatkówki, ale wtedy to byli skromni chłopcy, którzy patrzyli na mnie z dużym szacunkiem. Ważne było, żeby przełamać lody, więc to ja pierwszy rzuciłem kilka dowcipów. Myślę, że szybko znaleźliśmy z Arkiem nić porozumienia. Początkowo on i Kuba wyglądali na nieco przestraszonych, że to akurat mnie umieszczono z nimi w pokoju. Trafiłem

tam tylko na dwa tygodnie, na specjalne zgrupowanie, w trakcie którego miałem się zachowywać jak normalny uczeń Szkoły Mistrzostwa Sportowego. Delikatnie mówiąc, nie bardzo mi to pasowało, więc opuszczałem lekcje i koncentrowałem się na treningach. Raczej nie dawałem dobrego przykładu… Cały czas patrzyli na mnie wielkimi oczami, ale jak mówiłem, szybko nawiązaliśmy dobry kontakt. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że właśnie poznałem najlepszego przyjaciela! Traktowałem Arka i Kubę jak fajnych chłopaków, którzy dzielą tę samą pasję, kochają siatkówkę. Podziwiałem ich za poddanie się rygorowi życia zawodowego sportowca, za stuprocentowe poświęcenie. Nauka w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Spale oznaczała dla młodych ludzi olbrzymie wyrzeczenia. Wybierali swego rodzaju celibat. Koniec spotkań z rówieśnikami, normalnej codzienności nastolatka. W zamian – katorżnicza praca, tysiące treningów lub kolejne nudne zajęcia w szkole. Arek nie miał czasu na głupoty, o których myśleli jego rówieśnicy, ganiający między jednym osiedlem a drugim.

Coś się rzucało w oczy przy pierwszym kontakcie?

Porządek! Kuba z Arkiem mieli w pokoju jedno duże, luźne łóżko. „Goły” starał się pilnować porządku, to on odgrywał rolę stróża. Oczywiście nie było mowy o sterylnej czystości, ale to w pobliżu Arka było zdecydowanie najczyściej. Wszystko leżało poukładane i wiadomo było, gdzie czego szukać. Ja z kolei zawsze miałem wokół siebie kompletny chaos i bałagan. Później, gdy mieszkaliśmy razem, nie raz, nie dwa Arek rzucał mi na ten temat kilka cierpkich słów. „»Igła«, posprzątaj po sobie!” Stawał nade mną zdenerwowany, gdy odpoczywałem, wyczerpany kolejnym treningiem. „Wal się!” – mówiłem z uśmiechem. „Nie to nie” – odpowiadał z poważną miną, po czym po prostu brał tą swoją długą nogą zamach i wszystko, co leżało po jego stronie, przelatywało na moją część pokoju.

Czyli nie zawsze było wspaniale?

Z Arkiem musieliśmy się docierać. Nie zadziałało to jak w bajce, że spotykasz kogoś i od razu masz pewność: właśnie poznałeś osobę, z którą porozumiesz się bez słów. Kiedy się poznaliśmy, nawet nie pomyślałem, że może stać się moim przyjacielem na dobre i na złe. Nasza więź rozwijała się przez kilka kolejnych tygodni i miesięcy. Arek miał dar – potrafił

roztoczyć wokół siebie aurę, która sprawiała, że wszyscy go lubili. Był pozytywnie nastawiony do życia, miał też specyficzne poczucie humoru. Wszyscy go akceptowali i nie chodzi tylko o nas, zawodników, lecz także o tych, którzy po prostu spotykali go na swojej drodze. Arek nie był może duszą towarzystwa, przywódcą, nigdy nie ciągnęło go do statusu lidera. Nie pozostawał też jednak w cieniu, nie dawał sobie wejść na głowę. Gdy było trzeba, potrafił się kąśliwie odgryźć.

Kiedy można było powiedzieć, że staliście się przyjaciółmi?

Gdy graliśmy w Częstochowie. Spędzaliśmy wtedy ze sobą mnóstwo czasu. Nasza relacja zaczęła ewoluować w stronę prawdziwej przyjaźni. Nie tylko ja i Arek znaliśmy się doskonale, w bliskim kontakcie pozostawały także nasze rodziny. Również jego przyszła żona Agnieszka polubiła się mocno z moją Iwoną. Zarówno w SMS-ie, jak i potem w Częstochowie Arek mieszkał z Kubą Oczko. Często byliśmy gośćmi w ich mieszkaniu, tak samo zresztą jak oni w naszym. Poza tym regularnie zdarzało nam się wychodzić razem do ulubionych restauracji czy do kina. W Częstochowie panował wtedy bardzo fajny, przyjazny klimat. Duch drużyny budowały więzi międzyludzkie. Wszyscy uczestniczyliśmy w życiu zespołu, zarówno na boisku, jak i poza nim. Spotykaliśmy się, byliśmy młodzi, nie ograniczały nas żadne zobowiązania, nikt nie miał jeszcze dzieci, więc w wolnym czasie staraliśmy się wyszaleć.

Wyszaleć? Jak bardzo?

Wyprawialiśmy wiele zwariowanych rzeczy, jak to młodzi ludzie. Niejednokrotnie potrafiliśmy popuścić wodze ułańskiej fantazji i zrobić coś, nad czym dziś dobrze byśmy się zastanowili. Zresztą po zdjęciach widać, że do końca normalni nie byliśmy! Mieliśmy swoją grupę, w której czuliśmy się dobrze. Robiliśmy wiele rzeczy, które może nie były najbardziej rozsądne, ale teraz, po latach, wspominam je bardzo dobrze. Zdarzało się nam oczywiście wrócić nieco później, niż trzeba. Graliśmy w siatkówkę, ale byliśmy także studentami. Na ile się dało, prowadziliśmy studenckie życie. Zdarzało nam się wrócić z imprezy nad ranem. Spędzaliśmy z Arkiem mnóstwo czasu, jednak już wtedy mieszkałem z żoną i nigdy nie padł pomysł, żeby złączyć siły i zająć wspólne lokum. Zdawaliśmy sobie zresztą sprawę, że włażenie sobie bez przerwy na głowę mogłoby

negatywnie wpłynąć na naszą przyjaźń. Uwierz mi, że te dwieście metrów, które mieliśmy do pokonania, to nie była wielka odległość i często czuliśmy się, jakbyśmy jednak mieszkali razem.

Co najczęściej robiliście po treningach?

Bywało tak, że bezpośrednio po treningu szedłem do Arka i próbowaliśmy się uczyć. Niestety udawało nam się to bardzo rzadko. Kryzys nadchodził, ledwo otworzyliśmy podręczniki, więc… odpalaliśmy *Heroes of Might and Magic III* i zamiast się uczyć, graliśmy do późnych godzin nocnych. Arek przygotowywał też mistrzowskie tosty i kanapki z baleronem. Nigdy nie lubiłem baleronu, ma te żyły i jest oślizgły, ale „Goły" kupował chyba jakiś specjalny gatunek, obładowywał serem, zalewał keczupem i naprawdę dawało się to jeść. Zresztą głupio było mi odmówić, a później zacząłem przynosić własną szynkę. Ogarnialiśmy więc te kanapki i potrafiliśmy do drugiej w nocy naparzać w *Heroesów*, bo brakowało nam iluś rund do ukończenia mapy. Czas stawał się wtedy wartością względną, raczej nie patrzyliśmy na zegar podczas rozgrywki. Na drugi dzień z podkrążonymi oczami szliśmy na trening, ale nie przeszkadzało nam to ani trochę. A jak nas rozpierała duma, gdy w grze udawało się pokonać kolejnego wymagającego przeciwnika!

Wracając do waszej gry w Heroesów. Często się zdarzało, że dziewczyny musiały was odciągać od komputera?

Nieraz dawały do zrozumienia, że może warto byłoby wyjść z pokoju i zainteresować się nimi. Ale, cóż, z Arkiem byliśmy wtedy w swoim świecie i starania dziewczyn zazwyczaj do niczego konstruktywnego nie prowadziły. „Goły" potrafił zarazić mnie swoimi pasjami. Tak właśnie było w przypadku tego tytułu. Graliśmy zazwyczaj razem, tak żeby można było sobie pożyczać surowce. Nie należałem chyba do najlepszych graczy, natomiast Arek to wszystko doskonale ogarniał i pomagał mi zarządzać surowcami. Każdy, kto grał w *Heroesów*, wie, że bez tego ani rusz. Lubiłem grać zamkiem typu Bastion, tym z elfami, smokami i jednorożcami. „Gołemu" nie robiło większej różnicy, jakim rywalizował stronnictwem. Miał dużo większe doświadczenie ode mnie i potrafił sobie radzić z każdym wojskiem. Szło mu równie dobrze, gdy grał szkieletami, czarodziejami, wróżkami czy rycerzami.

Ponoć Arek potrafił poskręcać komputer z kawałków? To prawda?

Tak. Dla mnie komputery to była czarna magia. Tymczasem Arek umiał poskładać sprzęt z tych wszystkich dziwnych podzespołów. Często pomagał w ten sposób rodzinie i kolegom z drużyny. Doradzał, jaką pamięć zamontować, żeby nie przepłacić. Kilkanaście lat temu sytuacja finansowa zawodników występujących w najwyższej klasie rozgrywkowej wcale nie wyglądała tak różowo jak obecnie. Były stypendia, ale na przykład ja miałem na utrzymaniu żonę i musieliśmy wszystko planować, żeby mieścić się w budżecie. Arek pomagał nam wybrać sprzęt dobrej jakości za najlepszą cenę, a poza tym czytał tony fachowej prasy i naprawdę był wysokiej klasy specjalistą. „Goły" jako pierwszy z naszej drużyny zainwestował w głośniki 5.1, które dawały niesamowity efekt, gdy w grze komputerowej wykańczało się hordy krwiożerczych zombie! W kwestiach związanych z techniką słuchaliśmy go jak wyroczni. Gdy zaglądał w naszych komputerach do BIOS-u, traktowaliśmy go jak szamana. Nie mieliśmy tak naprawdę pojęcia, co robi, a jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że możemy mu w pełni zaufać.

Lubił też inne elektroniczne świecidełka?

Oj tak, Arek był gadżeciarzem! Oprócz komputerów często zmieniał także telefony. Ale to akurat dlatego, że… często rzucał nimi o ścianę.

Czemu?

Gdy się z kimś pokłócił, zdarzało mu się cisnąć o ścianę zupełnie nowym modelem! Ja na szczęście nigdy nie oberwałem (śmiech). Wydaje mi się, że gdy już podjął decyzję, rzucał urządzeniem na tyle mocno, żeby nikt z niego nie mógł więcej skorzystać. Czasem chciałem te naprawdę wysokiej klasy telefony od niego przejąć i mówiłem: „Jak masz nim znowu jebnąć o ścianę, to lepiej mi daj, chętnie wezmę!". „Odsuń się, bo jeszcze przypadkiem odbije się od ściany i w ciebie trafi" – odpowiadał tylko. Nie bałem się rykoszetów i zawsze stawałem blisko ściany, twardo na nogach, no ale niestety nigdy żadnego nie złapałem. Najwidoczniej brakowało mi refleksu. Jego konikiem były nie tylko komputery i gry, ale też robienie zdjęć. Pamiętam, że na początku „Goły" kupił sobie mały aparat, słynną Zorkę 5, a następnie jako pierwszy z nas nabył większą, profesjonalną lustrzankę. Poszło na nią sporo pieniędzy. Pokazał mi, że im lepszy sprzęt,

tym lepsze zdjęcia. I robił ich całe mnóstwo, przy każdej okazji. Nie mam, niestety, możliwości dotarcia do tych zdjęć, nie wiem, czy czasem nie zaginęły z komputerem w trakcie wypadku. Arek, jak chyba każdy młody człowiek, lubił wszystkie nowinki, nowy telefon czy fajny aparat. Lubiliśmy się także ekstrawagancko, jak na tamte czasy, ubierać.

Bardzo ekstrawagancko?

Nie powiem, że byliśmy jakimiś kreatorami mody, ale lubiliśmy kupić markową koszulę. Jak teraz patrzę na nasze stare zdjęcia, to na pewno nie rzucaliśmy nikogo na kolana stylem, ale ważne, że byliśmy zadowoleni z tego, jak wyglądamy, i czuliśmy się w tych ciuchach swobodnie. „Goły" uwielbiał też muzykę i ściągał jej na komputer całe mnóstwo. Miał wszystkie nowości, ale także klasyki z najdawniejszych lat. „Arek, zmieńmy nastrój, puść coś fajnego do potańczenia z lat 80." – mówiłem do niego. „Czekaj chwilę, zaraz znajdę jakiś superkawałek". Mijała minuta i wyszukiwał na przykład hit Abby, przy którym wszyscy lubili się bawić. Potrafił idealnie trafić w gust tańczącej grupy, rzadko zdarzało się, żeby ktokolwiek zgłaszał pretensje i mówił mu, że to, co puszcza, jest nudne. Pusty parkiet? Nie przy DJ-u Arku! Naprawdę znał się na muzyce, był bardzo osłuchany. Myślę, że gdyby trafił do programu *Jaka to melodia* czy innego muzycznego teleturnieju, wielu nie miałoby z nim szans. Próbował też tworzyć własne utwory. Nie było wtedy łatwo dostępnych mikserów, lecz Arek poradził sobie z tym, montując specjalny program na komputerze. Nigdy jednak nie podzielił się swoimi kompozycjami z innymi, więc chyba nie był z nich zadowolony.

À propos muzyki, byliście stałymi bywalcami dyskotek?

Arek po prostu bardzo lubił wychodzić z domu, czy to na dyskotekę, czy na kolację do restauracji, ale też potrafił szczerze powiedzieć, że nie jest zainteresowany żadnym wyjściem, bo nie chce mu się ruszać tyłka z chaty. Nie robił niczego na siłę. Chłopaki z drużyny były wtedy niemal zawsze wolne, mało który z nas miał już dzieci i często wychodziliśmy do pubu tuż przy hali Polonia. Schodziliśmy na dół, a tam czekała na nas najlepsza kiełbaska z grilla. Czasem siedziało się tam długo, a innym razem wpadaliśmy tylko na kolację. Dzięki wspólnym inicjatywom łatwiej było wybaczyć kolegom błędy na boisku. Z całą ekipą łączyło nas więcej niż

tylko wspólne treningi czy kolejne mecze ligowe. Traktowaliśmy się nie jak koledzy z pracy, tylko członkowie wielkiej rodziny. A wracając do dyskotek, ani Arek, ani ja nie byliśmy wybitnymi tancerzami. Nasze wyczyny to było raczej coś w stylu „taniec poplątaniec" i wyglądały dość dziwnie, aczkolwiek w miarę wzrostu spożycia coraz chętniej wychodziliśmy popisywać się na parkiecie. Zapewne wyglądało to żenująco, ale nie każdy ma predyspozycje do tego, żeby wziąć udział w *You Can Dance*, prawda? Najważniejsze było to, że we własnym gronie czuliśmy się bardzo swobodnie. Cała ekipa po prostu lubiła się dobrze bawić. W efekcie na weselu Arka wszyscy bez skrępowania daliśmy upust umiejętnościom wokalnym i tanecznym. Muszę też wspomnieć o jedzeniu. Bo Arek lubił sobie pojeść! Chętnie chodził do restauracji, uwielbiał dobre jedzenie. Miał duże wyczucie smaku i czy byliśmy w Częstochowie, czy na wyjazdach, zawsze potrafił znaleźć dobrą knajpę. Miał taką przemianę materii, że mógł bardzo dużo zjeść i nie wpływało to na poziom jego tkanki tłuszczowej. Uwielbiał słodycze, zwłaszcza czekoladę. Gdy leżał w łóżku na zgrupowaniu albo relaksował się przed meczem, tabliczka zawsze czekała obok na jego szafce.

Poszliście też razem na studia, jak je wspominasz?

Grzesiek Szymański i ja jeździliśmy jeszcze na studia do Opola, ale skoro otworzyli nowy kierunek na miejscu, w Częstochowie, to podjęliśmy decyzję, żeby tam właśnie kontynuować naukę. Pójście na studia było przemyślanym ruchem. Po pierwsze dlatego, żeby po zakończeniu kariery zostać przy sporcie, a po drugie – żeby zdobyć wiedzę, która pomoże nam w siatkarskich karierach. Na studiach działy się różne rzeczy… Mieliśmy na przykład faceta od lekkiej atletyki, który był na tyle uparty, że musieliśmy robić u niego treningi. Przed finałowymi meczami z Mostostalem zaaplikował nam bieg na czterysta metrów! Aby go zaliczyć, musieliśmy się zmieścić w limicie jednej minuty, a dla nas to był ogromny wysiłek i pod koniec biegliśmy na długu tlenowym. Zakwaszenie organizmu było tak duże, że na drugi dzień dosłownie nie mogliśmy się ruszać. A „Goły" nie dość, że pobiegł, to jeszcze naderwał czy naciągnął mięsień dwugłowy i jego występ w meczach przeciwko ekipie z Kędzierzyna-Koźla stanął pod dużym znakiem zapytania. Tak sobie myślę, że gdybyśmy się wtedy przyznali, to prezes AZS-u chyba by nas za jaja powiesił! Na szczęście Arek, przy pomocy fizjoterapeuty, zdołał

w miarę szybko wrócić do sprawności i mógł zagrać w najważniejszych meczach sezonu. Wracając jeszcze na chwilę do tego biegu… Wpadłem na metę z wywalonym jęzorem, ledwo co udało mi się go zaliczyć. „Goły” tymczasem był w czołówce dzięki tym swoim długim nogom. Sami byliśmy trochę winni całej sytuacji, bo nie przygotowaliśmy się dobrze, nie przeprowadziliśmy żadnej rozgrzewki. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak negatywne konsekwencje mogło to mieć dla naszych organizmów. Przyszliśmy po prostu na to zaliczenie, żeby mieć już „lekką” z głowy. Uważaliśmy za dziwne i niezrozumiałe, że ludzie zamiast pomagać, stawiali nam przeszkody. Facet od fikołków też kazał nam przychodzić na zajęcia i zdobywać zaliczenia, choć wielu z nas miało gimnastykę w Szkole Mistrzostwa Sportowego i było oczywiste, że potrafimy zrobić salto, wymyk, odmyk i inne wygibasy.

Czyli niezbyt się przykładaliście?

Dobrze wspominam samo chodzenie na zajęcia teoretyczne i robienie ściąg. To były fajne czasy… Wchodziliśmy na kolokwium totalnie zieloni i każdy z nas rozglądał się po sali, żeby cokolwiek ściągnąć. Wiedzieliśmy, że nie możemy na sobie polegać, bo stan wiedzy nas wszystkich był podobnie żenujący. Radziliśmy sobie na różne sposoby, na przykład przy pomocy telefonów. Wkładałem do ucha słuchawkę, zadawałem pytanie, a ktoś siedzący przy stosie notatek szukał odpowiedzi i dyktował. Dzięki uprzejmości Plusa mieliśmy darmowe minuty, więc przy ówczesnych cenach połączeń to była dla nas duża przewaga. Nikt się nie spodziewał, że podczas kolokwium wisieliśmy na telefonach… Robiliśmy też klasyczne ściągi, a wiadomo, że wtedy człowiek mimo wszystko sporo się uczy. Kilka razy przyszliśmy na kolokwium przygotowani i zdawaliśmy bez żadnej pomocy z zewnątrz. Nie zdarzało się to oczywiście zbyt często, bo byliśmy mocno zapracowani, mieliśmy dużo wyjazdów i gdy potem wracaliśmy, nie chciało nam się chodzić na zajęcia ani ślęczeć nad książkami czy notatkami. Byli tacy wykładowcy, którzy szczególnie nas lubili. Na przykład pani od psychologii – może dlatego, że akurat w jej zajęciach braliśmy udział? Nie tylko bierny, na zasadzie „przyjść i odhaczyć obecność”. Zadawaliśmy pytania i zabieraliśmy głos w dyskusjach, a zwykle mieliśmy swoje zdanie i różne przemyślenia… Dziś wydaje mi się, że studia powinny być przeznaczone dla ludzi dojrzalszych. My mieliśmy wtedy zupełnie inne priorytety, każdy był przekonany, że zrobi

zawrotną karierę sportową. Teraz trochę się to zmieniło, ludzie bez problemów łączą naukę z treningami i występami. Nie ma co ukrywać: byliśmy po prostu zbyt leniwi. Na początku zajęć mieliśmy sporo energii i regularnie chodziliśmy na uczelnię, ale później częstotliwość tych wizyt spadała i spadała. Przenoszono nas na kolejny rok z zaliczeniem warunkowym, aż w końcu wszystko umierało śmiercią naturalną.

Wasza relacja z Arkiem uległa zmianie, gdy urodził ci się syn Sebastian?

Nie, bo zawsze czułem wsparcie Arka, bo był po prostu nieodłączną częścią mojego życia. Odkąd nasze drogi na dobre się ze sobą złączyły, mówiliśmy sobie dosłownie o wszystkim. Towarzyszył mi nawet wtedy, gdy czekałem na wyniki testu ciążowego mojej żony. Był pierwszą osobą, która dowiedziała się o tym, że zostanę ojcem. Arek potrafił się opiekować dziećmi, które zresztą same się do niego garnęły. Myślę, że jednym z punktów jego planu na życie było ojcostwo. Doskonale wiedział, z czym się ono wiąże, bo przeżywał to razem ze mną. Był gotowy, żeby rok, może dwa po ślubie zostać tatą. Nie absorbowaliśmy Arka i Agnieszki za mocno opieką nad naszym synem, ale jeżeli przy myciu czy przewijaniu trzeba było potrzymać malutkiego Sebastiana, to Arek nie miał z tym najmniejszych problemów. Nie czuł się z brzdącem na rękach niekomfortowo, więc jeśli tylko nadarzała się okazja, starał się nam pomagać. Dziecko nie wylatywało mu z rąk. Gdy Arek zginął, Sebastian był mały. Mojej młodszej córki Dominiki nie było jeszcze na świecie, zatem tylko Sebastian go pamięta. Mnie i mojej Iwonie sprawiło dużą przyjemność, że Gołasiowie zdecydowali się spędzić z nami podróż poślubną. Wybraliśmy się razem na kilka cudownych dni do Wisły. Na basenie i w hotelowych korytarzach Arek cały czas bawił się z Sebastianem, który był wtedy brzdącem. W rozmowach ze mną albo moją żoną Sebastian wspomina, że „wujek rekin” ganiał go w basenie. Takiego Arka zapamiętał mój syn. Dziś jest już nastolatkiem. Wie, że Arek był moim najlepszym przyjacielem. Dopytywał nawet, czy mi go brakuje i jak się czuję z tym wszystkim. Dopytuje między innymi dlatego, że sam nie przebywał z wujkiem Gołasiem zbyt długo, był zresztą zbyt mały, żeby wszystko zapamiętać. W naszych rozmowach staram się przybliżyć mu postać Arka. Nie tylko jako wielkiego sportowca, ale także przyjaciela. Arek był bowiem dla mnie niczym młodszy brat, a takiego nigdy nie

miałem. Myśmy się zawsze świetnie dogadywali. Praktycznie na palcach jednej ręki możesz policzyć ludzi, z którymi łączy cię taka więź.

Patrząc na wasze sportowe początki, z pewnością nie można powiedzieć, żebyście brylowali w mediach. Dlaczego było was w nich tak mało?

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że dopiero później nauczyliśmy się współpracować z mediami. Byliśmy młodzi i na początku uważaliśmy, że generalnie są nam niepotrzebne. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nasze zaangażowanie może się przełożyć na wzrost popularności siatkówki w kraju, co prędzej czy później przyniosłoby wiele korzyści nam wszystkim. Nie było wówczas mediów społecznościowych, więc grono sympatyków mieliśmy raczej wąskie, zwłaszcza w porównaniu z dzisiejszymi czasami. Czuliśmy się z tym jednak dobrze, swobodnie. Gdy lokalni dziennikarze zadawali nam jakieś uciążliwe pytania, zwykle tylko coś burczeliśmy. Nasze wywiady składały się ze zdawkowych wypowiedzi. „Tak", „nie", „nie wiem"… Bardziej wylewni się stawaliśmy, gdy kogoś lubiliśmy, a jeśli do dziennikarza z jakichś powodów nie pałaliśmy sympatią, to w ogóle nie podejmowaliśmy rozmowy. Mieliśmy to po prostu w dupie. Nie budowaliśmy w mediach żadnego wizerunku – ani swojej osoby, ani klubu czy reprezentacji, co dzisiaj jest standardem. Pamiętam za to, że gdy Plus mocno zaangażował się w sponsoring polskiej siatkówki, razem z „Gołym" i innymi reprezentantami przeszliśmy szkolenie z zakresu zachowania w mediach. Tam poinstruowano nas, jak mamy postępować i rozmawiać z dziennikarzami, który profil pokazywać, jak się ustawiać i co mówić. W kolejnych latach takie szkolenia zdarzały się coraz częściej, my przecieraliśmy szlaki. Plus założył sobie, że zrobi z siatkówki marketingową potęgę, i faktycznie, doskonale im się to udało.

Lubiliście, jak dziennikarze robili z was gwiazdy?

Każdy z nas lubił się pojawiać w telewizji, nie ma co oszukiwać. Na początku walczyliśmy z nieśmiałością i nie umieliśmy się porządnie wypowiadać, ale w moim odczuciu te wywiady były wtedy zdecydowanie bardziej szczere. Teraz w wielu rozmowach sportowcy recytują wyświechtane frazy. Wywiady brzmią jak odbijane z jednej sztancy. Zdarzają się oczywiście tacy, którzy powiedzą dosadnie, co myślą, lecz

raczej nie spotyka się to z akceptacją. W efekcie wszyscy są dziś grzeczni i wyważeni. Pamiętam, że czasem jeden z nas wcielał się w rolę dziennikarza. Każdy przynajmniej raz padł ofiarą żartu Michała Winiarskiego. „Winiar" dzwonił do kolegów z drużyny – czasem jako dziennikarz jednej czy drugiej gazety, a kiedy indziej jako prezes silnego klubu, który oferował podpisanie lukratywnego kontraktu. Później się nauczyliśmy, że jak ktoś dzwoni z numeru zastrzeżonego, to nie wolno takiego połączenia odbierać, bo bardzo prawdopodobne, że to Misiek czai się na nową ofiarę… Potrafił niesamowicie modulować głos, a przy tym zadawał naprawdę rzeczowe pytania, co podwójnie zbijało z tropu. Kiedy „Winiar" dzwonił do kogoś przy nas, włączał zestaw głośnomówiący. Reszta zespołu dosłownie pękała ze śmiechu, gdy jego rozmówca produkował się z pełną powagą w głosie. „Dlaczego nie lubisz kolegów z drużyny?" – padało pytanie. I ktoś z nas zaczynał się na serio tłumaczyć: „Skąd pan redaktor wziął takie informacje? Wszystko w drużynie jest w porządku, nie ma żadnego konfliktu!". Michał uwielbiał żartować, a że Arek miał podobny charakter, niejednokrotnie łączyli siły i sprawiało im to sporą radość.

To ciekawe, bo większość osób mówi o Arku jako o skromnym, cichym chłopaku.

Był skromny na swój sposób, na pewno tak odbierali go ludzie, których nie znał. Nigdy nie odbiła mu palma, nie dawał nikomu do zrozumienia, że jest jakąś supergwiazdą. Jeżeli ktoś próbował go tak nazywać, on szybko tonował te zapędy. Arek miał świadomość, jak dobrym jest zawodnikiem. Pod tym względem sobie ufał. Musisz mieć pewność siebie i wiarę we własne umiejętności, bo bez tego na pewno nie osiągniesz w sporcie założonych celów. W pewnych momentach skromność Arka była czystą kurtuazją, wpojoną przez rodziców, którzy naprawdę dobrze go wychowali. Ale zdarzały się też sytuacje, gdy pół żartem, pół serio mówił o sobie jako o siatkarskiej gwieździe. Wszyscy byliśmy ludźmi, raz na jakiś czas trzeba było dać upust skłonności do przechwałek…

Arek był ponoć niezwykle dobrze wychowany, wydawał się mistrzem taktu. To prawda?

Myślę, że kluczowa jest właśnie kwestia wychowania. Człowiek jest zwierzęciem naśladowczym. To nasi najbliżsi przekazują wzorce, jak powinniśmy się zachowywać. Znam rodziców Arka – to skromni, ułożeni ludzie. Zawsze się mówiło, że siatkarze są inteligentni. Nie wiem, na ile to aktualne, ale kiedyś różnica między wypowiedziami siatkarzy i innych sportowców była wyraźna. W każdym wywiadzie, którego Arek udzielał, brał pod uwagę, że musi bardzo uważać na słowa, żeby swoją wypowiedzią nikogo nie skrzywdzić. Miał silną osobowość i nie chciał brnąć do celu po trupach. Potrafił pierwszy wyciągnąć rękę na zgodę. To, czy osoby z zewnątrz mówiły o nim dobrze, czy źle, specjalnie go nie interesowało. Może dziś nie ma już takich ludzi, otaczająca nas rzeczywistość bardzo mocno się zmienia. Charakter Arka sprawiał, że nie szukał niepotrzebnych konfliktów, a wszelkie nieporozumienia wolał wyjaśnić od razu. Gdy przegrywaliśmy spotkanie, zdarzało mu się szybko czmychnąć między kibicami, ale zdecydowanie częściej rozdawał autografy, stawał do wspólnych zdjęć i słuchał słów krytyki, jeśli takowe spadały na jego głowę. Na pierwszym miejscu stawiał rodzinę i zawsze najpierw leciał do Agi, taty, mamy czy siostry, jeśli znajdowali się na trybunach. To był jego rytuał: najpierw witał się z nimi, a dopiero potem szedł do kibiców. Arek był przystojnym facetem i po każdym meczu oblegał go wianuszek dziewczyn, oczekujących wspólnego zdjęcia. Z kolei nieco bardziej ogarniający naszą dyscyplinę faceci świetnie zdawali sobie sprawę, że biorą autograf od przyszłej gwiazdy nie tylko polskiej, ale i światowej siatkówki. Po latach mogę powiedzieć, że Arek wystrzegał się ludzi fałszywych, szybko potrafił rozpoznać dwulicowość. Nie pozwalał zbliżyć się do siebie nikomu, kto mógłby wyrządzić krzywdę jemu lub komuś bliskiemu. Natomiast doceniał szczerość.

Najwierniejszym kibicem Arka był tata?

Wydaje mi się, że wielu rodziców widzi w dziecku szansę na realizację własnych, niespełnionych marzeń. Widzę to też po sobie, gdy patrzę na mojego Sebastiana. Wierzę, że będę miał w nim następcę. Czasami łapię się na myśleniu, że młody powinien postępować dokładnie tak jak ja, powinien w wielu aspektach być moim klonem. W przypadku Tomka Gołasia raczej tak nie było, od początku musiał zdawać sobie sprawę, że ma wybitnie uzdolnionego syna. Sam nie miał styczności z wyczynowym sportem. Przede wszystkim chciał dla syna jak najlepiej, pragnął, żeby Arek miał

takie życie, jakie sobie wymarzył. Z tego, co pamiętam, Tomek faktycznie był największym i najwierniejszym fanem „Gołego”, ale nie wolno zapominać o mamie Danucie i siostrze Kasi, które również wspierały go od samego początku. Wszyscy niesamowicie się cieszyli, gdy Arek został powołany do kadry narodowej. Na każdym meczu Ligi Światowej, na którym się pojawili, bardzo mocno go wspierali. To dla siatkarzy ogromnie ważne – obecność bliskich, którzy zawsze służą dobrym słowem. Zapadła mi w pamięć sytuacja z igrzysk olimpijskich w Atenach. Jadąc do Grecji, mieliśmy jakieś aspiracje, nasze umiejętności były coraz większe. Rozpoczęliśmy turniej od spektakularnego zwycięstwa nad Serbami, a skończyło się tak, że odpadliśmy w ćwierćfinale. Arek bardzo tę porażkę przeżywał. Bliscy zapewnili mu wtedy ogromne wsparcie, powiedzieli, że życie musi toczyć się dalej, a jego siatkarska kariera jeszcze się nie kończy. Widziałem, jak bardzo go ta rozmowa uspokoiła, jak wiele mu dała. Tomek Gołaś na pewno był dla syna ogromnym wsparciem. Tata z biegiem lat zaczął uważnie obserwować i zgłębiać tajniki tego sportu, a poza tym sam Arek uczył go wielu rzeczy. Patrząc na grę swojego dziecka, mało który rodzic potrafi być do końca obiektywny. Czasami bywało tak, że sami musieliśmy dać upust frustracji i zwrócić uwagę ojcom czy żonom, że ten i tamten zagrał gorzej od nas. Zapewne po jakimś czasie potrafił już lepiej ocenić grę syna i powiedzieć mu, kiedy zagrał źle, a kiedy dobrze. Arek nigdy nie miał problemu z przyjmowaniem krytyki. Naprawdę pozostał normalnym chłopakiem z Ostrołęki.

Mama Arka, pani Danuta, wolała pozostawać w cieniu?

Na moje oko wyglądało to tak, że Tomek był głową domu, ale tą głową kręciła szyja, czyli pani Danuta. To taka osoba, która może szczególnie się nie udzielała i nie szukała bliższego kontaktu z innymi siatkarzami, ale widać w niej było emocje. Bardzo wrażliwa kobieta, z ogromnym sercem. Myślę, że tę swoją życzliwość i pomocną dłoń wyciąganą do innych Arek odziedziczył właśnie po mamie.

Występy w reprezentacji Polski były dla Arka, tak jak i dla ciebie, spełnieniem marzeń?

Moja przygoda ze sportem rozpoczęła się od tego, że pewien człowiek dał mi swoją reprezentacyjną koszulkę i powiedział, że może kiedyś też sobie

na taką zasłużę. Te słowa okazały się dla mnie prorocze, bo faktycznie odkąd pamiętam, marzyłem, żeby zasłużyć na koszulkę reprezentanta kraju. Zagrać dla dziesięciotysięcznej publiczności, która śpiewa hymn narodowy – to było nasze marzenie i cel, do którego dążyliśmy. Udało się! Na samym początku za reprezentowanie kraju nie dostawaliśmy żadnych nagród finansowych, robiło się to z czystej miłości do ojczyzny. Przed meczem więcej się rozmawiało i żartowało, żeby rozładować stres przed wyjściem z szatni na ważne spotkanie. Lubiliśmy robić sobie nawzajem jaja, nagminne było między innymi chowanie koszulek. Przyjeżdżaliśmy do hali, wchodziliśmy do szatni i… chciałbyś widzieć minę gościa, który nie może znaleźć w torbie koszulki. Oczywiście w stresowej sytuacji nikt nie podejrzewał kolegów o taki numer. Delikwent myślał, że zapomniał zabrać stroju z hotelu, i zastanawiał się, co powinien zrobić. Tymczasem my trzymaliśmy koszulkę w ukryciu niemalże do samego końca, oddając ją dosłownie kilka minut przed wyjściem na rozgrzewkę. „O, zobacz! – mówił Arek. – Znalazła się twoja zguba”. Czasem „Winiar” przyklejał nam plastry i ktoś na rozgrzewkę wybiegał z krzyżem na plecach, a my nazywaliśmy go „krzyżowcem” albo „naznaczonym”. Nie było za to mowy o przyklejaniu butów do podłogi. Nie mieliśmy wtedy za wielu par obuwia i jakbyśmy zrobili komuś taki numer, to mógłby po prostu… nie zagrać.

Który z wyjazdów z Arkiem zapamiętałeś najlepiej?

Dla nas każdy wyjazd z kadrą był szczególny. Czy to była Argentyna, Brazylia, czy jeszcze inny kraj, zawsze oznaczało to niesamowite przeżycie, bo widzieliśmy na własne oczy miasta i państwa, które do tej pory oglądaliśmy tylko w telewizji czy w internecie. Chcieliśmy poznać inne kultury, a Arek ze swoją fotograficzną pasją nie był typem osoby, która w czasie wolnym siedziała w hotelu. Dzięki tym wyjściom liznęliśmy także trochę języka, więc później potrafiliśmy bez większego problemu dogadać się z tubylcami. Szczególnie zapamiętałem mistrzostwa świata w 2002 roku, gdy pojechaliśmy do Argentyny. Mało imponujący wynik sportowy to jedno, drugie to katastrofalna organizacja samej imprezy. Hotel, w którym zamieszkaliśmy, nie dostałby w Polsce jednej złamanej gwiazdki! Nawet ja, chociaż mam tylko 187 centymetrów wzrostu, nie mieściłem się w łóżku. Musieliśmy wyrzucać wyrka przed nasze pokoje. Ze względu na naprawdę fatalne przygotowanie tamten turniej był dla nas bardzo trudny.

Jeszcze gorzej było ponoć w Wenezueli?

Dokładniej w stolicy – Caracas. Nie wolno było nawet wychodzić z hotelu. Bardzo dokładnie pilnowali nas goście z karabinami. „Nie wychodźcie, bo was porwą albo zabiją!” – przestrzegali nas żołnierze. Kwestii bezpieczeństwa przestrzegano bardzo rygorystycznie. Spaliśmy w jednym z najlepszych hoteli w kraju, ale nie mogliśmy opuszczać jego progów. Z „Gołym” oczywiście nie potrafiliśmy dostosować się do zaleceń i postanowiliśmy zrobić zdjęcia przed hotelem. „Chodź, idziemy zrobić kilka ujęć, bo widoki są fantastyczne” – mówiłem do Arka. Panowie w mundurach od razu cofnęli nas do autokaru z zasłoniętymi szybami. Gdy tylko próbowaliśmy je odsłaniać, żeby zrobić zdjęcie, natychmiast zwracali nam uwagę, bo mogliśmy w ten sposób prowokować miejscowych. Plusem wyjazdów do Wenezueli było hotelowe spa i basen – tak wypasione, że zakaz opuszczania obiektu przestawał być dotkliwy. Czuliśmy się tam niczym królowie.

Igrzyska olimpijskie były dla Arka spełnieniem marzeń?

Jaraliśmy się tymi igrzyskami obydwaj. Zanim weszliśmy do pokoju w wiosce olimpijskiej, Arek czterdzieści razy zdążył wszystko uwiecznić na zdjęciach. Przeżycia z wioski, mimo że okazała się nie do końca gotowa, były czymś niezwykłym. Spotykaliśmy olimpijczyków z różnych krajów, z różnych dyscyplin. Dla mnie osobiście były to takie kolonie dla dużych dzieci.

Młodsze pokolenie kibiców siatkarskich pyta jeszcze o Arka?

Większość ludzi, których spotykam, nie pamięta jego występów na boisku. W archiwach trudno znaleźć mecze, w których Arek uczestniczył, albo wywiady, których udzielał. Nie ma co ukrywać, po ponad dziesięciu latach ślad coraz mocniej się zaciera. Jestem jedną z osób, które powinny kultywować pamięć o tym wspaniałym człowieku. Co jakiś czas próbuję przedstawiać sylwetkę Arka młodszym fanom. Ludzie szczerze dziękują mi za to, że przypominam o tym znakomitym siatkarzu i dobrym człowieku. Po rozmowach ze mną młodzież zdaje sobie sprawę z tego, jak ważną częścią mojego życia był Arek. Może uświadamiają sobie przy tym, jak wielki ból niesie ze sobą strata najbliższego przyjaciela, jak ogromną pustkę

w naszym życiu wywołuje… To jest dla mnie cholernie trudne, ale muszę się z tym mierzyć.

16 września…

Już na zawsze będę miał w pamięci, że to właśnie tego dnia wydarzył się ten pieprzony wypadek. Ta sytuacja bardzo mocno zmieniła moje życie. Po 16 września 2005 roku nic już nie będzie takie samo… Dziś staram się utrzymywać jak najbliższy kontakt z rodzicami Arka i odwiedzać jego grób. Nie jest to dla mnie łatwe. Zawsze, gdy idę na cmentarz, na grób mojego przyjaciela, targają mną ogromne emocje. Zdaję sobie sprawę, jak dziwnie to zabrzmi, ale grób Arka jest piękny. Dzięki wysiłkowi Tomka, Danuty i Agi pomnik oddaje to, kim był Arek. Jest na nim symbol piłki i są skrzydła, czyli atrybut anioła, którym dla wielu osób był Arek. Gdy go tam odwiedzam, zawsze z nim rozmawiam. Staję z dzieciakami i pokazuję mu, jak urosły. Wierzę w życie po życiu. On z góry widzi to, co dzieje się na dole. Myślę, że się uśmiecha, gdy to wszystko ogląda. Mnie te spotkania pomagają. Choć czasem wciąż jestem na niego wkurwiony, że w taki sposób mnie zostawił…

ROZDZIAŁ 6

CZĘSTOCHOWSKI INKUBATOR GWIAZD

Tak jak przy podpisywaniu kontraktów w Spale obiecał prezes AZS-u Andrzej Gołaszewski, pod Jasną Górą młodzi siatkarze mogli liczyć nie tylko na naukę gry w siatkówkę, lecz także poczuć smak studiowania. Wybrali wychowanie fizyczne na miejscowej Politechnice Częstochowskiej. Powstała siatkarska „grupa naukowa", składająca się między innymi z Arka, Kuby Oczko, Krzyśka Ignaczaka i Michała Winiarskiego (Kuba i Michał ukończyli ten kierunek). Młodzi trenowali, grali, a w wolnych chwilach zachowywali się jak studenci.

„W Częstochowie powstała naprawdę niezła paczka, młodzi rozumieli się doskonale nawet ze starszymi – opowiada mistrz świata Michał Winiarski. – Bardzo mile wspominam tamten czas, pewnie także dlatego, że byliśmy jeszcze młodzi, nie mieliśmy dzieci i życie było takie beztroskie. Tamte lata kojarzą mi się z błogością, bo my się tym wszystkim bawiliśmy, także siatkówką. Ekscytowała mnie sama możliwość rywalizacji o grę w takim zespole. Walczyliśmy o mistrzostwo Polski, a ja byłem szóstkowym graczem – to było chyba najlepsze możliwe przeżycie! Z tych lat w Częstochowie zapamiętałem, że bardzo często spędzaliśmy ze sobą czas po meczach i po treningach. Lubiliśmy się i znaliśmy, może dlatego atmosfera była tak znakomita? To była chyba najbardziej rodzinna drużyna, w jakiej kiedykolwiek grałem".

O świetnej atmosferze panującej w ekipie częstochowskich akademików opowiada także prezes Gołaszewski. Jego kadencja zaczęła się od zmian, bo od razu dowiedział się, że w klubie funkcjonują dwie szatnie – jedna dla starszych graczy, druga dla młodszych. Znany z krewkiego charakteru, zagotował się i wkrótce została już tylko jedna. Powiedział siatkarzom, że stanowią jedną drużynę – grają i walczą razem. „Atmosfera była po prostu rodzinna – wspomina. – Pamiętam na przykład wspólne spędzanie sylwestra, my z żonami, chłopaki z dziewczynami. Organizowaliśmy też mecze żonatych przeciwko kawalerom, ogniska, wspólne wieczory kawalerskie. Integrowaliśmy się na boisku i poza nim. Stworzyliśmy jedną

wielką rodzinę. Chłopaki mogły studiować, współpracowaliśmy z dwiema uczelniami, niektórzy skończyli studia, inni je przerwali. Ale mieli okazję poznać prawdziwe życie studenckie, a nie tylko sportowe. To była fantastyczna, zgrana grupa osób. Jeden drugiemu we wszystkim pomagał. Dzisiaj czegoś takiego już w naszej siatkówce nie ma”.

Najbliższym przyjacielem Arka był Krzysztof Ignaczak, jednak to nie z nim, ale z Jakubem Oczko mieszkał przez cztery lata w Częstochowie. Najpierw w akademiku Herkules, w którym Oczko i Gołaś rezydowali w tak zwanym łączniku – segmencie dwóch osobnych pokoi ze wspólną łazienką – mając za sąsiadów Grzegorza Kokocińskiego i Michała Bąkiewicza. Dla młodych zawodników AZS-u Częstochowa akademik był opcją przejściową. Docelowo mieli zamieszkać we własnym lokum. Po drodze była jeszcze… hala Polonia. A dokładniej znajdujące się w obiekcie pokoje gościnne. Młodzi gracze z nich skorzystali, bo upatrzone przez nich mieszkanie mogło się zwolnić dopiero po dwóch miesiącach. Klub znalazł dla zawodników inne lokum, lecz Arek i jego współlokator nie wyrazili nim zainteresowania. Zależało im na tamtym konkretnym, więc woleli poczekać kilka tygodni.

„Arek był bezproblemowym współlokatorem – opowiada Jakub Oczko. – Bezkompromisowość, którą objawiał na boisku, przenosiła się też na inne obszary życia. Czy coś gotował, czy sprzątał, zawsze robił to bardzo porządnie i nigdy nie kończył w połowie. Arek dość wcześnie wyjechał z domu do Warszawy i szybko nauczył się samodzielności. Niebagatelną rolę odegrali także jego rodzice, którzy wzorowo go wychowali. Mimo bardzo młodego wieku Arek już wtedy był ukształtowanym człowiekiem”.

Monotonia ciągłych treningów przeplatanych meczami sprawiała, że młodzi zawodnicy chętnie odreagowywali wyjściami na miasto czy organizowaniem u siebie domówek. „W naszym mieszkaniu parapetówka była co tydzień – śmieje się Kuba. – Oj, często organizowaliśmy imprezy! Na szczęście mieliśmy bardzo, ale to bardzo wyrozumiałych sąsiadów. Domówki zdarzały się w środku tygodnia, czasami dosłownie cały zespół schodził się do naszego mieszkania. Nie robiliśmy żadnych zadym, ale gdy do lokalu w bloku przychodzi kilkanaście osób i wszystkie naraz zaczynają rozmawiać, do tego w tle rozlega się muzyka, to po prostu nie może być cicho jak makiem zasiał. Chłopaki nie mogli z naszej strony liczyć na żadne wykwintne dania, ale jakieś chipsy, paluszki czy napoje zawsze się znalazły. Nie zdarzyło się nigdy, by sąsiedzi zapukali z pretensjami, nie

mówiąc o wzywaniu policji czy, nie daj Boże, trenera Mazura. Wiedzieli, kim jesteśmy, i gdyby chcieli, mogliby donieść, że w mieszkaniu siatkarzy AZS-u nie zawsze panują cisza i spokój. Szkoda, że nie pamiętam, kto z nami sąsiadował, bo bardzo chętnie poszedłbym dzisiaj do tych ludzi, podał im rękę i powiedział, że takich osób w obecnych czasach brakuje".

A powody do podziękowań są, bo według relacji Ignaczaka na tych trzydziestu paru metrach zdarzało się zmieścić pięćdziesiąt osób! Niezapomniany widok zapewniał mierzący 215 centymetrów Marcin Nowak, który gdy rozłożył się na ziemi, zajmował trzy czwarte małego pokoju. Ale wszyscy i tak potrafili znaleźć miejsce, by w trakcie imprezy zapalić i się napić. Najmniejszy pokój był przeznaczony na kurtki i tych, którzy wyglądem przypominali kurtki, jak ze śmiechem określa to „Igła".

Drużynowe imprezy odbywały się nie tylko w mieszkaniu duetu Oczko–Gołaś. Po zwycięskich meczach siatkarze często wychodzili do klubów. Jednym z ich ulubionych miejsc była też knajpa mieszcząca się niedaleko hali Polonia. A zwycięstw AZS zaliczał wtedy sporo…

„Pamiętam, że jak przegrywaliśmy albo się o coś pokłóciliśmy, bywały między nami »ciche dni« – wspomina Kuba Oczko. – Arek zamykał się w swoim pokoju, ja w swoim i czasem parę dni musiało upłynąć, zanim któryś wyciągnął rękę. Do tego dochodził też chyba przesyt sobą nawzajem. Graliśmy w jednej drużynie, mieszkaliśmy razem i zdarzało się, że spędzaliśmy ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. To normalne, że w takiej sytuacji można mieć siebie najzwyczajniej dość. Ale przez cztery lata wspólnego życia w akademiku, pokojach gościnnych i potem w mieszkaniu nigdy nie starliśmy się na poważnie. Jeśli czasem coś pomiędzy nami nie grało, po prostu omijaliśmy się szerokim łukiem, spotykając się tylko na neutralnym gruncie, w kuchni".

„Arek bardzo lubił słuchać muzyki – kontynuuje Oczko. – Pamiętam, że gdy dostaliśmy pierwszą wypłatę, pojechaliśmy tramwajem do MediaMarktu po nowość od Sony, minidiski. Miałeś coś takiego i byłeś gwiazdą! Niestety, hit szybko okazał się kitem, minidiski w ogóle nie przyjęły się w naszym kraju. A kosztowały wtedy sporo kasy. Tak się cieszyliśmy tym zakupem, że już podczas powrotu do domu każdy z nas słuchał swojej muzyki".

W ich mieszkaniu muzyka grała na cały regulator. Arek często coś podśpiewywał. Na różnych imprezach za mikrofon służyła łyżka albo pilot do telewizora. Współlokatorzy razem ze swoimi dziewczynami lubili też

organizować maratony filmowe. Grupowemu oglądaniu sprzyjało ogromne łóżko w pokoju Arka, na którym mogli się wygodnie rozsiąść we czwórkę. Jednym z ulubionych filmów Arka, Kuby i ich dziewczyn był *Braveheart*.

Michał Winiarski potwierdza ogromne zainteresowanie Gołasia muzyką. Często śpiewali razem w samochodzie, gdy jeździli do szkoły, na zgrupowania czy na trening. Arek był mistrzem wyszukiwania świetnych utworów, miał ucho choćby do polskiego rapu. „Winiar" do dziś posiada jego muzykę, którą Arek kolekcjonował i którą się z nim podzielił. Bardzo lubił być na bieżąco i zawsze znał wszystkie muzyczne nowości. „Pamiętam, że często razem nuciliśmy *Black and White* Kombi, piosenki Stachurskiego, Pei – mówi. – Nie przeszkadzało nam, że śpiewaliśmy w samochodzie przy innych. Robiliśmy to też na pomeczowych imprezach. Arek zawsze był bardzo pogodny i pomocny, tworzył wokół siebie luźną atmosferę. Może nie był duszą towarzystwa, lecz dodawał dużo pozytywnej energii. Zresztą to samo mógłbym powiedzieć o większości chłopaków, którzy grali w Częstochowie. Wiadomo, później ludzkie drogi się rozchodzą i te relacje się rozluźniają, ale wszystkich z tamtych lat wspominam rewelacyjnie, z takim pozytywnym odczuciem. A do Arka mówiłem często: »Hej, Kirk Douglas, co tam słychać?« Nawiązywałem do jego charakterystycznego dołka w brodzie, on zresztą sam się z niego śmiał".

„W Częstochowie zawsze panował dobry klimat – potwierdza Damian Dacewicz. – Dwunastu obcych sobie graczy mogło się tam spotkać i po dwóch tygodniach stanowili niemal monolit. *Team spirit* tworzył się bardzo szybko, co przekładało się później na wyniki. Nie wszyscy mieliśmy żony i dzieci. Nie ma co ukrywać, imprez było sporo. Potrafiliśmy skrzyknąć się po meczu i żaden z nas nie wykręcał się od wspólnego wyjścia. Żeby scementować drużynę, spędzaliśmy razem długie noce. Obojętnie, czy ktoś miał 27 lat, czy 18, wieczorem pojawiał się na imprezie. Poznawaliśmy się nie tylko podczas wspólnych treningów i kolejnych meczów, ale także przy piwie. Dzięki temu byliśmy gotowi skoczyć za sobą w ogień. Dzieliło nas osiem, dziewięć lat – kontynuuje Dacewicz. – Czasem nawet więcej. Sam byłem już wtedy uznawany za jednego z drużynowych dziadków. Panowała świetna atmosfera, pamiętam, że młodzi Gołaś i Winiarski ciągle robili jakieś psikusy. Uśmiech nie schodził im z twarzy, a w starej gwardii też nie było smutasów. Raz na tydzień albo dwa organizowaliśmy imprezę czy wspólne wyjście na kolację. Bariera wiekowa nam nie przeszkadzała.

W swoim towarzystwie zawsze dobrze się bawiliśmy, nie było mowy o żadnych podziałach”.

Jak młodych siatkarzy, którzy wstąpili w szeregi AZS-u, wspomina słynący z zasadniczości trener Ireneusz Mazur? „Kuba Oczko i Michał Bąkiewicz nie byli zbyt otwarci. Szczególnie Michał to zamknięty w sobie zawodnik. Typ profesjonalisty, ale i introwertyka. Kuba także pozostawał nieco w cieniu. Z kolei Arek Gołaś nadrabiał za całą trójkę i od razu stworzył wokół nich pogodną atmosferę. Pewnie wiele można by zarzucić moim surowym metodom oddziaływania na młodych zawodników, ale na pewno potrafiłem obdarzyć ich opieką. Arek i „Bąku” znajdowali się pod moją ścisłą ochroną. Jak już mówiłem, Gołaś był wspaniałym młodym człowiekiem”.

* * *

W pierwszym sezonie Arka w Częstochowie rodzice starali się jak najczęściej go odwiedzać. „Uważam, że nasza obecność na meczach dawała mu takiego pozytywnego kopa – mówi Danuta Gołaś. – Agnieszka śmiała się i mówiła, że gdy przyjeżdżaliśmy, przeważnie grał bardzo dobrze. Sama należę do osób, które stresują się publicznymi występami, a szczególnie się denerwuję, gdy na widowni siedzą najbliższe mi osoby. Myślę, że naszemu synowi absolutnie to nie przeszkadzało. Zresztą Arek bardzo często namawiał nas do tego, żebyśmy go odwiedzali w Częstochowie”.

„Stres z powodu jego meczów to jedno, ale mieliśmy też do przebycia solidny kawałek drogi – wspomina Tomasz Gołaś. – Wyobraźcie sobie zimę, silne opady śniegu i przejechanie trasy Ostrołęka – Częstochowa fiatem 126p. Takie wyjazdy wymagały zaplanowania wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Jak już udało nam się wybrać w podróż, to czasem zza tych wielkich zasp nie było widać naszego malucha”.

„Zawsze bardzo mocno się obawiałam o zagrywki Arka – przyznaje pani Danuta. – Jak stawał za linią końcową, to miałam jedno marzenie. Boże, żeby się tylko dzieciakowi udało! Bo akurat z zagrywką bywało u niego bardzo różnie, szczególnie na początku występów w AZS-ie”.

Przyjazdy rodziny do Częstochowy wiązały się z problemami logistycznymi, bo Arek i Kuba mieli do dyspozycji niewielkie lokum. „Mieszkanie Arka i Kuby nie było za duże, ale zawsze dawaliśmy sobie radę – opowiada pan Tomasz. – Albo Kuba gdzieś wychodził, albo spaliśmy

u Arka w łóżku we trójkę. Mieściliśmy się, wyrko było naprawdę ogromne. Czasem braliśmy materac i kładliśmy się na podłodze. Udało się także zaliczyć nocleg w częstochowskim akademiku Herkules, w którym Arek mieszkał na samym początku gry w AZS-ie Częstochowa".

„Jak byliśmy u niego, staraliśmy się zawsze zrobić coś więcej – dodaje pani Danuta. – Na przykład ja myłam okna, a mąż wieszał Arkowi nowe półki. Z drugiej strony syn starał się, żeby nas porządnie ugościć, i za każdym razem zabierał nas do restauracji. Przywoziliśmy sporo jego ulubionego jedzenia, więc te wyjścia, choć bardzo miłe i sympatyczne, nie były jednak konieczne. Arek na to nie zważał, po prostu chciał, żebyśmy czuli się jak najlepiej, żeby nasze przyjazdy nie ograniczały się tylko do wizyt w hali Polonia. Pokazywał nam Częstochowę, a trzeba przyznać, że to naprawdę ładne miasto. Wielokrotnie byliśmy na Jasnej Górze, a gdy jeździła z nami Kasia, Arek zawsze zabierał siostrę na zakupy".

* * *

Czym dla młodego środkowego była gra w AZS-ie Częstochowa? Niemal prosto ze Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Spale Arek trafił do jednego z najbardziej utytułowanych klubów w Polskiej Lidze Siatkówki (tak wtedy nazywała się PlusLiga – przyp. autora). Częstochowski AZS w swoim dorobku zgromadził 16 medali mistrza Polski, dwa razy sięgał po Puchar Polski, w 2012 roku zdobył Puchar Challenge. Młody środkowy przyszedł więc do klubu z ogromnymi tradycjami, w którym o miejsce w składzie musiał rywalizować z naprawdę znakomitymi środkowymi bloku. W AZS-ie grali już reprezentant Rosji Siergiej Orlenko, doświadczony Damian Dacewicz oraz Grzegorz Kokociński i Bartosz Szcześniewski. Okazało się jednak, że Gołaś miał też trochę szczęścia, bo koledzy z drużyny borykali się z problemami zdrowotnymi. 19-latek potrafił to znakomicie wykorzystać. Pomogła mu w tym także jego niebywała skoczność, która wielu dosłownie wprawiała w osłupienie. Damian Dacewicz wspomina, że młody środkowy potrafił uderzać ponad podwójnym blokiem tworzonym przez niego i mierzącego 215 centymetrów Marcina Nowaka! Raz nawet spróbowali podpuścić Gołasia i zaczęli mierzyć sobie zasięg w ataku przy pomocy urządzenia, które u góry miało przyczepione listewki oznaczające wysokość. Dacewicz strąca 355 centymetrów, po chwili Nowak 354. Są z siebie bardzo zadowoleni. Podchodzi Gołaś i skacze niby od niechcenia.

Dotyka listewki prawie 20 centymetrów wyżej od nich – osiąga wynik 372 centymetrów! Koniec zabawy, nie było sensu powtarzać prób.

Arek trafił do Częstochowy dzięki brawurowej akcji prezesa Gołaszewskiego, jednak o młodziana mocno zabiegał także trener Ireneusz Mazur. Obserwował go od dawna, pierwszy raz zobaczył go jeszcze w barwach MOS-u

Warszawa. Gołaś od pierwszej chwili zauroczył go swoją lekkością. Już jako młodziutki gracz imponował zasięgiem, nawet kiedy nie był jeszcze w stanie dobrze zaatakować. Mazur jest przekonany, że także trener MOS-u, Felczak, od samego początku doskonale czuł, jak wielki talent trafił do jego drużyny.

Przyjście Gołasia do Częstochowy doskonale wpisywało się w wizję szefów klubu. Chcieli budować zespół w oparciu o młodych Polaków. Dziś trener Mazur zarzeka się, że mimo sporej konkurencji Arkowi wcale nie przydzielono roli rezerwowego. Damian Dacewicz miał bowiem swoje problemy z kolanami, a Siergiej Orlenko poważny uraz mięśni brzucha, z którym zmagał się od dawna. Bartek Szcześniewski miał kłopoty z barkiem. AZS niby dysponował wieloma środkowymi, lecz wszyscy się leczyli. Arek okazał się wtedy zbawieniem, prawdziwym panaceum na problemy Mazura. Od pierwszych piłek wszedł do drużyny, grał na tyle skutecznie i dobrze, że w podstawowym składzie został już na stałe. W trakcie meczów przygotowawczych do sezonu Arek często atakował ponad blokiem rywali, prezentował się znakomicie. Sceptycy twierdzili jednak, że to tylko sparingi, że w lidze to się skończy. Życie pokazało, że wprawdzie miewał różne występy, jednak zwykle w ataku AZS-u wszystko zaczynało się od niego.

„Arek był bardzo skromnym i pracowitym chłopakiem, z fajnym poczuciem humoru, olbrzymią chęcią i talentem do nauki – wspomina ówczesny prezes AZS-u Andrzej Gołaszewski. – Od początku łączyło nas to, że obaj mieliśmy ksywkę »Goły«. Po roku chłopaki wymyślili dla niego nową: »Gilotyna«. Chłopak skakał do krótkiej wprost niesamowicie, w tamtych latach tak szybko i wysoko wzbijali się chyba tylko Kubańczycy. Arek był niesamowity. Już w pierwszym roku wygrał rywalizację z Grzesiem Kokocińskim, »skorzystał« też z tego, że spore problemy zdrowotne miał Damian Dacewicz. Miał od kogo się uczyć, bo w pierwszym składzie występował z Siergiejem Orlenką. To był brązowy medalista z Seulu, pierwsza wielka zagraniczna gwiazda w polskiej

siatkówce ligowej. Arek bardzo chciał się poprawiać i raptem po roku grał już nie tylko w szóstce naszego klubu, lecz także reprezentacji. Jego talent, podobnie jak umiejętności innych młodych chłopaków, stale się u nas rozwijał, nie tak jak teraz, gdy część młodzieży siedzi na ławce i marnuje swój czas. W AZS-ie
mieli możliwość występów, wypromowania się, często dzięki temu podpisywali później kontrakt za granicą, dostawali dużo większe pieniądze".

Jednym z zawodników, których grę Arek miał podpatrywać w pierwszym sezonie, był Siergiej Orlenko. Reprezentant Rosji zaliczył świetny sezon 1999/2000, ale w kolejnych latach mocno dawały mu się we znaki urazy. „Czy Arek trafiłby do pierwszego składu, gdyby nie kontuzje pozostałych częstochowian? – zastanawia się Ryszard Bosek. – Tego nigdy się nie dowiemy. Na treningach pokazywał, co potrafi, i myślę, że tak czy inaczej dostałby szansę zaprezentowania swoich możliwości. Nie umiem powiedzieć, czy jego rozwój byłby opóźniony o dwa miesiące, pół roku czy rok, ale w odpowiednim momencie z całą pewnością pokazałby, na co go stać. Dla młodego człowieka, który przechodzi do najwyższej klasy rozgrywkowej, pierwszy rok jest bardzo trudny. Zmienia się dosłownie wszystko, od systemu szkolenia po odpowiedzialność, zarówno za siebie, jak i resztę. Włodarze klubu i trenerzy zwykle starają się nie nakładać na młodych zawodników zbyt wielu obowiązków. W przypadku Arka było odwrotnie. Gołaś miał jedną bardzo ważną zaletę. Gdy coś mu nie wychodziło, nie robił z tego nie wiadomo jakiego problemu. Szedł wkurzony pod prysznic i szybko zapominał o niepowodzeniach".

Gołaś obserwował starszych kolegów na treningach i szybko wyłapywał, jak się zachowują, zwłaszcza w grze blokiem. Dużo dały mu też indywidualne zajęcia z trenerami, między innymi Ireneuszem Mazurem i Edwardem Skorkiem. „Arek był bardzo spokojnym chłopakiem, koleżeńskim – mówi Stanisław Gościniak, mistrz świata i mistrz olimpijski, trener AZS-u. – Chłopcy szybko przyjęli go do zespołu, chociażby ze względu na szacunek do jego umiejętności i przydatność dla drużyny. Szybko się zintegrowali. Arek nie był zmanierowany, poza tym wyróżniał się inteligencją. Dawał sobie radę i miał przed sobą wspaniałą przyszłość".

Z meczu na mecz Arek stawał się coraz bardziej popularny. Interesowali się nim nie tylko kibice, lecz także dziennikarze. Młody zawodnik wywoływał swoją grą sensację. Szczególne pochwały zebrał za mecze ze

Stolarką Wołomin (zwycięstwo 3:0 w 14. kolejce) i Warką Czarnymi Radom (wygrana na wyjeździe 3:1 w 9. serii gier i 3:1 w Częstochowie w 18. kolejce). Po pierwszej części fazy zasadniczej trenerzy pięciu najlepszych ekip Polskiej Ligi Siatkówki wytypowali na łamach „Przeglądu Sportowego" swoje „drużyny marzeń". Na podstawie wyborów Waldemara Wspaniałego (Mostostal Azoty Kędzierzyn-Koźle), Andrzeja Urbańskiego (Bosman Morze Szczecin), Ireneusza Mazura (Galaxia Jurajska AZS Bank Częstochowa), Wojciecha Drzyzgi (Warka Czarni Radom) i Ryszarda Kruka (KS Citroën Nysa) powstała drużyna „Asów Półmetka Polskiej Ligi Siatkówki". Wśród nominowanych środkowych oprócz Arka Gołasia znaleźli się wówczas: Łukasz Kadziewicz (Indykpol AZS Olsztyn), Jakub Markiewicz i Witold Roman (obaj Bosman Morze Szczecin) oraz Robert Szczerbaniuk (Mostostal Azoty Kędzierzyn-Koźle). Dominacja Arka była niepodważalna – czterech na pięciu trenerów wybrało do swojej drużyny gwiazd 19-letniego środkowego z Ostrołęki. Niezależnie od pozycji żaden inny zawodnik nie dostał w tej zabawie tylu głosów co Gołaś. Jedynie trener Urbański miał inne zdanie: „Przestrzegam przed zbyt wczesnym robieniem z tego chłopaka gwiazdy. Znam wielu siatkarzy, którzy świetnie się zapowiadali, lecz zostali zagłaskani. Dlatego apeluję o spokój".

W walce o mistrzostwo Polski głównym rywalem Gołasia i jego kolegów z AZS-u Częstochowa była ekipa z Kędzierzyna-Koźla. Jej barwy reprezentowali wówczas między innymi Sławomir Gerymski, Sebastian Świderski, Marcin Prus i słowacki libero Dušan Kubica. Starcia tych dwóch ekip były ligowymi klasykami, niektórzy mówili nawet o świętej wojnie. „Superstarcia z Mostostalem powodowały, że w miastach kochających siatkówkę wyludniały się ulice, wszyscy zasiadali przed telewizorami – wspomina Gołaszewski. – To było coś niepowtarzalnego, szkoda, że dzisiaj już nie ma takich »wojen«".

Te bitwy dotyczyły nie tylko obu drużyn, lecz także ich sympatyków. Na trybunach bywało gorąco – swoim zachowaniem fani zbliżali się raczej do kibiców piłkarskich niż widzów dzisiejszej siatkówki. Potrafili pluć, rzucali też najróżniejszymi „pociskami" – zdarzały się i czekoladowe draże albo plastikowe rzutki. Niesamowity tumult czyniła też na przykład grupa pań, które przychodziły na mecze wyposażone w… garnki i pokrywki dosłownie ogłuszające siatkarzy.

„Pamiętam, że przed jednym z decydujących o mistrzostwie Polski spotkań dosłownie nie mogliśmy wejść do hali. Takie tam były tłumy! –

wspomina Radosław Panas, wieloletni gracz zarówno Mostostalu, jak i później AZS-u. –
Nie mogliśmy wejść ani my, ani rywale. Dopiero interwencja ochrony sprawiła, że ludzie nieco się rozstąpili i w końcu przedostaliśmy się do środka. Grałem już wtedy ładnych parę lat, ale takiej liczby kibiców na tak małym terenie nigdy wcześniej nie widziałem! Nie sposób było ich wszystkich policzyć. Gdyby to zrobić, straż pożarna miałaby do organizatorów spore pretensje, bo warunki panujące w hali Polonia na pewno nie były przystosowane do przyjęcia tak ogromnej liczby osób. To był chyba ostatni mecz z tak ogromną publicznością, później wprowadzono już przepisy przeciwpożarowe i ograniczono liczbę kibiców, którzy mogli oglądać spotkania na żywo. Tak sobie myślę, że gdyby coś tam się stało, gdyby wybuchła panika, mogłoby dojść do niewyobrażalnej tragedii. Dopiero później dobudowano wielkie drzwi po bokach sali, wcześniej było z niej tylko jedno wyjście. Wolę sobie nie wyobrażać, co by się tam działo…”

„Kibice wiele razy mnie wyzywali, zresztą nie tylko w Kędzierzynie-Koźlu – opowiada z kolei Dacewicz. – Wrogość trybun dało się odczuć także w Jastrzębiu czy Nysie, jednak z czasem można się było przyzwyczaić. Teraz na meczach siatkówki panuje znacznie większa kultura. Wtedy podczas niejednego spotkania można było usłyszeć najwymyślniejszą wiązankę. Nawet nasi fani, gdy wiedzieli, że gra się nam nie układa, że nie jesteśmy w formie, nie bali się wykrzykiwać w naszym kierunku niecenzuralnych słów. Cóż, takie jest prawo kibica. W Częstochowie czasem latały butelki, ale to jeszcze było w miarę kulturalne… Jak pojechaliśmy do Jastrzębia i zbiliśmy ich w meczu ligowym 3:1, to z trybun poleciał łańcuch. Nie jakiś zwykły, nie wiem… rowerowy, tylko taki, którym przypina się krowy na polu! Kubie Markiewiczowi zawiązał się na ręce, sędziemu przeleciał koło ucha. Gdy pojechaliśmy do Nysy, kibice gospodarzy rzucali w nas bateriami i landrynkami, a plucie na serwującego zawodnika było na porządku dziennym. W pewnym momencie naszym sponsorem było Star Foods. Jadąc na każdy mecz, byliśmy wyposażeni w produkty sponsora i rozdawaliśmy kibicom rogaliki. Oczywiście chodziło o promocję firmy wśród naszych fanów, ale my chcieliśmy do wszystkich kibiców podchodzić z sympatią. Pamiętam, że rozdawaliśmy te słynne rogale

w Nysie. Ludzie nam je wtedy oddali i powiedzieli, cytuję, że mamy żreć to, kurwa, sami”.

Zanim jednak doszło do świętej wojny z siatkarzami Mostostalu Azotów w wielkim finale Polskiej Ligi Siatkówki, młody zespół z Częstochowy musiał się oswoić ze standardami panującymi w najwyższej klasie rozgrywkowej. W pierwszych pięciu starciach sezonu 2000/01 siatkarze spod Jasnej Góry doznali aż trzech porażek: ze Stalą Nysa, Mostostalem i Stolarką Wołomin. Większość młodych graczy nie spełniała oczekiwań, jednak 19-letni środkowy z Ostrołęki został przez ekspertów uznany za największą rewelację rozgrywek. W listopadzie 2000 roku Arek prowadził w klasyfikacji najlepiej punktujących zawodników ligi. Był to wynik tym bardziej godny uwagi, że osiągnął go środkowy.

Tak komentował to sam Gołaś w wypowiedzi dla „Przeglądu Sportowego” w listopadzie 2000 roku: „Wydaje mi się, że dobrze sobie radzę. Nie jest tak ciężko, jak myślałem. Stać nas co najmniej na miejsce w pierwszej czwórce, a później medal, pod warunkiem że wszyscy siatkarze wyzdrowieją. Największą presję odczuwamy ze strony kibiców. Oni są przyzwyczajeni do zwycięstw i każda porażka bardzo ich denerwuje. Częstochowscy fani żyją tą dyscypliną, czasami zagadują mnie na ulicy i pytają, kiedy gramy albo dlaczego przegraliśmy”.

W ćwierćfinale fazy play-off gracze z Częstochowy nie mieli większych problemów z pokonaniem AZS-u Olsztyn. W półfinale Gołaś z kolegami zmierzyli się z Jastrzębskim Węglem. Zawodnicy obu ekip zafundowali kibicom horror rozpisany na pięć meczów i zakończony happy endem dla AZS-u. W wielkim finale Polskiej Ligi Siatkówki na akademików czekali dobrzy znajomi z Kędzierzyna-Koźla. W fazie zasadniczej częstochowianie przegrali z Mostostalem Azotami 1:3 u siebie i 2:3 na wyjeździe. Zdecydowanie bardziej bolesna była porażka w finale Pucharu Polski, tym bardziej że Final Four rozgrywano w Kędzierzynie-Koźlu. O ile w meczach ligowych, a szczególnie w drugim z nich, Arek Gołaś i koledzy podjęli jeszcze walkę, o tyle w finale Pucharu Polski nie mieli nic do powiedzenia. 16 grudnia 2000 roku AZS uległ Mostostalowi 0:3, pierwszego seta przegrywając w niespełna kwadrans 15:25.

Drużynę z Kędzierzyna-Koźla chwalił wtedy trener Waldemar Wspaniały. „Zespół przystąpił do gry maksymalnie zmobilizowany i zaangażowany. Czy oba składy spotkają się w finale play-off Polskiej Ligi Siatkówki? Do tego czasu czeka nas jeszcze wiele gier i dużo może się

wydarzyć, ale na chwilę obecną to dwie najlepsze polskie drużyny” – powiedział w wywiadzie dla portalu Interia.pl w grudniu 2000 roku.

Podobnie było w ligowym finale, który kędzierzynianie wygrali pewnie 3:0. „W tamtym momencie Mostostal miał, jak na polskie warunki, tak dobrych zawodników, że trudno było ich ruszyć – uważa Ryszard Bosek. – Od zawsze było tak, że jeśli zgromadziłeś odpowiednią ilość pieniędzy, mogłeś pozwolić sobie na ściąganie najlepszych siatkarzy. Nasza częstochowska młodość rywalizowała z ich doświadczeniem i AZS rzeczywiście trafił na okres, w którym Mostostal był nie do ugryzienia dla żadnej drużyny na krajowym podwórku”.

„W pierwszym sezonie świętowaliśmy sukces, jakim było dla nas zdobycie srebrnego medalu – opowiada Krzysztof Ignaczak. – Zdawaliśmy sobie sprawę, że Mostostal jest zbyt mocnym zespołem, zatem samo dotarcie do finału traktowaliśmy jako spore osiągnięcie, które mocno opiliśmy. W półfinale stoczyliśmy mordercze boje z klubem z Jastrzębia-Zdroju, więc już po tym zwycięstwie byliśmy niesamowicie szczęśliwi. Może za szybko zaczęliśmy cieszyć się srebrnym medalem?”

Jeszcze bardziej zadowoleni byli Sebastian Świderski i Paweł Papke, którzy po decydującym zwycięstwie weszli na stanowisko sędziego w hali Polonia. Zawiesili na niej flagę Mostostalu, symbolicznie „zdobywając” obiekt w Częstochowie. Za pierwszym razem manewr się powiódł, natomiast przy drugiej okazji zawodnicy spod Jasnej Góry byli już przygotowani. Kilku bardzo szybko zdemontowało sędziowski słupek, by odwieczni rywale nie mogli tak ostentacyjnie świętować zwycięstwa w ich hali…

Jedną z najjaśniejszych postaci w zespole z Częstochowy okazał się w tamtym sezonie Arkadiusz Gołaś. Młody środkowy wystąpił w 29 meczach i rozegrał 113 setów, zdobywając w nich 278 punktów. Pod względem liczby zdobytych oczek Gołaś ustąpił w AZS-ie jedynie Grzegorzowi Szymańskiemu (335) i Dawidowi Murkowi (426).

„Ludzie pamiętają o Arku, bo to był fenomenalny gracz, który skakał niemal pół metra wyżej od wielu najlepszych siatkarzy – wspomina prezes Gołaszewski. – Jego atak wyglądał fenomenalnie. Gdy dostawał piłkę od rozgrywającego, słychać było tylko okrzyk: wysoko! A on z lekkością skoczka wzwyż unosił się do piłki i wbijał tak zwane gwoździe. Po jego atakach rywalom spadały skarpety. Jak miał dobry dzień w zagrywce, to leciała tak szybko, że przeciwnicy nie umieli zareagować. Potrafił rozbijać

rywali. Gdy znajdował się pod siatką, a przyjęcie w okolicy twarzy rozgrywającego, to żaden blok na świecie nie był w stanie go zatrzymać”.

Skład AZS-u w sezonie 2000/01: Łukasz Żygadło, Jakub Oczko, Dawid Murek, Michał Bąkiewicz, Radosław Panas, Bojan Konstandinović, Krzysztof Ignaczak, Andrzej Szewiński, Grzegorz Szymański, Siergiej Orlenko, Arkadiusz Gołaś, Damian Dacewicz, Grzegorz Kokociński, Bartosz Szcześniewski. Trenerzy: Ireneusz Mazur, Stanisław Gościniak.

* * *

Drugi sezon w AZS-ie miał się okazać dla Arka jeszcze lepszy. Niezwykle udane debiutanckie rozgrywki, a także powołanie do reprezentacji Polski prowadzonej przez Ryszarda Boska pozwalały wierzyć, że po raz kolejny będzie stanowił ważne ogniwo zespołu spod Jasnej Góry. Już wówczas otrzymał propozycję przejścia do jednego z klubów włoskiej Serie A, lecz wyjazd za granicę na razie nie wchodził w grę.

W AZS-ie Częstochowa było aż pięciu zawodników aspirujących do gry na środku w podstawowej szóstce – Damian Dacewicz, Marcin Nowak, Grzegorz Kokociński, Bartosz Szcześniewski i Gołaś. Po eksplozji formy tego ostatniego w rozgrywkach 2000/01 następne rozpoczęły się nieco mniej spektakularnie. „Goły” doznał bowiem kontuzji kolana, którą leczono artroskopią, i trener Mazur zdecydował, że środkowy powinien wracać do gry powoli i z zachowaniem ostrożności. Gdy Arek doszedł do siebie i był w pełni gotowy, zaczął ponownie pojawiać się w podstawowej szóstce. Jednym z jego największych atutów była skoczność, a przecież każde wyjście w górę wiązało się z obciążeniem świeżo wyleczonego kolana. Szkoleniowiec ekipy spod Jasnej Góry musiał uważać na zdrowie Arka.

W tamtym sezonie w PLS-ie grało wielu bardzo dobrych środkowych o niezłych warunkach fizycznych. Jednym z nich był Robert Szczerbaniuk. Dysponował zdecydowanie mniejszym zasięgiem niż Arek i mogło się wydawać, że Gołasiowi powinno być w pojedynkach z nim zdecydowanie łatwiej. Okazało się jednak, że doświadczony zarówno na polskich, jak i międzynarodowych parkietach popularny „Benek” wymyślił sprytny sposób na poradzenie sobie z fruwającym młokosem z AZS-u Częstochowa. Środkowy Mostostalu skakał po prostu metr od siatki, stając się prawdziwą zmorą Arka, ponieważ wyblokowywał w ten sposób mnóstwo jego ataków.

13 meczów, 47 rozegranych setów i zaledwie 15 zdobytych punktów ze średnią 1,15 punktu na mecz – to statystyki, które nie powalały na kolana. W sezonie 2001/02 Arek zajmował się głównie treningami i obserwowaniem rywalizujących kolegów z kwadratu dla rezerwowych. W jednym z wywiadów sam podkreślał, że drugi sezon w AZS-ie Częstochowa przypominał w jego przypadku raczej roczną przerwę w grze.

„Nie widziałem wtedy u Arka zniecierpliwienia czy żalu z powodu rzadszych występów – ocenia Mazur. – Odniosłem wrażenie, że przyjmował to wszystko, co działo się w drugim sezonie jego gry w AZS-ie Częstochowa, z pokorą i zrozumieniem, że tak po prostu musi być. Miał przecież problemy ze zdrowiem. Wykonano zabieg, po nim musiał nastąpić okres rekonwalescencji. Starsi, bardziej doświadczeni koledzy przekonywali Arka, że zbyt wczesny powrót do gry byłby niepotrzebnym ryzykiem. A miał doradców, którzy wiedzieli, o czym mówią, ponieważ na przykład Damiana Dacewicza po różnych urazach wielu trenerów zdecydowanie za szybko wprowadzało na parkiet. Wartość sportowa Arka była ogromna, ale nie mniej liczyło się jego zdrowie. Dacewicz stanowił najlepszy przykład, że trzeba uważać. Pod koniec kariery miał ogromne problemy ze stawami kolanowymi i musiał przedwcześnie zejść z parkietu. Wracając do Arka – nie było u niego widać znużenia, wręcz przeciwnie, emanował radością, nawet gdy wykonywał po raz setny kolejne nudne ćwiczenie rehabilitacyjne. Cały czas się uśmiechał. Robił to, co kochał”.

W trakcie fazy zasadniczej rozgrywek PLS-u stało się jasne, że kwestia pierwszego miejsca po raz kolejny rozstrzygnie się między zespołami z Kędzierzyna-Koźla i Częstochowy. Ostatecznie Mostostal Azoty finiszował przed AZS-em Częstochowa, z dziewięcioma punktami przewagi. W wielkim finale Arek i spółka ponownie spotkali odwiecznego rywala. O ile w pierwszym meczu częstochowianie nie potrafili podjąć walki z Mostostalem, o tyle w drugim ich gra wyglądała zdecydowanie lepiej. AZS wygrał pierwszego seta 25:21, w drugim długo prowadził, by w końcówce dać sobie wydrzeć zwycięstwo z rąk. Kolejne dwie partie należały do drużyny z Kędzierzyna-Koźla, która w drugim finałowym meczu podtrzymała niesamowitą serię, po raz 13. z rzędu pokonując akademików! Częstochowianie zmobilizowali się na trzecie spotkanie i wygrali 3:0. W meczu numer cztery AZS musiał jednak po tie-breaku uznać wyższość ekipy z Kędzierzyna-Koźla. Tym samym Mostostal drugi raz z rzędu zdobył mistrzostwo Polski.

Skład AZS-u w sezonie 2001/02: Grzegorz Wagner, Jakub Oczko, Sinisa Reljić, Michał Bąkiewicz, Radosław Panas, Krzysztof Ignaczak, Marcin Kryś, Tomass Kalnins, Grzegorz Szymański, Marcin Nowak, Arkadiusz Gołaś, Damian Dacewicz, Grzegorz Kokociński, Bartosz Szcześniewski. Trenerzy: Ireneusz Mazur, Stanisław Gościniak.

* * *

„Tak się chyba po prostu ułożyło, że w tym okresie dominowały w lidze tylko Kędzierzyn-Koźle i Częstochowa – opowiada Dacewicz. – Wielu wspomina, że w tamtych sezonach nie było konkurencji, że liczył się tylko Mostostal i AZS, ponieważ trzy razy z rzędu zespoły te zmierzyły się w wielkim finale. Tak naprawdę około czterech, pięciu ekip biło się o to, by grać w finale, jednak to Częstochowa i Kędzierzyn-Koźle za każdym razem okazywały się lepsze. Amerykanie podkreślają, że w sporcie liczy się tylko ten pierwszy, zwycięzca zostanie zapamiętany, a o tym drugim nikt nie będzie wspominał. Dlatego bolało nas najbardziej, że niby byliśmy tak blisko, a jednak wciąż się nie udawało. Wstydu z całą pewnością nie przynieśliśmy, lecz bezpośrednio po zakończeniu spotkań finałowych towarzyszyło nam rozgoryczenie. Srebrny medal przyjmowano w Częstochowie jako porażkę. Mogę sobie wyobrazić, że gdyby dzisiaj AZS zdobywał srebrny medal, hala przy Żużlowej pękałaby w szwach”.

W sezonie 2002/03 Arek ponownie stał się czołową postacią AZS-u Częstochowa. Duet Damian Dacewicz – Arkadiusz Gołaś stanowił o sile zespołu spod Jasnej Góry. Dwaj środkowi wywalczyli łącznie aż 469 punktów! W fazie zasadniczej zdecydowanie najlepsze były tym razem Mostostal Azoty Kędzierzyn-Koźle (45 punktów, 15 zwycięstw, 3 porażki) i Jastrzębie-Borynia (44–15–3). Siatkarze z Częstochowy uplasowali się zaraz za nimi (38 punktów).

W wielkim finale na częstochowian czekał oczywiście Mostostal Azoty Kędzierzyn-Koźle. „Z roku na rok rośliśmy w siłę, zwiększały się też nasze apetyty – wspomina Ignaczak. – Zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy coraz lepszym zespołem. Nie byliśmy już anonimowymi zawodnikami, część z nas pokazała się w reprezentacji Polski. Arek Gołaś, ja, Michał Winiarski, Dawid Murek czy Michał Bąkiewicz – wszyscy zaczynaliśmy się ogrywać na arenie międzynarodowej. Mieliśmy świadomość, że

dorośliśmy do zwycięstwa nad Mostostalem. Ale co z tego, skoro za każdym razem okazywało się, że to oni wychodzili z tej rywalizacji górą”.

Rywalizacja o mistrzostwo rozpoczęła się od dwóch pewnych zwycięstw Mostostalu (3:1 i 3:0). Później jednak to siatkarze spod Jasnej Góry wygrali kolejne dwa spotkania (3:0 i 3:2). Piąty, decydujący o mistrzostwie Polski mecz rozegrano 7 maja 2003 roku w Kędzierzynie-Koźlu. Pierwszy set padł łupem gospodarzy, w drugim zaś, głównie dzięki świetnej grze Michała Winiarskiego i Arka Gołasia, lepsi byli goście. Do trzech razy sztuka? Niestety dla AZS-u jednym z bohaterów Mostostalu został tego dnia Wojciech Serafin, który w trudnym momencie zastąpił niekwestionowanego lidera drużyny – Sebastiana Świderskiego. Mostostal wygrał kolejne dwa sety oraz cały mecz. I z mistrzostwa Polski mógł się wreszcie cieszyć we własnej hali.

„Najbardziej szkoda mi trzeciego sezonu, kiedy przegraliśmy z Mostostalem po pięciu meczach – mówi Ignaczak. – Swoją drogą to był fantastyczny finał. Na początku przegraliśmy dwa spotkania, wielu wieszało już na nas psy, ale podnieśliśmy się, dogoniliśmy rywali i doprowadziliśmy do wyrównania. Szkoda, że przegraliśmy decydujący mecz. Pod wodzą trenera Edwarda Skorka graliśmy naprawdę dobrą siatkówkę i mieliśmy realną szansę, żeby wreszcie ograć Mostostal. Patrząc tylko na wyniki, można pomyśleć, że zmagaliśmy się z kompleksem drużyny z Kędzierzyna-Koźla, lecz to tylko pozory. Każdy, kto widział zwłaszcza tę ostatnią finałową rywalizację, wie, jak blisko złotego medalu się znaleźliśmy”.

Skład AZS-u w sezonie 2002/03: Andrzej Stelmach, Jakub Oczko, Michał Winiarski, Michał Bąkiewicz, Radosław Panas, Krzysztof Gierczyński, Krzysztof Ignaczak, Grzegorz Szewiński, Grzegorz Szymański, Marcin Nowak, Arkadiusz Gołaś, Damian Dacewicz, Grzegorz Kokociński. Trenerzy: Edward Skorek, Stanisław Gościniak.

* * *

Sezon 2003/04 ugruntował pozycję Arka Gołasia w Polskiej Lidze Siatkówki. Był to już ostatni etap przed wyjazdem do Włoch. Wyjątkowość tej edycji rozgrywek polegała na tym, że w finale… nie spotkały się zespoły z Kędzierzyna-Koźla i Częstochowy. Mostostal Azoty nie zdołał nawet

awansować do półfinału! Zdecydowanie mocniejsze kadrowo okazały się drużyny Jastrzębskiego Węgla czy PZU AZS-u Olsztyn.

W półfinale Arek i spółka stoczyli heroiczne boje z ekipą z Jastrzębia-Zdroju. AZS Częstochowa prowadził w całej rywalizacji już 2-1, by ostatecznie – po dwóch porażkach w tie-breakach – przegrać pięciomeczową batalię 2-3. To właśnie po tym ostatnim meczu Arek wrócił do domu i rozpłakał się w ramionach Agnieszki…

W walce o brązowy medal, po kolejnych pięciu spotkaniach, akademicy okazali się lepsi od Skry Bełchatów. W rozgrywkach 2003/04 forma Gołasia była tak wysoka, jak jeszcze nigdy dotąd. Środkowy z Ostrołęki zdobył w nich 381 punktów, notując znakomitą na tej pozycji średnią 11,55 punktu na mecz.

„Pod względem sportowym Arek był rewelacyjny – uważa Michał Winiarski. – Jego konikiem był atak. Pamiętam, że gdy tylko mieliśmy problemy, to wystarczyło postawić tak zwaną piłkę metrową, bo Arek nie chodził na taką typową krótką, i było po sprawie. Miał tak imponujące parametry, że bardzo często wykorzystywaliśmy go w ofensywie jako pierwszą opcję. Do tego miewał niesamowite zrywy w zagrywce. Często bywało tak, że w ważnych meczach potrafił zrobić kilka punktów z rzędu, podczas gdy innym razem przez cały mecz przebijał się tylko ze dwa razy”.

Choć Arek był znany ze spokoju i pozytywnego podejścia, to jednak gdy ktoś nadepnął mu na odcisk, potrafił zareagować. Widzowie mogli się o tym przekonać właśnie w jego ostatnim sezonie rozgrywanym w Polsce. Podczas jednego ze spotkań z AZS-em Politechniką Warszawską Gołaś z każdą kolejną akcją coraz bardziej nerwowo reagował na decyzje podejmowane przez duet sędziowski. Rozpoczął swój show po jednej z akcji, gdy niezadowolony z całej siły cisnął piłką o parkiet. Po tym wybryku arbitrzy pozostali niewzruszeni. Kiedy jednak chwilę później Gołaś pociągnął siatkę, sędziowie ukarali go żółtą kartką. Po zakończeniu meczu Arek nie chciał komentować tych decyzji, ale jednocześnie dał do zrozumienia, że nie żałuje swojego zachowania – miał się w ten sposób dodatkowo zmotywować i dzięki temu zaczął grać zdecydowanie lepiej. Główny komisarz PLS-u Cezary Matusiak zapowiedział karę finansową dla środkowego AZS-u, podkreślając, że impulsywne zachowania zdarzały się Gołasiowi już wcześniej. Jak obiecał, tak zrobił. Poza Arkiem grzywnę przyznano także Waldemarowi Wspaniałemu. Zawodnik i trener mieli zapłacić po 500 złotych.

Zdaniem wielu dziennikarzy i kolegów z boiska największe postępy Arek poczynił pod okiem Edwarda Skorka. Trener AZS-u Częstochowa wyciągnął z niego wszystko, co najlepsze, między innymi podczas indywidualnych zajęć. Dzięki temu, że w czasach kariery zawodniczej Skorek był jednym z najlepiej blokujących na świecie, szybko znalazł z młodym siatkarzem wspólny język. Ale nasz mistrz świata i mistrz olimpijski pamięta także, że Arek wcale nie był ideałem w kwestii przykładania się do zajęć. „Raz nawet musiałem wziąć jego i Grzesia Szymańskiego na rozmowę wychowawczą – wspomina Skorek. – Obaj nie lubili jakichś zajęć atletycznych i próbowali mnie oszukać, opuszczając niektóre stacje z ćwiczeniami. Wyjaśniłem im, że to nie mnie oszukują, lecz samych siebie, bo jeśli będą postępować w taki sposób, kiedyś, dobrze po trzydziestce, obudzą się jako gracze, którzy nie wykorzystali swoich olbrzymich przecież talentów. Do Grześka to dotarło, ale Arek miał swoje zdanie, a poza tym długo bazował na niesamowitej, wrodzonej skoczności. Trochę jechał, jak to się mówi, na talencie. Nie zapominajmy jednak, że wtedy to byli bardzo młodzi ludzie, którymi czasem trzeba było odrobinę potrząsnąć”.

* * *

Lata 2001 i 2002 okazały się przełomowe dla polskiej siatkówki – tak klubowej, jak i reprezentacyjnej. W 2001 roku Polska po raz pierwszy zorganizowała turniej finałowy Ligi Światowej. Również czołowe polskie kluby gościły u siebie uczestników prestiżowych rozgrywek: AZS wystąpił w roli gospodarza Final Four Top Teams Cup, a Mostostal – Ligi Mistrzów.

O Puchar Top Teams walczono w Częstochowie 16 i 17 marca 2002 roku. W fazie grupowej Gołaś i spółka trafili na holenderski Piet Zoomers Apeldoorn, czeski Jihostroj Czeskie Budziejowice i słoweński Calcit Kamnik. Częstochowianie zaliczyli pięć zwycięstw i ponieśli jedną porażkę (0:3 z Piet Zoomers), z dorobkiem 11 punktów wygrywając ten etap rywalizacji. W ćwierćfinale dwukrotnie (3:0 u siebie i 3:1 na wyjeździe) pokonali słowacki Matador Púchov. W półfinale AZS uległ 1:3 belgijskiemu Knack Roeselare, późniejszemu zwycięzcy turnieju. W meczu o brąz częstochowianie byli lepsi od ukraińskiego Łokomotywu Charków.

Trzy dni przed startem częstochowskich zawodów zmarł legendarny trener Hubert Jerzy Wagner. Jego syn Grzegorz był wówczas pierwszym rozgrywającym AZS-u. Mimo tragedii nie zrezygnował z występu. Finałowy turniej Top Teams Cup miał być swoistym odreagowaniem – siatkarze spod Jasnej Góry chcieli w pewien sposób oddać hołd wielkiemu zawodnikowi i trenerowi.

„Choć nie były to najważniejsze rozgrywki w Europie, sukces w pucharach zawsze jest cenny – zauważa Krzysztof Ignaczak. – Final Four Top Teams rozgrywano na naszym podwórku, w Częstochowie. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że mieliśmy wtedy zespół, który jak najbardziej było stać na występ w finale. Myślę, że jako drużyna spaliliśmy się. Brakowało nam po prostu ograna na arenie międzynarodowej. Zapłaciliśmy cenę za to, że w lidze rozgrywaliśmy tylko kilka spotkań na najwyższym poziomie, a i w reprezentacji Polski zaliczało się zdecydowanie mniej meczów niż obecnie. Nie nabieraliśmy doświadczenia tak szybko, jak to się dzieje teraz. Gra w takim turnieju wiązała się ze sporym stresem. Może gdybyśmy zagrali nie u siebie, ale na wyjeździe, byłoby nam łatwiej i nie czulibyśmy dodatkowej presji? Wtedy wielu z nas miało przeświadczenie, że musimy wygrać”.

Tydzień po niewątpliwym sukcesie AZS-u Częstochowa, jakim było zdobycie brązu w Final Four Top Teams Cup, w słynnym opolskim Okrąglaku rozegrano Final Four Ligi Mistrzów. Gospodarzem imprezy był Mostostal Azoty Kędzierzyn-Koźle. Mimo niewielkiej odległości dzielącej Częstochowę od Opola siatkarze AZS-u nie zdecydowali się obejrzeć na żywo poczynań odwiecznego rywala. Arek i jego koledzy z drużyny woleli się skupić na przygotowaniach do najważniejszych spotkań w rozgrywkach ligowych.

Dzięki zdobyciu srebrnego medalu w PLS-ie w sezonach 2001/02 i 2002/03 Arek mógł spełnić kolejne marzenie, jakim była gra w Lidze Mistrzów. Niestety w obu tych startach AZS nie zawojował europejskich rozgrywek. Jedną z przyczyn nieudanej przygody w LM było kolejne przemeblowanie składu, a w pierwszym sezonie – zbyt małe doświadczenie zespołu. W rozgrywkach 2002/03 akademicy trafili na bułgarskiego Lewskiego Sofia, belgijskie Noliko Maaseik i grecki Olympiakos Pireus. Częstochowianie powalczyli już w pierwszym meczu, z Noliko, ulegając tej silnej drużynie dopiero po tie-breaku 2:3. A w kolejnym spotkaniu AZS okazał się lepszy od Olympiakosu (3:1).

W debiutanckim sezonie Arka Gołasia w Lidze Mistrzów AZS z sześciu meczów wygrał tylko jeden i zajął ostatnie miejsce w grupie. Niewiele lepiej było rok później. W rozgrywkach 2003/04 w fazie grupowej częstochowianie po raz kolejny spotkali się z Olympiakosem Pireus, a także z SCC Berlin i włoskim Sisleyem Treviso. Raz jeszcze AZS zakończył przygodę w LM na fazie grupowej, odnosząc pojedyncze zwycięstwo (3:0 w ostatnim meczu z SCC Berlin).

Różnica poziomu gry między polskimi klubami a zespołami z Europy była znaczna. Nikt wówczas nie liczył na regularne zwycięstwa. Jedyną wizytówką Polski na arenie międzynarodowej był Mostostal, któremu udało się nawet sięgnąć po brązowy medal Ligi Mistrzów. W drużynie z Kędzierzyna-Koźla występowało wielu kadrowiczów, spośród filarów reprezentacji Polski nie grał tam chyba tylko Dawid Murek. Pozostałe drużyny mogły skutecznie walczyć jedynie w rozgrywkach drugiej kategorii, i to raczej wtedy, gdy nie musiały się mierzyć z zespołami z Rosji i Włoch. Słabych wyników AZS-u nikt rozsądny nie traktował więc jako rozczarowania.

ROZDZIAŁ 7

BIAŁO-CZERWONE SPEŁNIENIE MARZEŃ

Sofia, 6 maja 2001 roku. Reprezentacja Polski siatkarzy przegrywa 2:3 z Bułgarią. Nikt jednak nie robi z tego wyniku tragedii, bowiem już dzień wcześniej Biało-Czerwoni zapewnili sobie awans na mistrzostwa Europy. Selekcjoner Ryszard Bosek mógł więc trochę poeksperymentować i dać szansę młodszym graczom. W taki sposób po raz pierwszy w meczu o punkty wybiegł na boisko w biało-czerwonym stroju Arek Gołaś. Zastąpił Jarosława Stancelewskiego. Dziennikarz „Przeglądu Sportowego" Kamil Drąg relacjonował, że gospodarze od początku wypowiedzieli Polakom straszną bitwę, jednak początkowo ginęli od własnej broni. Bo to Polacy zagrywali mocniej, celniej i skuteczniej. W tym starciu Ryszard Bosek dał szansę Michałowi Bąkiewiczowi i Gołasiowi, a Piotr Gruszka zastąpił Pawła Papkego w ataku. W tie-breaku szło dobrze, aż do stanu 8:5. Później aut Papkego i dwa fatalne błędy młodego Gołasia na środku dały prowadzenie gospodarzom. Polakom nie pomógł fenomenalny as serwisowy Dawida Murka przy pierwszym meczbolu. „W poczynania moich graczy wdarła się niepotrzebna nerwowość. Popełniliśmy sporo prostych błędów – tłumaczył ówczesny selekcjoner. – Dałem szansę gry Arkowi Gołasiowi i Michałowi Bąkiewiczowi, których gdzieś muszę sprawdzić. Ryzykowaliśmy porażką i stało się". Z kolei Arek podsumował krótko: „Bardzo się cieszę, że trener w ogóle dał mi szansę na występ, i sądzę, że dobrze ją wykorzystałem. Muszę poprawić zagrywkę i blok".

To był dla Gołasia pierwszy reprezentacyjny mecz o punkty (wcześniej zagrał jeszcze w kilku sparingach). W sumie środkowy wystąpił w reprezentacji Polski 141 razy. Wziął udział w czterech edycjach Ligi Światowej oraz w igrzyskach olimpijskich, mistrzostwach świata i mistrzostwach Europy. Zaczynał u doskonale znającego częstochowskie środowisko trenera Boska. Ten zdecydował się na odważny ruch, bo wysłał powołanie chłopakowi, który wiekowo mieścił się nadal w kategorii juniorów! W całej drużynie powołanej w 2001 roku na Ligę Światową mniej występów w kadrze niż środkowy AZS-u zaliczył tylko Łukasz

Kadziewicz (pięć spotkań przy sześciu Gołasia). Bosek trochę zaskoczył, bo postawił na młodych środkowych, rezygnując między innymi z usług Marcina Nowaka. Dziś przekonuje, że stawiał na graczy, w których widział przyszłe gwiazdy mające największą szansę na rozwój. Szczególnie Gołasiowi chciał jak najszybciej zapewnić grę przeciwko możliwie najsilniejszym rywalom, bo młody środkowy z Ostrołęki miał potencjał, by stać się jednym z najlepszych polskich środkowych.

„Kiedy Ireneusz Mazur po raz pierwszy zobaczył w akcji Mariusza Wlazłego, powiedział, że ten gość będzie grał w siatkówkę na najwyższym poziomie – wspomina Piotr Gruszka, późniejsza legenda reprezentacji (na koncie ma 450 występów oraz chociażby tytuł MVP mistrzostw Europy, wygranych przez Biało-Czerwonych w 2009 roku). – Myślę, że Ryszard Bosek miał bardzo podobne zdanie o Arku. Szanuję Marcina Nowaka, ale tą decyzją trener dał do zrozumienia, na kogo postawi, na jakich osobach chce opierać kadrę. Wielu szkoleniowcom ogromną trudność sprawia danie szansy młodym zawodnikom, choćby drzemał w nich nieprawdopodobny potencjał. Oczywiście siatkarsko oni nie są jeszcze w pełni rozwinięci, ale to właśnie regularna gra stanowi najlepszy trening. Żadne ćwiczenia, nawet z najlepszymi zawodnikami na świecie, nie dadzą tyle, co zmierzenie się z nimi twarzą w twarz po przeciwnych stronach siatki, w meczu o stawkę”.

Bosek bronił swojej decyzji, twierdząc, że zna możliwości i ograniczenia Nowaka, grającego od kilku lat na tym samym, równym poziomie. Zdaniem selekcjonera Gołaś był po prostu lepszy – porównał go nawet do jednego z najwybitniejszych polskich siatkarzy w historii, Tomasza Wójtowicza. „Arek był bardzo dziwnym człowiekiem jak na tamte czasy i naszą rzeczywistość – śmieje się trener Bosek. – Cechowała go skromność i pozytywne nastawienie. Nie od razu stał się jednym z najlepszych środkowych na świecie, ale było oczywiste, że to kwestia kilku lat. Arek nigdy nie prowokował konfliktów, od lat powtarzałem i powtórzę jeszcze nie raz, że był chyba najmniej konfliktowym zawodnikiem w tamtej kadrze. Życzył dobrze wszystkim wokół. Jeśli zdarzały mu się delikatne fochy, to tylko wtedy, gdy był zły na siebie, bo coś mu się nie udawało. Nigdy nie chciał zostać liderem reprezentacji, nie pchał się na świecznik, na pierwszym miejscu zawsze stawiał doskonalenie swojej gry. Mówi się, że są dwa rodzaje liderów. Po pierwsze ci, którzy przewodzą w szatni, lecz wcale nie muszą być wybitnymi zawodnikami. I po drugie ci, którzy w szatni nie wiodą prymu, ale są najlepsi na parkiecie. Arek należał do tego

drugiego typu. Powierzone mu zadania wykonywał na sto procent i z pełnym zaangażowaniem, ale wcale nie chciał i nie miał predyspozycji, żeby kierować grupą. Od tego byli inni”.

* * *

Chyba najlepszym przykładem tego, jaką drogę przeszła ówczesna reprezentacyjna siatkówka, są rozgrywki Ligi Światowej. Po raz pierwszy Polska wzięła w nich udział w 1998 roku. Było to pokłosie awansu na olimpiadę w Atlancie w 1996 roku i zdobycia mistrzostwa świata juniorów rok później. W 1998 roku strategicznym partnerem polskiej siatkówki został operator sieci Plus GSM. Dzięki wspólnemu wysiłkowi Polskiego Związku Piłki Siatkowej i głównego sponsora udało się przedstawić Ligę Światową w taki sposób, że rodzima publika z miejsca pokochała nowe rozgrywki. Receptą na sukces okazało się postawienie na show. Sportowemu pokazowi na parkiecie towarzyszyły atrakcje zaplanowane dla publiczności – konkursy z nagrodami, doskonałe nagłośnienie, profesjonalny spiker. „Światówka” przyniosła nową jakość kibicowania – trybuny rozkwitły kolorami, reakcje publiczności stały się żywe i głośne. Kibice po prostu zaczęli się dobrze bawić.

Fani coraz mocniej identyfikowali się z reprezentacją narodową. Obecnie może się to wydać niepojęte, ale wówczas nowością była choćby możliwość kupienia koszulek, czapeczek i innych okazjonalnych gadżetów dla kibiców. PZPS i Plus GSM trafili w dziesiątkę – Liga Światowa szybko osiągnęła w naszym kraju status kultowych rozgrywek, wyczekiwanych z roku na rok przez całe rodziny. Ten boom na siatkówkę i znakomita postawa kibiców sprawiły, że już w 2001 roku Polsce powierzono organizację finałów Ligi Światowej. Dzięki temu nasza reprezentacja miała automatycznie zapewniony udział w ich decydującej fazie. Zgodnie z regulaminem Polacy i tak musieli przystąpić do rozgrywek w grupie kwalifikacyjnej z Rosjanami, Wenezuelczykami i Grekami. Odmłodzona kadra Ryszarda Boska odniosła pierwszy sukces, zwyciężając 3:0 Grecję. Debiut w „światówce” 11 maja 2001 roku Arek Gołaś zapamiętał na zawsze. Na warszawskim Torwarze po raz pierwszy wystąpił przed tak liczną, kilkutysięczną publicznością. Wspaniały doping pomógł przezwyciężyć nerwy towarzyszące występowi w dorosłej kadrze. Jego

debiutancki mecz w Lidze Światowej oglądali z trybun tata Tomasz Gołaś i pierwszy klubowy trener, Krzysztof Felczak.

„Na początku byłem stremowany, lecz pomogła mi wspaniała publiczność – komentował na gorąco Gołaś. – Pierwszy raz grałem przed tak liczną widownią. Czułem się świetnie, a na trybunach zasiedli mój tata, a także trener pierwszego klubu, w którym występowałem, MOS-u Wola Warszawa".

„Arek znalazł się w kadrze, gdy był już gotowy, zarówno fizycznie, jak i mentalnie, na takie wyzwanie, na występy w reprezentacji – ocenia trener Ireneusz Mazur. – Zbyt duża ilość obowiązków mogła mu troszkę przeszkodzić w treningach do mistrzostw świata juniorów, bo Arek i cały zespół słabo wypadli w turnieju, do którego przystępowali jako faworyci. To jednak dla mnie żadna nowość, bo przecież miałem swoich młodych chłopaków, którzy poszli ławą do kadry prowadzonej przez Jurka Wagnera. I ciężko było im potem wrócić do rywalizacji z juniorami. Chcąc nie chcąc traktowali to jako swego rodzaju degradację i potrzeba było bardzo mocnej pozycji trenera, aby ich znów zmobilizować do walki na »młodszym« froncie. Wiem, bo widziałem ten proces z bliska, i zdaję sobie sprawę, jak dużej pracy wymagało ponowne przestawienie zawodników".

„Moje serce rosło – mówi z kolei Krzysztof Felczak. – Z każdym kolejnym ligowym występem Arek poczynał sobie coraz śmielej, potem przyszło pierwsze powołanie do reprezentacji Polski, udział w wielkich imprezach. Pracowałem wtedy w Polskim Związku Piłki Siatkowej w Wydziale Szkolenia i razem z Krzysiem Kowalczykiem napisałem specjalną uchwałę, której efektem miało być nagrodzenie pierwszych trenerów ówczesnych reprezentantów kraju za ich wkład w rozwój polskiej siatkówki. Z tego, co pamiętam, to był jedyny raz, gdy PZPS zaprosił na swój koszt pierwszych wychowawców siatkarzy. Wypadło akurat na mecz Ligi Światowej w Katowicach. Związek uhonorował ich pamiątkowymi paterami. Wiem, że było to dla nich ogromne przeżycie. Dla nas, szkoleniowców pracujących z młodzieżą, niezwykle ważny jest ten pierwszy trener. To właśnie dzięki tym osobom przyszli reprezentanci mogli w ogóle zacząć się rozwijać. Renisław Dmochowski i Lucjan Łomacz zachęcili Arka do siatkówki, zaprosili go do tego sportu i moim zdaniem należą im się za to wielkie słowa uznania!"

Ostatecznie w Lidze Światowej Polacy zajęli w swojej grupie drugie miejsce, premiowane przepustką do turnieju finałowego. Nikt nie mógł im

zarzucić, że dostali coś za darmo, nikt nie mógł zakwestionować prawa do zmierzenia się z najlepszymi. Kilka przeżyć związanych z tą edycją „światówki” sprawiło zresztą, że reprezentanci Polski zaczynali tworzyć prawdziwą drużynę. Szczególnie scementował ją wyjazd na dwumecz do wenezuelskiego Cabimas.

„Mecze z Wenezuelą pamiętam bardzo dobrze – wspomina Piotr Gruszka. – Nie tylko dzięki zwycięstwom w dramatycznych okolicznościach, lecz również dlatego, że miałem wtedy okazję dłużej pogadać z Arkiem. O siatkówce rozmawialiśmy bardzo często. Obaj wywodziliśmy się ze środowiska częstochowskiego, znaliśmy się dobrze i wiedzieliśmy, gdzie można wyjść, dobrze się pobawić i odpocząć. Dlatego podczas wyjazdów kadrowych było nam zdecydowanie łatwiej znaleźć wspólny język. Wymienialiśmy się doświadczeniami. Opowiadałem o sytuacjach, które spotkały mnie, gdy grałem we włoskich klubach z Padwy i Cagliari. Arek z kolei mówił mi sporo o swoim pierwszym sezonie w AZS-ie Częstochowa, który okazał się dla niego tak bardzo udany”.

Wielki finał Ligi Światowej rozegrano między 25 a 30 czerwca 2001 roku. Wystąpiło w nim osiem drużyn: oprócz gospodarzy, Polski, także Brazylia, Francja, Holandia, Jugosławia, Kuba, Rosja i Włochy. Młodzi zawodnicy, jak Arek Gołaś, Łukasz Kadziewicz czy Michał Bąkiewicz, ale i część starszych, po raz pierwszy posmakowali wtedy wielkiej siatkówki. Z perspektywy czasu można śmiało oceniać, że pod koniec czerwca 2001 roku reprezentacja Polski wykonała milowy krok naprzód. Gołaś miał okazję stanąć naprzeciw najlepszych siatkarzy świata, takich jak Aleksiej Kazakow, André Nascimento czy Ivan Miljković. Dawało to ogromnego kopa do jeszcze bardziej wytężonej pracy.

„Ten turniej był dla nas wielkim świętem – opowiada Gruszka. – Jeśli mam być szczery, ani ja, ani Arek Gołaś, ani w ogóle nikt z nas nawet nie myślał o zwycięstwie w finałach Ligi Światowej. Wśród całego tego szaleństwa, jakie ogarnęło Katowice, twardo stąpaliśmy po ziemi. W Spodku zobaczyliśmy, że w polskiej siatkówce coś się zaczyna dziać. Oczywiście sportowo tamta reprezentacja zapłaciła frycowe, ale drużyna została przecież odmłodzona i wielu bardzo niedoświadczonych graczy rzucono na głęboką wodę. Arek? Nie był jeszcze wtedy wiodącą postacią kadry, miał zaledwie 20 lat. Ale nie zapomnę nigdy widoku jego twarzy, gdy staliśmy w tunelu prowadzącym na boisko. Ogromna radość

i pozytywne podenerwowanie. Ten tunel jest zresztą bardzo specyficzny, bo gdy się tam stoi, dźwięki są tak wytłumione, że można odnieść wrażenie, jakby wychodziło się na trening, a nie na mecz. Ale gdy wybiegaliśmy na parkiet, ogłuszył nas niesamowity doping. Można go śmiało porównać z tym, który nasi kibice zgotowali podczas otwarcia mistrzostw świata w 2014 roku na Stadionie Narodowym w Warszawie!”

W grupie E turnieju finałowego Polacy zmierzyli się z Brazylijczykami, Jugosłowianami i Francuzami. W pierwszym meczu, przeciwko Canarinhos, Biało-Czerwoni wygrali otwierającego seta 25:19. Niestety potem Polacy gaśli w oczach, oddając rywalom trzy sety i zwycięstwo. W drugim spotkaniu nasi siatkarze pokazali, że urwanie seta Brazylii nie było dziełem przypadku – po świetnej, pełnej zwrotów akcji walce pokonali Francję 3:2. Mecz z Jugosławią miał decydować o awansie do półfinału. Rywal okazał się zdecydowanie za silny dla naszej odmłodzonej drużyny – przegraliśmy wyraźnie, 0:3, kończąc tym samym piękną przygodę z Ligą Światową 2001.

Dla Arka już sama obecność w składzie reprezentacji była wówczas ogromnym wyróżnieniem. Nie zapominajmy, że mowa o zawodniku, który w tym samym roku brał udział w mistrzostwach świata na poziomie juniorskim. W seniorskiej kadrze na razie pełnił funkcję rezerwowego środkowego. Wystąpił w siedmiu z 15 spotkań rozegranych w Lidze Światowej, zdobywając łącznie 21 punktów.

Najlepsze występy w Lidze Światowej Arek zanotował w latach 2003 i 2004. W 2003 roku trenerem reprezentacji Polski był już Waldemar Wspaniały, który dobrze znał „Gołego” z rywalizacji w lidze. Od razu w pierwszych meczach, przeciwko Hiszpanii, Gołaś pokazał, że stać go na wiele – 17 punktów zdobytych w jednym spotkaniu to kapitalny wynik dla środkowego. W 2003 roku Arek uzbierał w Lidze Światowej 93 punkty w 10 meczach (aż czterokrotnie po 10 i więcej). A to wcale nie był szczyt jego możliwości – rok później, pod skrzydłami Stanisława Gościniaka, osiągnął w 12 meczach niesamowitą liczbę 121 punktów!

W roku 2005 kadrę prowadził już Raúl Lozano, a Arek ugrał 66 oczek i należał do pierwszoplanowych postaci Final Four, rozgrywanego w dniach 8–10 lipca w Belgradzie. Polacy awansowali wówczas do finałów dzięki wygraniu grupy. Mierzyli się w niej z Serbią i Czarnogórą, Grecją oraz Argentyną. Dziewięć zwycięstw i trzy porażki pozwoliły im zająć pierwsze

miejsce i awansować do fazy finałowej. Tam na Polaków czekali Kubańczycy, których bez udziału Arka pokonaliśmy 3:2.

Półfinałowe starcie z gospodarzami, Serbią i Czarnogórą, przeszło do siatkarskiej historii. Polacy wygrali dwa pierwsze sety 26:24 i 25:19. W trzecim prowadzili już 22:17 i wydawało się, że jedynym możliwym scenariuszem jest zwycięstwo naszych siatkarzy 3:0. Serbowie jednak zdołali jakimś cudem odrobić straty i po zwycięstwie w tie-breaku to oni cieszyli się z awansu do wielkiego finału. Arek wywalczył 11 punktów (z czego 3 blokiem), ustępując pod tym względem tylko Mariuszowi Wlazłemu (20 punktów). Niesamowity mecz rozegrał Ivan Miljković, zdobywając 32 punkty, z czego aż 27 atakiem i 5 zagrywką.

O brąz Polska walczyła z Kubą. Prowadziliśmy w setach 2:1, lecz niestety w końcówce nasi siatkarze zaczęli opadać z sił i przegrali całe spotkanie. Drużyna Lozano przeżyła wówczas jedno z największych rozczarowań – mecz o złoto mieli na wyciągnięcie ręki, a skończyli na znienawidzonym przez sportowców czwartym miejscu. Przeciwko Kubie Arek zgromadził 10 oczek. Były to jego ostatnie punkty w Lidze Światowej.

„Prowadziliśmy z Serbami 2:0 – wspomina Gruszka. – Trwał trzeci set, na tablicy 22:17 dla nas, wszystko wyglądało kapitalnie. Pamiętam tę walkę z braćmi Grbić, Miljkoviciem i innymi. Po naszej stronie na lewym skrzydle stał »Świder«, ja na środku z tyłu, Arek na środku z przodu. Niestety, nie potrafiliśmy wykorzystać atutów żadnego z nas i przegraliśmy tego cholernego seta, a potem cały mecz. Dzień później daliśmy się ograć Kubie 2:3. Wracaliśmy do domów bez medalu, z olbrzymim rozgoryczeniem. Lozano pokazał nam na kartkach wyliczenia, jak prezentujemy się w bloku, a jak w ataku na tle najlepszych drużyn na świecie. Różnica między nimi a nami wcale nie była tak duża, jak mogło się wydawać. Na jednego seta Włosi czy Rosjanie blokowali średnio 3,5 piłki. My – 2,9, więc naprawdę niemal im dorównywaliśmy. Sami nigdy nie analizowaliśmy tego w podobny sposób. To właśnie Raúl otworzył nam oczy, że jesteśmy mocniejsi, niż nam się zdaje, i że możemy naprawdę wiele ugrać”.

„Ktoś mądry powiedział kiedyś, że jeśli nie przegrywasz, to i nie odnosisz później sukcesów – zauważa Krzysztof Ignaczak. – Finałowy turniej Ligi Światowej w 2005 roku był pierwszym, w trakcie którego poczuliśmy, że naprawdę możemy coś osiągnąć. Porażka zabolała, długo

o niej z Arkiem rozmawialiśmy. Mieliśmy Serbów na widelcu i można się teraz zastanawiać, czy to my przegraliśmy ten mecz, czy przeciwnicy go wygrali? Dlaczego selekcjoner Serbów tak długo trzymał Miljkovicia na boisku, mimo że ten nadawał się do zmiany w pierwszej kolejności?! Ano dlatego, że w końcówce trzeciej partii Ivan »Groźny« odpalił i wygrał Serbom mecz praktycznie w pojedynkę. Pytałem potem Ljubo Travicę, dlaczego tak się stało. Powiedział mi… że sam nie wie. Po prostu Miljković się odblokował i był absolutnie nie do zatrzymania. Szkoda, że w tamtym momencie nie udało się wywalczyć medalu Ligi Światowej. Ale zdobyliśmy cenne doświadczenie, a to, co nie udało się w 2005 roku, wynagrodziły rok później mistrzostwa świata w Japonii".

„Ponieśliśmy kilka bolesnych porażek – przyznaje Łukasz Kadziewicz. – Arek, ja, cały zespół i trener Lozano kilkakrotnie tak dostaliśmy w papę, że nie było czego zbierać. W 2005 roku mogliśmy i powinniśmy zagrać z Brazylią w finale Ligi Światowej. Stało się inaczej. Nasza wspólna droga nie była usłana wyłącznie różami, zdarzały się też na niej ciernie. A czy rozpamiętywaliśmy porażki? Szybko się zorientowaliśmy, że gdy przegrywamy, to tak naprawdę do zwycięstwa brakuje niewiele, trzeba więc ćwiczyć jeszcze więcej i wytrwalej. W tamtym okresie Raúl był gościem, który wynosił na piedestał ciężką pracę. Miał mocne argumenty. Mówił nam, że jeżeli byliśmy blisko zwycięstwa i niewiele brakowało do końcowego sukcesu, to znaczy, że na treningu potrzebowaliśmy jeszcze większego wycisku. A że Arek uwielbiał ciężko pracować, jemu takie zalecenia były na rękę".

* * *

Ukoronowaniem gry w drużynie narodowej był występ na igrzyskach olimpijskich. Dla siatkarza był to najważniejszy turniej na świecie, dużo bardziej prestiżowy niż mistrzostwa kontynentów czy nawet mundial. Awans Biało-Czerwonych na olimpiadę w Atenach w 2004 roku uważano w naszym kraju za obowiązkowy, by polska siatkówka mogła się nadal rozwijać – na turnieju w Sydney w 2000 roku nasi siatkarze w ogóle nie wystąpili. Nikt nie wyobrażał sobie absencji reprezentacji na kolejnych igrzyskach.

Jak się okazało, droga Arka i jego kolegów do stolicy Grecji była kręta i wyboista. Wiodła przez Lipsk i Porto. W europejskim turnieju

kwalifikacyjnym Polacy wprawdzie pokonali Niemców 3:2, lecz wyraźnie, do zera, ulegli zarówno Bułgarii, jak i Rosji. Po takim laniu trudno było o optymizm, ale trener Stanisław Gościniak i jego zawodnicy czekali na wyniki losowania rozgrywek interkontynentalnych. Los obszedł się z naszą reprezentacją bardzo łagodnie – przyszło jej zmierzyć się z Portugalią, Kazachstanem i Wenezuelą, podczas gdy w innej grupie, w Madrycie, mogłaby trafić na Hiszpanów, Holendrów i Kubańczyków, a więc znacznie bardziej wymagających rywali.

Najsłabszą drużyną naszej grupy był Kazachstan. Polaków uznano za faworytów, ale Portugalczycy też potrafili grać w siatkówkę, a Wenezuela straszyła świetnym Ernardo Gómezem. Rywali z Ameryki Południowej Biało-Czerwoni odprawili z kwitkiem, zwyciężając 3:0, a Arek zdobył 8 punktów. Przed meczem z Polską Portugalczycy szukali różnych sposobów, by sobie pomóc. Nie uruchomili klimatyzacji, przez co temperatura w hali przekraczała 30 stopni, a wilgotność powietrza sięgała 75 procent. W takich warunkach trudno normalnie funkcjonować, nie mówiąc o walce o awans na igrzyska olimpijskie! Interweniować próbowali zawodnicy, a także kierownictwo polskiej ekipy. Doszło do awantury z udziałem policji, zapanował chaos. A był to dopiero przedsmak zbliżających się emocji.

Pierwszego seta zespół Stanisława Gościniaka wygrał pewnie, 25:18. Kolejne dwa zakończyły się jednak przegranymi – 18:25 i 27:29. Perspektywa wyjazdu na igrzyska zaczęła się oddalać… Gdy jednak w czwartej partii Polacy zwyciężyli 25:19, wydawało się, że wrócili na właściwe tory i tie-break będzie formalnością. Tymczasem Portugalczycy zaczęli piątego seta z ogromnym animuszem i w pewnym momencie prowadzili 9:6. Na domiar złego po udanym ataku bolesny skurcz złapał Dawida Murka, najskuteczniej punktującego siatkarza w polskim zespole. Jego miejsce musiał zająć Piotr Gruszka. Od stanu 7:10 Polacy wygrali trzy akcje z rzędu, a do wyrównania doprowadził kapitalnym blokiem Arek Gołaś. Tie-break skończył się wynikiem 15:12 dla Polski, a cały mecz – zwycięstwem 3:2. „Goły” zdobył w tym spotkaniu aż 15 punktów!

Kropką nad i miało być pokonanie Kazachstanu. Rywale nie zawiesili Polakom poprzeczki zbyt wysoko – nasi siatkarze rozprawili się z nimi w godzinę i siedem minut, nie tracąc seta. Arek dopisał do swych statystyk kolejne 7 punktów. W klasyfikacji najlepiej blokujących zajął pierwsze miejsce, popisując się imponującym bilansem 7 punktowych bloków

(0,64 na set). W klasyfikacji najlepiej zagrywających uplasował się tuż za podium.

„W pierwszym meczu pokonaliśmy bardzo pewnie Wenezuelę 3:0 – wspomina Piotr Gruszka. – Potem czekało nas starcie z gospodarzami turnieju kwalifikacyjnego, Portugalczykami. Po udanym dla nas początku gospodarze wyłączyli klimatyzację w hali i w środku zrobiło się prawdziwe piekło. Przegraliśmy dwa sety i stanęliśmy pod ścianą. Czwarty set dla nas, a piąty miał rozstrzygnąć spotkanie. Cały czas goniliśmy rywala, bo to Portugalia miała dwa, trzy punkty przewagi. Dawid Murek zawsze w trudnych momentach ryzykował, atakował z niesamowitych, niemożliwych wręcz pozycji. Tymczasem w jednej z akcji przebił piłkę w bardzo prosty sposób. Pytaliśmy go, czemu tak zrobił, a on na to, że nie powinniśmy niczego forsować – dajmy im piłkę, to w końcu się pomylą. I rzeczywiście, udało nam się wyszarpać ten mecz. Portugalczycy byli dość niscy, ale to nieprzewidywalny zespół, w szeregach którego brylował środkowy João José, grający przez wiele, wiele lat w niemieckim VFB Friedrichshafen. Organizatorzy przygotowali dla nas za krótkie łóżka, ale to było, i niestety nadal bywa, czymś na porządku dziennym. Czasem radziliśmy sobie z tym problemem, przystawiając do łóżka nocną szafkę, która służyła za jego przedłużenie”.

Niemal natychmiast po zakończeniu turnieju w Portugalii dziennikarze zaczęli spekulować, którzy z młodych zawodników mają największe szanse na wyjazd do Aten. Na pierwszy weekend Ligi Światowej, do Japonii, selekcjoner Gościniak zabrał spośród młodej gwardii czwórkę: Michała Bąkiewicza, Arkadiusza Gołasia, Łukasza Kadziewicza i Michała Ruciaka. Najlepsze notowania miał Gołaś, który w Portugalii był podstawowym graczem reprezentacji Polski i wydawało się, że tylko jakiś kataklizm może go pozbawić miejsca w składzie jadącym do Grecji. Ostatecznie w kadrze na igrzyska olimpijskie oprócz Arka znaleźli się także Bąkiewicz i Kadziewicz. Ten drugi załapał się jako ostatni, korzystając na tym, że Damian Dacewicz nie zdołał wyleczyć urazu kolana.

„Razem z mężem byliśmy w odwiedzinach u Arka i reprezentacji przed wyjazdem do Aten – wspomina Danuta Gołaś. – U całej ekipy widać było niesamowite podekscytowanie tym, dokąd jadą. Arek pokazywał nam garnitur, w którym miał wystąpić na ceremonii zamknięcia igrzysk. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. To wcale nie wyglądało tak, że drużyna dostała duży karton pełen marynarek, spodni i krawatów. Wręcz

przeciwnie! Do każdego z nich przyjechał osobisty krawiec, ubrania szyto na miarę. Chłopcy byli bardzo wysocy, stroje należało dopasować, żeby na miejscu obyło się bez wstydu. Oprócz garniturów siatkarze mieli założyć kapelusze. Nasz Arek źle się czuł w takim stroju. Zdecydowanie wolał chodzić ubrany luźno, na sportowo, w dresie i adidasach".

Tuż przed wylotem do Aten Polacy rozegrali sparing z Australią – o dziewiątej rano, a więc tej samej godzinie, o której na igrzyskach mieli się zmierzyć w pierwszym meczu z Serbią. Trener Gościniak chciał przetestować zawodników w warunkach zbliżonych do tych, które czekały ich w Grecji. Jako podstawowy cel określono awans z grupy.

Gdy Biało-Czerwonym udało się już wywalczyć przepustki do Aten, młody środkowy czekał na magię igrzysk, spotkania z największymi gwiazdami sportu i kapitalną ceremonię otwarcia. Niestety 13 sierpnia 2004 roku niemal wszystkim polskim siatkarzom nie dane było wziąć udziału w tym wspaniałym wydarzeniu. Już rankiem 15 sierpnia mieli bowiem stoczyć pojedynek z Serbią i Czarnogórą. Wiadomo było, że zespół nie może sobie pozwolić na tak duży wysiłek jak uczestnictwo w hucznej ceremonii. Przed przemarszem na stadion sportowcy musieli ustawić się w specjalnym tunelu mniej więcej dwie godziny wcześniej. Łącznie z przygotowaniami cała uroczystość pochłonęłaby około pięciu, może nawet sześciu godzin.

Chłopcy musieli jakoś przełknąć tę gorzką pigułkę, jednak zebrali się razem i postanowili obejrzeć ceremonię przy pomocy rzutnika multimedialnego. Choć trochę podłamani, że na starcie nie mogli być częścią wielkiej olimpijskiej rodziny, wszyscy jednak zasiedli do oglądania. Na ekranie najpierw pojawił się chorąży polskiej reprezentacji – pływak Bartosz Kizierowski. Za chwilę realizatorzy pokazali Irenę Szewińską, a potem naszą prezydencką parę Aleksandra i Jolantę Kwaśniewskich. Na ekranach zaczęli się pojawiać sportowcy, a ku zaskoczeniu siatkarzy jeden wydał im się dziwnie znajomy. Po chwili zorientowano się, że z zakazu udziału w ceremonii wyłamał się MVP sezonu Polskiej Ligi Siatkówki – Piotr Gabrych. Krzysiek Ignaczak wspomina, że natychmiast ktoś pobiegł zobaczyć, czy im się czasem nie przywidziało, ale nie zastał Gabrycha w pokoju, nie było też jego odświętnego garnituru. Niesubordynacja 32-letniego gracza spowodowała, że wypadł z grupy, a w pewnym momencie koledzy wystawili mu nawet walizki poza budynek, w którym mieszkali.

Arek czuł się w Atenach jak dziecko, które po raz pierwszy trafiło do Disneylandu. Za bramą wioski olimpijskiej spotkał nie tylko gwiazdy siatkówki, ale też wielu innych dyscyplin. Nagle stał się częścią sportowej elity świata.

Na samo wyposażenie wioski nikt nie mógł narzekać – może z wyjątkiem znów nieco zbyt krótkich łóżek. Olimpijczycy mogli się stołować w specjalnie przygotowanych restauracjach, serwujących dania rozmaitych kuchni z całego świata. Nikt jednak nie przywiązywał do tego przesadnej wagi – każdy zdawał sobie sprawę, że przyjechał do Aten wykorzystać swoje pięć minut.

Gdy tylko nadarzała się okazja, Arek kibicował rodaczkom i rodakom startującym w innych dyscyplinach. Udało mu się między innymi zobaczyć zdobycie historycznego, pierwszego w polskim pływaniu olimpijskiego złota przez Otylię Jędrzejczak, na dystansie 200 metrów stylem motylkowym.

„Każda grupa, która się konsoliduje i wyjeżdża ze sobą na taką imprezę jak igrzyska olimpijskie, zaczyna się traktować jak rodzina – przekonuje Łukasz Kadziewicz. – Zaczynasz być gotów skoczyć za kolegą z drużyny w ogień! Arek w tej siatkarskiej rodzinie był fantastycznym gościem do tworzenia atmosfery, ale także do ciężkiego treningu i zapewniania wielkich wyników sportowych. Ani przed igrzyskami, ani w trakcie turnieju nigdy nie narzekał, nie marudził. Ostatnie, co można mu zarzucić, to lenistwo. Miał takie warunki, że w pewnym momencie śmiało mógł odpuścić cięższe ćwiczenia i troszkę odpocząć. Czasami nawet mu to sugerowałem, ale Arek znał swoje braki i niedociągnięcia, i cały czas starał się pracować nad techniką. »Goły« zawsze był uśmiechnięty, nigdy nie przysparzał problemów. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie choć jednej historii, w której Arek byłby negatywnym bohaterem”.

W pierwszej fazie ateńskich igrzysk Polacy rywalizowali w grupie A z Serbią i Czarnogórą, Grecją, Francją, Argentyną i Tunezją. Pierwsi rywale, Serbowie, bronili złotego medalu, wywalczonego cztery lata wcześniej w Sydney, jeszcze pod flagą Jugosławii. Naprzeciw Biało-Czerwonych stanęli teraz między innymi bracia Nikola i Vladimir Grbić, Andrija Gerić czy jeden z najlepszych atakujących w historii siatkówki, Ivan Miljković. Znaczna część dziennikarzy przewidywała, że spotkanie będzie szybkie i jednostronne. I rzeczywiście takim się okazało. Jednak w roli katów wystąpili Polacy, z Arkiem Gołasiem na czele!

Są mecze, o których opowiada się latami. Jednym z nich stało się właśnie to starcie z Serbami podczas igrzysk olimpijskich w Atenach. Można wygrać 3:0 po wyrównanej walce punkt za punkt, ale to, co z rywalami zrobili siatkarze trenera Gościniaka, przeszło najśmielsze oczekiwania, chyba nawet ich samych. Deklasacja w trzech setach: 25:21, 25:17, 25:16! Zaprocentowały przygotowania, treningi organizowane w porze meczu – dziewiąta rano z pewnością nie jest bowiem odpowiednim czasem do gry w siatkówkę – i odpowiednio wczesne pobudki, które pozwoliły optymalnie przygotować organizmy do trudów olimpijskiego turnieju. To spotkanie pokazało, że Polaków stać na bardzo wiele. A Serbowie? Kilka teorii próbuje wyjaśnić ich klęskę. Mówi się, że Plavi po prostu zlekceważyli Polskę. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że mistrzowie olimpijscy z Sydney popełnili błędy w przygotowaniach i „nie zdążyli wstać na mecz".

Od tego momentu wszyscy patrzyli na grę Polaków z hurraoptymizmem, oczekując kolejnych spektakularnych zwycięstw, najlepiej bez straty seta. Wydawało się to oczywiste – skoro starli z powierzchni ziemi potężną Serbię, to jaki los miał czekać Grecję, Francję czy Argentynę, nawet nie wspominając o outsiderach z Tunezji?!

Tymczasem mecz z Grekami zupełnie Biało-Czerwonym nie wyszedł i w jednej chwili spadli z nieba wprost do piekła… Gołaś i spółka nie udźwignęli presji i niespodziewanego szumu wokół drużyny. Swoje zrobiła też grecka publika, szczelnie wypełniająca trybuny hali olimpijskiej w Atenach. Porażka 1:3 nie była jeszcze końcem świata, ale dała wyraźny sygnał ostrzegawczy przed arcyważnym spotkaniem z Francją. Les Bleus od zawsze byli dla Polaków niewygodnymi rywalami. Doświadczenie takich zawodników, jak Frantz Granvorka, Stéphane Antiga czy Hubert Henno, wzięło górę, a na domiar złego w polskiej ekipie zabrakło polotu i zdecydowania w najważniejszych momentach. Nie zawiódł chyba tylko Piotr Gruszka, który zdobył 17 punktów.

Porażka z Francją oznaczała konieczność szybkiego powrotu na ziemię. Arek i koledzy musieli natychmiast zapomnieć o zwycięstwie nad Serbami i awansować do dalszych gier. Udało się, choć ani Argentyna, ani Tunezja nie oddały łatwo pola. Najważniejsze, że piękny olimpijski sen trwał dalej. Na Gołasia, który wywalczył 11 punktów przeciwko Tunezji i 13 w spotkaniu z Argentyną, czekał teraz znacznie bardziej wymagający rywal – Brazylia. Wystarczyło wcześniej zwyciężyć Grecję, żeby

w ćwierćfinale zmierzyć się ze zdecydowanie wtedy słabszą reprezentacją Stanów Zjednoczonych. Niestety Polakom niejako na własne życzenie przyszło w tak wczesnej fazie grać z Canarinhos, czyli późniejszymi triumfatorami turnieju. Przed meczem, w zakulisowych rozmowach, Arek i koledzy przyznawali, że nie mają nic do stracenia. Mieli już dość sytuacji, w których nawiązywali wyrównaną walkę z faworytem, aby ostatecznie i tak polec. Szczerze wierzyli, że stać ich na rozegranie wielkiego meczu. Niestety, wola walki i zaangażowanie nie wystarczyły na znakomitych Brazylijczyków, z Gibą, Ricardo, Sérgio czy Dante na czele. W jednym z setów Polacy walczyli na przewagi, ale faworyt był po prostu silniejszy.

Trudno mówić o rozczarowaniu olimpijskim występem siatkarzy w Atenach, ale jednak po meczu przeciwko Serbii wielu ekspertów widziało w Polakach murowanych kandydatów do medali. Mimo wszystko pozytywy przeważały: doświadczenie nabyte w tak trudnych warunkach musiało zaprocentować w przyszłości. Cały świat przekonał się, że reprezentacji Polski nie wolno lekceważyć.

Porażkę w ćwierćfinale z Brazylią Arek przeżył jako jeden z największych zawodów w karierze. 23-letni środkowy długo nie mógł dojść do siebie, gdy marzenia o medalu prysnęły jak bańka mydlana. Pocieszał go najpierw Krzysztof Ignaczak, z którym dzielił pokój w ośrodku olimpijskim, a zaraz potem – niezawodni rodzice, szczególnie ojciec Tomasz, który zawsze był pierwszym recenzentem występów syna. „Wiadomo, że rodzice muszą pocieszać dziecko w momentach, gdy doznaje tak bolesnych porażek, jak ta w Atenach – mówi Tomasz Gołaś. – Zasugerowałem Arkowi, by raczej się cieszył, że miał okazję zagrać na igrzyskach olimpijskich, a nie rozpamiętywał przegraną. Dla siatkarza występ na tym turnieju jest przecież spełnieniem najskrytszych marzeń. Nasz syn nigdy nie należał do ludzi specjalnie wylewnych, ale akurat w tym przypadku zdawał nam dokładną relację z tego, co zobaczył, kogo spotkał. Z jednej strony robił na nim wrażenie widok wielkich sportowców, z koszykarzami NBA na czele. Z drugiej – opowiadał nam o walorach Aten i Grecji, bo uczestnicy igrzysk mogli za darmo poruszać się komunikacją miejską po stolicy i jej okolicach. Nawiasem mówiąc, oglądałem jakiś czas temu w internecie zdjęcia obiektów w Atenach i Soczi. Zastanawiam się, jak można po wydaniu olbrzymich pieniędzy zrobić ze stadionów, mieszkań i innych obiektów taką ruinę, raptem w ciągu kilku lat?!”

* * *

Po igrzyskach kibice wraz z całym środowiskiem siatkarskim oczekiwali na zmianę na stanowisku selekcjonera reprezentacji Polski. Jednym z kandydatów był szkoleniowiec z Argentyny, Raúl Lozano. Znano go przede wszystkim jako trenera włoskich klubów, z Lube Banca Macerata na czele. Lozano zaskarbił sobie sympatię naszych działaczy rozległą wiedzą na temat polskiej siatkówki. Był też z pewnością jednym z najbardziej upartych ludzi, jakich spotkał na swojej drodze Arek Gołaś.

Ten niewysoki Argentyńczyk doskonale wiedział, jakimi metodami chce osiągnąć swoje cele, nie zważał na komentarze osób z zewnątrz i zamierzał bez kompromisów realizować założoną przez siebie koncepcję. Od początku wymagał od współpracowników i siatkarzy dostosowania do wzorców, które przywiózł z zagranicy. Lozano bardzo stanowczo narzucał swój styl – nie było w tym przypadku, bo uważał, że właśnie stylu najbardziej brakowało polskim siatkarzom. Z jednej strony współpraca z Argentyńczykiem nie należała do najłatwiejszych, nieraz zdarzało mu się posprzeczać z zawodnikami. Z drugiej jednak – trener zawsze był gotów jako pierwszy bronić swoich siatkarzy.

Nie jest tajemnicą, że również sami zawodnicy dawali do zrozumienia włodarzom Polskiego Związku Piłki Siatkowej, że potrzebują zagranicznego trenera. Zdawało się, że tylko osoba spoza kraju może tchnąć świeżego ducha w drużynę. Na wybór Lozano Arek z kolegami zareagowali sporym zaciekawieniem. Argentyńczyk szybko przekonał ich do siebie i pozwolił im uwierzyć, że ciężka praca przyniesie efekty. Zawodnicy zdawali sobie sprawę, że tak naprawdę niewiele dzieli ich od najlepszych zespołów świata. Chodziło o detale.

„Najważniejsze było, żeby zawodnik zaufał trenerowi i nie dziwił się temu, co robi na boisku – mówi Witold Roman, były znakomity reprezentacyjny środkowy (w latach 1987–1997 rozegrał aż 259 oficjalnych spotkań w kadrze seniorskiej), później trener i działacz, który w sztabie szkoleniowym Lozano pełnił funkcję menedżera kadry. – Wszystko zależało od tego, czy trener umie dotrzeć do zawodnika. Jeśli potrafi wyjaśnić, dlaczego robimy to, co robimy, dlaczego jedno ćwiczenie ma większe znaczenie od innych, zawodnik jest na tyle rozgarniętym człowiekiem, że zrobi to, co szkoleniowiec mu zalecił. Gdy zadanie zaczyna przynosić efekt podczas kolejnego treningu czy spotkania

o stawkę, każdy gracz szybko zdaje sobie sprawę, że ten niewysoki gość w dresie doskonale wie, co robi. Raúl Lozano wniósł do Polski świeże spojrzenie na pewne sprawy, odpowiednie ćwiczenia, ale nic by z tego nie wyszło, gdyby takich zmian nie oczekiwali także sami kadrowicze. Poza tym nasi zawodnicy szybko zrozumieli, że siatkarski świat cały czas pracuje, by podnosić swoje umiejętności, i my jako reprezentacja Polski nie możemy zostawać w tyle".

Arek musiał się przyzwyczaić do fizycznie obciążających treningów u Lozano. Zajęcia były długie i monotonne, trwały nawet po kilka godzin. Odpuszczenie choćby części wymagającego treningu nie wchodziło w grę. Argentyńczyk zawsze zauważał, który z siatkarzy nie pracował tak, jak powinien, i szybko wybijał mu z głowy lenistwo.

Czy Lozano od razu przekonał do siebie Arka i jego kolegów? „Mały Rycerz z La Platy" miał to szczęście, że trafił na grupę, która zdawała sobie sprawę, że w tym składzie jest w stanie osiągać bardzo dobre rezultaty. Trener zaczął zwracać im uwagę na drobiazgi, które wcześniej ignorowali. Koncentrował się na szczegółach i przekonał zawodników, że przyszła pora, aby nad nimi popracować. To miał być klucz do sukcesu – jasne zdefiniowanie tych elementów, w których reprezentacja Polski wypadała słabiej od innych, i doskonalenie ich aż do bólu.

Selekcjoner Lozano szybko dostrzegł, że Arek Gołaś – silny i niesamowicie skoczny zawodnik – potrafił się podporządkować treningowemu reżimowi. Argentyńczyk obserwował bardzo dokładnie wszystkich graczy i tak naprawdę uczył ich na nowo przemieszczania się po boisku. Pokazał im włoską szkołę trenerską – począwszy od ustawiania się w obronie, a skończywszy na prawidłowej pozycji łokci i barków. Laikowi takie niuanse mogłyby się wydać mało ważne, ale dzięki nim gra Gołasia i całej reprezentacji uległa wyraźnej poprawie. Do tej pory o porażkach w kluczowych momentach decydowały właśnie drobiazgi, na które tak wyczulony był nowy selekcjoner. Lozano miał nawyk zatrzymywania treningowych gier, często ku zaskoczeniu zawodników. Stawał wówczas na przykład obok Arka i jasno tłumaczył, co w danej sytuacji zostało zrobione niewłaściwie. Nie chodziło jedynie o perfekcyjne wykonywanie najprostszych ćwiczeń. Dla nikogo nie było taryfy ulgowej, a jeśli zawodnik nie stosował się do poleceń szkoleniowca, mógł być pewien, że po zajęciach czeka go bura. Efekty pracy trenera szybko zaczęły być widoczne – reakcje Arka na boisku uległy poprawie.

„Arek opowiadał nam, że u Lozano pracuje się bardzo ciężko – wspomina Tomasz Gołaś. – Z każdym kolejnym dniem jednak coraz wyraźniej było widać efekty. Lozano to facet, który doskonale wiedział, jak należy poskładać ze sobą wszystkie elementy. Poza tym oprócz sfery fizycznej zadbał także o to, by otworzyć na pewne sprawy głowy zawodników. Prowadzenie treningów to jedno, ale należało także poprawić kondycję psychiczną kadrowiczów".

„Arek nie należał do lizusów, którzy przymilali się szkoleniowcom – uważa Danuta Gołaś. – Nie był też typem, który lubi rzucać trenerowi kłody pod nogi i buntować się przeciwko jego metodom. Syna nie interesowało nic poza dawaniem z siebie jak najwięcej. Wydaje mi się, że Lozano przypadł Arkowi do gustu. Syn wierzył we wszystko, co argentyński szkoleniowiec chciał mu przekazać".

„Podczas zgrupowań Arek mieszkał w Spale z Krzyśkiem Ignaczakiem – dodaje pan Tomasz. – Na własne oczy widziałem, jak mocno wszyscy zapieprzali. Niejednokrotnie zdarzało się, że chłopaki schodzili z treningu i dosłownie wlekli się do pokoju. Po otworzeniu drzwi padali na łóżka i zasypiali jak zabici w ciągu kilku minut. Wydaje mi się, że wszyscy kadrowicze musieli się przyzwyczaić do takiej pracy, a z czasem nawet ją polubili. Z niewolnika nie ma pracownika, a w Spale z całą pewnością nikogo nie trzymano za karę".

Lozano dokonał rewolucyjnej zmiany nie tylko w systemie przygotowań i w mentalności reprezentantów. Zmodyfikował także siłownię w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Spale. Argentyński trener doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jakiego sprzętu potrzebują siatkarze. Tymczasem wyposażenie zwyczajnie nie było dostosowane do potrzeb tak wysokich osób. Lozano rozejrzał się po siłowni i kategorycznie oznajmił, że na takich urządzeniach pracować nie będą. Przygotował zestawienie potrzebnych przyrządów, a potem pomagał ludziom z PZPS-u ściągnąć je do Spały. Do dziś używa się tam części sprzętu zorganizowanego na żądanie trenera Lozano.

* * *

Arek zagrał w narodowych barwach także na mundialu w Argentynie. Selekcjonerem Biało-Czerwonych był wówczas Waldemar Wspaniały, który zastąpił Ryszarda Boska. Męska reprezentacja Polski w siatkówce

pisała zupełnie nową historię. Na mistrzostwach świata w 2002 roku Polska zagrała jako pierwszy w dziejach zespół, który… nie zakwalifikował się do imprezy. W decydującym meczu eliminacji Polacy musieli urwać jednego seta Francuzom, aby awansować. Przegrali 0:3. Niespodziewanie jednak los okazał się dla nas łaskawy – Międzynarodowa Federacja Siatkarska (FIVB) postanowiła wykluczyć z turnieju Koreę Południową. Była to kara za wystawienie pierwszego składu w odbywających się równocześnie Igrzyskach Azjatyckich w Seulu. Skuteczne zabiegi dyplomatyczne ówczesnego prezesa PZPS-u Janusza Biesiady sprawiły, że to właśnie Polskę dokooptowano do uczestników argentyńskich mistrzostw.

O miejsce w podstawowym składzie Arek rywalizował z dwoma znacznie bardziej doświadczonymi środkowymi – Jarosławem Stancelewskim i Marcinem Nowakiem. Podczas treningów pretendenci do miejsca w pierwszej szóstce rywalizowali najczęściej w systemie jeden na jednego. Pojedynki z Gołasiem sprowadzały się do prób zablokowania jego ataków. Prób zwykle nieskutecznych – dla Stancelewskiego i Nowaka, ale też innych zawodników. Kolejne podejścia zwykle kwitowano śmiechem, gdy Gołaś jak gdyby nigdy nic atakował mniej więcej pół metra nad wyciągniętymi rękami blokujących kolegów. W swoim stylu uśmiechał się tylko i zapraszał pod siatkę kolejnego przeciwnika.

Polacy rozpoczęli turniej od spodziewanego zwycięstwa nad Kanadą 3:0. Później mało kto liczył na sukces w starciu z bardzo silną reprezentacją Włoch – tymczasem Biało-Czerwoni, choć przegrywali już 0:2, odwrócili losy rywalizacji i pokonali utytułowanego przeciwnika 3:2! Do ostatniego grupowego starcia, z Chorwacją, nasza drużyna przystępowała już pewna awansu i znów wygrała 3:2. Szansę w tym meczu dostał rezerwowy dotąd Arek Gołaś. 21-letni środkowy AZS-u Częstochowa zdobył 5 punktów.

Po bardzo dobrej pierwszej fazie turnieju Polacy zaczęli być coraz głośniej wymieniani przez ekspertów jako kandydaci do medali. W fazie drugiej los przydzielił im Rosję, Portugalię i Hiszpanię. W pojedynku ze Sborną nasi walczyli jak równy z równym, ale niestety przegrali po tie-breaku. Kolejni rywale, Portugalczycy, byli niżej notowani, ale także bardzo groźni. Ich niesamowita konsekwencja, w połączeniu z brakiem koncentracji i indywidualnymi błędami Polaków, sprawiła, że przegraliśmy drugi mecz i marzenia o grze w ćwierćfinale trzeba było odłożyć na kolejną okazję. Przeciwko Portugalii Arek ugrał 3 punkty. W ostatnim, pożegnalnym spotkaniu trener Wspaniały wystawił rezerwowy skład. Do

zwycięstwa nad Hiszpanią 3:1 poprowadził Polaków duet środkowych – Marcin Nowak zdobył 17 punktów, a Arek Gołaś 12.

Bilans sportowy mimo wszystko rozczarował. Trudno zrzucać winę za wyniki na karb niedociągnięć organizacyjnych gospodarzy, ale faktycznie nasi zawodnicy musieli zmagać się z licznymi przykrymi niespodziankami. Pierwsze mecze Polacy rozgrywali w Santa Fe, gdzie zostali zakwaterowani w hotelu, którego standard pozostawiał wiele do życzenia. Nawet Krzysztof Ignaczak, mający 187 centymetrów wzrostu, a więc grubo poniżej średniej wśród naszych siatkarzy, męczył się, usiłując spać na zbyt krótkim łóżku.

„Wielu kibiców myśli, że na takich imprezach jak Liga Światowa czy mistrzostwa świata jest mnóstwo czasu na zwiedzanie, że jeździmy na wakacje – mówi Piotr Gruszka. – To nie do końca tak. Owszem, zdarzały się wyjazdy na drugi koniec świata, gdy przylatywaliśmy na miejsce na przykład cztery dni przed meczem. Wówczas w pierwszym dniu mieliśmy okazję trochę pozwiedzać, ale tak naprawdę liczyło się głównie to, żeby nie iść za wcześnie spać i w miarę bezboleśnie znieść różnicę czasu. Pamiętam, że spacerowaliśmy sobie albo odpoczywaliśmy przy hotelowym basenie, a obok chodziły najróżniejsze gryzonie, jaszczurki i inne dziwne stworzenia. Taki klimacik zapamiętuje się na lata”.

* * *

Ostatnim rozgrywanym w Polsce turniejem, w którym wziął udział Arek Gołaś, były kwalifikacje do mistrzostw świata w Japonii. Ze względu na mecze zaplanowane na 15, 16 i 17 lipca 2005 roku w Rzeszowie przełożył zaplanowany wcześniej ślub.

W rzeszowskiej hali Podpromie na drodze Polaków stanęli Estończycy, Bułgarzy i Rosjanie. Dwie najlepsze reprezentacje uzyskiwały bezpośredni awans do japońskiego czempionatu, trzecie miejsce dawało prawo startu w eliminacyjnym turnieju ostatniej szansy, zaplanowanym w Warnie. W pierwszym meczu Polacy zgodnie z planem pokonali Estończyków – za przykrą niespodziankę można było uznać co najwyżej stratę seta. Arek zdobył w tym spotkaniu 5 punktów. Nazajutrz odbył się najważniejszy dla naszych siatkarzy mecz z Bułgarią – zwycięstwo dawało nam awans, gdyż rywale przegrali starcie z Rosją. Bułgarzy okazali się tłem dla Polaków, wygrali tylko drugiego seta. Występ na mistrzostwach świata stał się faktem! Arek należał do najlepszych na parkiecie, obok Mariusza Wlazłego

i Sebastiana Świderskiego. Wywalczył 8 punktów, z czego połowę dzięki skutecznym blokom.

W ostatnim starciu Polska mierzyła się z Rosją. Obie reprezentacje były już pewne udziału w mundialu. Rosjanie prowadzili w setach 2:0, ale w dwóch kolejnych partiach górą byli Biało-Czerwoni. Ostatnie słowo należało jednak do Sbornej, która wygrała tie-breaka 15:12 i cały mecz 3:2. Arek punktował 11 razy – była to jego ostatnia zdobycz przed polską publicznością. Przewrotny los sprawił, że już podczas japońskiego turnieju Polacy zrewanżowali się Rosjanom w bardzo podobnych okolicznościach, pozwalając rywalom zniwelować przewagę, aby ostatecznie wygrać tie-breaka. Arka jednak nie mogło już wówczas być w składzie…

Cztery miesiące później, między 2 a 11 września 2005 roku, rozegrano mistrzostwa Europy w Serbii i Czarnogórze oraz we Włoszech. Polacy trafili do grupy, która grała w Rzymie, a ich rywalami byli między innymi Włosi i Rosjanie. Grupę tworzyło łącznie sześć zespołów, a do półfinałów awansowały tylko dwa najlepsze. Biało-Czerwoni zajęli trzecie miejsce, ustępując właśnie Italii i Rosji. W efekcie Arek Gołaś ze swojego ostatniego międzynarodowego turnieju wrócił z kolegami już po fazie grupowej. Wynik nikogo nie zadowalał, ale trener Lozano przyjął go ze zrozumieniem. Nasza reprezentacja jeszcze nie była gotowa na wygrywanie z dwoma światowymi gigantami w ciągu kilku dni.

Lozano miał w tamtym sezonie problem z kontuzjami zawodników. Michał Bąkiewicz, Paweł Papke i Łukasz Żygadło przeszli operacje. Dawid Murek i Sebastian Świderski byli w trakcie rehabilitacji. Ich urazy wymagały mniej lub bardziej inwazyjnego leczenia, przez co trener właściwie ani przez moment nie miał komfortu pracy.

„Arek był jednym z ulubionych zawodników Raúla – wspomina Witold Roman. – Trener nie krył radości, gdy się dowiedział, że Gołaś podpisał lukratywny kontrakt z włoskim gigantem Lube Banca Macerata. Lozano widział w Arku zawodnika z potencjałem, kandydata na jednego z najlepszych środkowych na świecie. Uwielbiał go między innymi za otwartość, gotowość do katorżniczej pracy i nieschodzący z twarzy uśmiech. Znam Raúla kilkanaście lat, ale do momentu, w którym dowiedział się o tragicznym wypadku, nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak uczuciowym człowiekiem i że ta strata będzie go aż tyle kosztowała”.

Przed mistrzostwami Europy, w sierpniu 2005 roku, żelazną dyscyplinę Lozano złamało trzech zawodników. Krzysztof Ignaczak, Łukasz

Kadziewicz i Andrzej Stelmach, zamiast grzecznie leżeć w łóżkach, wybrali się na nocną eskapadę. Trener ukarał ich bardzo surowo. Cała trójka została wyrzucona z kadry i mogła zapomnieć o występie na włosko-serbskim turnieju.

„Zawodowy sport to duże pieniądze i jeszcze większa odpowiedzialność – przyznaje Łukasz Kadziewicz. – Nam wtedy odpowiedzialności zabrakło. Chwilę po tym wydarzeniu zrozumiałem, że to nie był najlepszy czas na taki wyskok, ale, niestety, postąpiliśmy tak, a nie inaczej, i trzeba było ponieść konsekwencje. Miałem się obrazić na Raúla, że tak nas potraktował? A co niby miał zrobić? Wręczyć nam medale i premię finansową, dodając, że świetnie w nocy tańczyliśmy? Jesteśmy dorosłymi, cywilizowanymi ludźmi. Zawsze powtarzałem, że jestem szalony, ale nie głupi. Skoro dajesz dupy, to trzeba później za to odpowiedzieć. Jak wygrywasz mecz, wypinasz klatę po medale i ordery. Jak dajesz ciała, to przyjmujesz kilka klapsów na dupsko. Zostaliśmy zawieszeni w prawach reprezentanta, odbyliśmy należną nam karę i posypaliśmy głowę popiołem. Po jakimś czasie wróciliśmy do kadry”.

Incydent głęboko zmartwił wielu zawodników. Do najmocniej przeżywających tąpnięcie wewnątrz kadry należał Arek Gołaś. Z jednej strony wiedział oczywiście, że kara, która spadła między innymi na jego dobrego przyjaciela, była zasłużona, z drugiej – uważał, że zamieszaniu dało się zapobiec. Atmosfera stężała. Podczas treningu, gdy szlifowano akurat zagrywkę, rozkojarzony Arek zaserwował tak fatalnie, że piłka uderzyła o ścianę na wysokości czterech metrów. Śmiech kolegów przerwał trener Lozano. „W poważnej drużynie, Gołaś, taka zagrywka drogo by cię kosztowała. Musiałbyś postawić piwo całej ekipie”. „Wieczorem stawiam więc piwo” – odparł Arek.

* * *

Raúl Lozano obecnie prowadzi reprezentację Chin. Oto jak wspomina Arka i czasy, gdy razem pracowali nad tym, by Gołaś stał się najlepszym środkowym bloku na świecie.

Kim według pana był Arek Gołaś? Jakim był typem człowieka? Jakie miał wady, a jakie zalety?

Arek miał pewną wyjątkową cechę – zawsze był w dobrym nastroju. Na jego twarzy nigdy nie widziałem złości czy choćby zniecierpliwienia. Musicie wiedzieć, że taki facet to dla drużyny prawdziwy skarb! Bo ta jego promieniująca radość bycia działała niczym lekarstwo, szczególnie gdy musieliśmy sobie radzić w trudnych sytuacjach. A takie w sporcie zawsze się pojawiają.

Czy naprawdę nie sprawiał kłopotów, czy tylko teraz nie chce się o tym mówić?

Nie, nie mówi się o nich, bo ich po prostu nie było. Nigdy nie miałem z nim żadnych problemów. Zawsze garnął się do pracy. Zwracał uwagę właśnie tym, że był wesołym i niezwykle dobrze wychowanym chłopakiem. No i bardzo uprzejmym, tak po ludzku. Z wielką chęcią do pracy i poprawy umiejętności. Chciał być lepszy w każdym aspekcie.

Jakim był graczem na tle ówczesnych środkowych? Materiałem na najlepszego na świecie czy może raczej kandydatem do pierwszej piątki?

Jego najmocniejszą stroną był atak, to żadna tajemnica. Dysponował niesamowitym wyskokiem i tak naprawdę, by stać się zawodnikiem kompletnym, musiał tylko poprawić swoją grę w bloku. W zagrywce również był mocny. Ale pod względem umiejętności ofensywnych już w tamtym momencie mógł należeć do pięciu najlepszych zawodników na świecie na swojej pozycji. I co ważne: z szansą, chęciami i predyspozycjami, by stać się jeszcze silniejszym. Pozostali moi kadrowicze aż tak nie dominowali w ataku, „Kadziu” w 2005 roku był zawodnikiem wyważonym (dobry w ataku-bloku i zagrywce), Plina był najmocniejszy w bloku, Grzyb i Możdżonek byli jeszcze bardzo młodzi, jednak już dostrzegało się u nich predyspozycje do skutecznej gry w bloku.

Jaka była rola Arka na boisku i poza nim? Był ważnym ogniwem pańskiej drużyny?

Arek był zawodnikiem niezastąpionym! Według mnie stanowił niezbędny element tego zespołu, także ze względów pozasportowych, o których już mówiłem. Ale żeby nie być gołosłownym, dodam, że w 2005 roku nigdy nie znalazł się poza wyjściową szóstką.

Ponoć Arek bardzo dobrze znosił pańskie ciężkie treningi. Czy wyróżniał się na tle innych graczy swoim podejściem do pracy?

To prawda. Arek nie tracił chęci do nauki, to była cecha, dzięki której mógł zrobić wielką karierę. Zawsze dążył do bycia jeszcze lepszym. Zarówno pod względem fizycznym, technicznym, jak i psychicznym. Był zawodnikiem, który ciągle się rozwijał, pracował nad sobą. Pamiętam, jak rozmawialiśmy o grze w bloku – doskonale wiedział, że aby być jednym z najlepszych środkowych, musi poprawić ten element. Nie miał żadnych problemów z rozmową o tym, co mu nie do końca wychodziło. Czuł, że dzięki temu może poprawić swoje słabe punkty.

Namawiał go pan do wyjazdu do Italii? Jak zareagował na transfer do Maceraty?

Przed podpisaniem kontraktu z Maceratą pytał mnie, co o tym wszystkim myślę. Powiedziałem mu, że to ogromna okazja do występów w czołowym klubie włoskiej Serie A. Chciał grać w Maceracie, aby jeszcze bardziej się rozwinąć. Ja mogłem się tylko cieszyć.

W jaki sposób dowiedział się pan o wypadku? Jak to wtedy przeżyła drużyna?

Wróciliśmy z mistrzostw Europy 16 września 2005 roku. Na godzinę 11 miałem zaplanowaną konferencję prasową, a później musiałem jechać na lotnisko, bo czekał na mnie samolot do Argentyny. Po zakończeniu konferencji poszedłem do samochodu, który miał mnie zabrać na lotnisko Chopina. Usłyszałem telefon, dzwonił Witold Roman, mówił o jakimś wypadku drogowym. Powiedział: Arek zginął w wypadku samochodowym. Nie mogłem uwierzyć, nie chciałem. Poczułem wielki ból, wszyscy płakaliśmy. Odwołałem swój wylot, żeby zostać i wziąć udział w pogrzebie.

Skąd wziął się pomysł przygotowania koszulek z nazwiskiem i numerem Arka oraz założenia ich na podium mistrzostw świata w Japonii?

Pomysł pojawił się naturalnie, przecież chodziło o Arka! Pamiętam, że w marcu, kiedy oglądałem mecze ligowe w Polsce, powiedziałem do menedżera zespołu: musisz przygotować 25 koszulek z nazwiskiem

i numerem Arka, ale nie możesz o tym nikomu mówić, będziemy wypatrywać wyjątkowej okazji, by ich użyć. Mistrzostwa świata w 2006 roku stanowiły ciężkie wyzwanie. Ale zrobiliśmy coś wielkiego i po wygranym półfinale z Bułgarią powiedziałem zawodnikom: teraz od nas wszystkich zależy, czy Arek będzie na pierwszym, czy na drugim stopniu podium… Wciąż pamiętam ich spojrzenia, w oczach mieli łzy, kiedy patrzyli na mnie i słuchali moich słów. Nawet dziś, kiedy to sobie przypominam, te emocje wracają.

Z szesnastką do końca kariery grał na naszych boiskach przyjaciel Arka – Krzysiek Ignaczak.

„Igła” i Arek byli prawdziwymi przyjaciółmi. Dlatego ten pomysł, by Krzysiek wziął „16”, wydawał mi się trafiony. Dla wielu innych mogliśmy zablokować ten numer w reprezentacji, jednak decyzja Ignaczaka to był hołd dla jego przyjaciela.

Jak dziś, po tylu latach, radzi pan sobie w rocznicę wypadku? Czy to nadal jest tak bolesne jak na początku?

Zawsze będę pamiętał o tym dniu… W 2015 roku, gdy pracowałem w Radomiu, chciałem zorganizować spotkanie ze wszystkimi zawodnikami tamtej naszej reprezentacji, tak abyśmy w dziesiątą rocznicę śmierci Arka razem poszli na cmentarz. Prawie wszyscy się zgodzili i zapowiedzieli swoją obecność. Niestety dziesięć dni przed rocznicą otrzymałem wiadomość o śmierci mojej mamy i musiałem wyjechać do Argentyny na pogrzeb.

Pańska reakcja po wypadku Arka była bardzo emocjonalna. To dlatego, że traktował pan go jak kogoś z rodziny czy może nawet syna?

Moja reakcja na jego śmierć była i jest bardzo silna. Nie chcę mówić zbyt wiele, tak jak wtedy nie chciałem być z kimkolwiek obcym, potrzebowałem wsparcia moich bliskich. Na pogrzebie Arka widzieliśmy prawdziwe morze ludzi, to był jedyny tego typu pogrzeb, w jakim brałem udział, pojawiło się też wielu dziennikarzy. To było coś, na co nikt z nas nie był przygotowany, nie mówię o jakimkolwiek publicznym pogrzebie. Z tego powodu w tamtym czasie nie udzielałem żadnych wywiadów. Potrzebowałem być sam, przeżyć to w samotności, bez wypowiedzi dla mediów.

ROZDZIAŁ 8

WŁOSKA ZIEMIA OBIECANA

Przez cztery sezony spędzone w AZS-ie Częstochowa Arkadiusz Gołaś przeobraził się z dobrze rokującego juniora w podstawowego gracza reprezentacji Polski. Dostał kilka ciekawych propozycji, zarówno z kraju, jak i z Europy. „Gdy Arek przechodził do Padwy, miał także ofertę z Bełchatowa, atrakcyjniejszą finansowo – opowiada Agnieszka Gołaś. – Powiedział jednak, że kasa w tym momencie go nie interesuje, on chce się nauczyć czegoś nowego”.

To, czego tak bardzo chciał się nauczyć w Italii polski środkowy, zdradza jego najlepszy przyjaciel Krzysztof Ignaczak. „Arek cały czas powtarzał, że pojechał do Włoch, aby nauczyć się blokować. Miał już ogromny zasięg w ataku, zbijał piłę w niesamowity sposób, był graczem bardzo ofensywnym, więc wszyscy niejako z urzędu przyszywali mu łatkę gościa, który super atakuje, lecz nie wyróżnia się niczym specjalnym w grze blokiem. To go pewnie wkurzało, jednak Arek miał szacunek do autorytetów, od których faktycznie nie raz usłyszał, że musi jeszcze popracować nad grą w bloku. Więc pojechał uczyć się do najlepszej ligi świata!”

„Ostatecznie Arek wybrał Włochy, także za moją namową – mówi Ryszard Bosek, wówczas menedżer zawodnika. – Pojechał do Padwy, bo ta drużyna działała na podobnych zasadach jak AZS Częstochowa. Brała młodych ludzi, którzy dostawali możliwość regularnej gry z najlepszymi siatkarzami na świecie. Taki klub nadawał się znakomicie na pierwszy etap poważnej kariery”. Bosek wspomina, że musiał przez jakiś czas namawiać Włochów do wzięcia Arka. Tak naprawdę nie byli do końca przekonani, czy da sobie radę w wymagającej Serie A1. Na szczęście zaufali najpierw menedżerowi, a potem samemu zawodnikowi.

Gołasiowi było o tyle łatwiej, że w Padwie grał Krzysztof Stelmach, legenda nie tylko polskiej, ale i włoskiej siatkówki. Doświadczony przyjmujący w Italii spędził aż 14 lat! „Z całą pewnością było mnóstwo klubów, które mogły zaoferować Arkowi zdecydowanie lepsze warunki finansowe niż Padwa – opowiada. – Dla niego nie liczyła się jednak szybka

kasa. Jak się ma dobrze poukładane w głowie, to prędzej czy później i tak się dojdzie do sporych pieniędzy”.

Stelmach i jego żona Beata byli od Arka i Agnieszki kilkanaście lat starsi, postanowili więc zaopiekować się młodymi rodakami. Pamiętają Arka, który dopiero co przyjechał do Padwy – na początku wydawał się trochę speszony, może nawet lekko wystraszony. Ale, jak wspomina Krzysztof, bardzo szybko wypracował sobie pozycję w zespole. Z miesiąca na miesiąc coraz lepiej się czuł, a drużyna bardzo dobrze go przyjęła. „Trudno się zresztą dziwić, skoro był to skromny, spokojny i pracowity chłopak” – podkreśla Krzysztof, który wraz z żoną chciał pomóc Arkowi i Agnieszce w aklimatyzacji. Spotykali się we czworo, a państwo Stelmach pokazywali im różne rzeczy, służyli radą. Beata często rozmawiała z Agnieszką o kuchni, oboje chcieli być dla nich swoistymi przewodnikami. Pamiętali, jak ciężko im było, gdy sami wylądowali w obcym kraju.

Arek próbował jak najszybciej nauczyć się włoskiego, lecz najpierw musiał korzystać z pomocy starszego kolegi, który tłumaczył mu to, co trener mówił w szatni. Tym sposobem jego wejście w świat Serie A było łagodniejsze, niż gdyby polegał tylko na sobie. Start w Italii ułatwiła także fascynacja samym krajem i jego kulturą. „Arek odnalazł się w Padwie. Bardzo szybko zaprzyjaźnił się także z Robem Bontje, ludzie nazywali ich nawet »padewskimi bliźniakami«” – wspomina Agnieszka.

Do zawarcia przyjaźni doszło z jeszcze jednego powodu: środkowi byli rówieśnikami (urodzili się odpowiednio 10 i 12 maja 1981 roku) i obaj nieźle mówili po angielsku. W drużynie jeszcze tylko o rok młodszy od nich Andrea Garghella władał tym językiem, stworzyli więc grupę, która często spędzała razem czas po treningach czy między meczami. W trakcie pierwszego wywiadu dla włoskich mediów dziennikarz nazwał Gołasia i Bontje „bliźniakami” i to określenie przetrwało w zespole do końca sezonu. „Śmialiśmy się, że może widział w nas podobieństwo, bo byliśmy strasznie chudzi?” – zastanawia się Bontje. 24-latkowie i ich partnerki lubili spędzać ze sobą czas, Holender wspomina także wspólny wypad z Arkiem do Wenecji, do jednego z tamtejszych kasyn. Choć Arek na początku włoskiej przygody był bardzo stonowany i spokojny, z każdym kolejnym miesiącem czuł się w Italii coraz lepiej. Także dlatego, że w razie jakiejś podbramkowej sytuacji pod ręką znajdowali się Krzysiek i Beata. Byli niczym rodzice, którzy chcą, by dziecko stało się jak najbardziej samodzielne. Agnieszka wspomina, że rzucili Arka na głęboką wodę, nie

rozmawiali z nim po polsku, tylko starali się nauczyć go jak najwięcej języka włoskiego. I to zaczęło przynosić efekty. Po swoim powrocie z Polski, kilka miesięcy po rozpoczęciu sezonu, zdumiona Agnieszka usłyszała, że Arek zdołał dogadać się w jakimś sklepie i kupić dla niej tusz do rzęs. Była w szoku! „Arek zakochał się we Włoszech, ja zresztą też. To były najszczęśliwsze chwile w naszym życiu. Przesiąknęliśmy tym włoskim klimatem" – wspomina.

Według Beaty Stelmach Arek stał się z czasem kimś więcej niż tylko kolegą z drużyny jej męża. „Krzysiek mówi wprawdzie, że byliśmy przyjaciółmi, lecz to tylko takie męskie gadanie. Sami zbliżaliśmy się już wtedy do czterdziestki, nasz syn był 12-latkiem. My po prostu Arka »zaadoptowaliśmy«, był jakby naszym starszym synem, a nie tylko kolegą!"

Ponieważ Agnieszka kursowała pomiędzy Włochami a Polską, by dokończyć studia, Arek przebywał u „przybranych rodziców" bardzo często. Beata pamięta ten jego zniewalający uśmiech nigdy niezmęczonego faceta. Czasem wracali z Krzysztofem do domu po niezłym zasuwie na treningu, wszyscy narzekali, że są zmęczeni, że boli, a on, wiecznie uśmiechnięty, mówił, że da się to przeżyć. Jak wspominają przyjaciele z Padwy, Arek uwielbiał bawić się z dzieciakami. Godzinami siedział z ich synem Jankiem i grali na komputerze w jakieś strzelanki czy wyścigi. A punktem kulminacyjnym wieczoru było oglądanie *Shreka* i cytowanie najzabawniejszych tekstów. Mieliśmy niezły ubaw, gdy prześcigali się w tej zabawie. Arek został w ich sercach chyba najgłębiej z tych wszystkich ludzi, których poznali we Włoszech". Beata dodaje, że wspólnie z mężem starali się mu pomóc, bo sami wiedzieli już, co znaczy bariera językowa w banku albo gdy trzeba pilnie wezwać do domu elektryka czy hydraulika.

Zderzenie z Serie A1 nie było jednak dla Gołasia nieprzerwanym pasmem radości – intensywne treningi i spore obciążenia dawały o sobie znać. Zdaniem Ryszarda Boska na początku Arek trenował tam naprawdę bardzo mocno. Z tego powodu dostał od menedżera specjalne przyrządy do szybkiej regeneracji mięśni. Pewnego dnia zadzwonił do Polski, podziękował za prezent i powiedział, że bez niego nie mógłby już normalnie funkcjonować. Ale osobom z klubu nie zdradzał się z tymi problemami. Bosek wspomina, że byli zaskoczeni, jak mocno pracuje i że nie skarży się, gdy go coś boli. Arek potrafił pokonać swoje słabości i to musiało prędzej czy później zaprocentować. „Sami się dziwiliśmy, jak

szybko się rozwinął, byliśmy przekonani, że eksplozja jego talentu przyjdzie znacznie później” – oceniał Bosek.

* * *

Debiutancki sezon Arka we Włoszech był udany. Na pierwszy dobry mecz środkowego z Ostrołęki nie trzeba było długo czekać: już w drugiej kolejce rozgrywek 2004/05, w meczu z Lube Banca Macerata, wywalczył 9 punktów, popisując się między innymi czterema asami serwisowymi! Forma „Gołego” wciąż się polepszała, między 5. a 8. kolejką zdobył odpowiednio 14, 16, 17 i 10 punktów. Kolejny mecz, który zapamiętali kibice Edilbasso, to zwycięstwo nad późniejszym mistrzem Włoch, Sisleyem Treviso – 3:0. Arkadiusz Gołaś zdobył w nim 9 punktów, skończył 7 na 12 ataków i był jednym z najlepszych zawodników drużyny.

Po fazie zasadniczej siatkarze z Padwy zajęli wysokie, piąte miejsce i w ćwierćfinale play-offów ich rywalem była drużyna Sebastiana Świderskiego – RPA-LuigiBacchi.it Perugia. Już pierwszy „polski” mecz trwał ponad dwie godziny i aż trzy z pięciu setów rozstrzygano na przewagi. Pierwszego Gołaś i spółka wygrali 25:19, kolejne dwa przegrali 24:26 i 25:27, jednak wrócili do gry, bo w czwartej partii znów byli górą 25:20. Tie-break oznaczał wojnę nerwów, ale ostatecznie Padwa przegrała decydującego seta 17:19, a cały mecz 2:3.

Siatkarze z Perugii wyciągnęli wnioski z pierwszego starcia i w drugim spotkaniu już pewnie pokonali na wyjeździe zespół z Padwy 3:1. Trzeci i ostatni mecz został rozegrany w Perugii. Po raz kolejny drużyna Sebastiana Świderskiego potrzebowała aż pięciu setów do pokonania nieobliczalnego zespołu, w którego szeregach znowu brylował Arek Gołaś. W trzech spotkaniach ćwierćfinału przeciwko Perugii wywalczył odpowiednio 14, 12 i 12 punktów. Polski środkowy był najlepiej blokującym zawodnikiem zespołu – w tym elemencie zaliczył 11 oczek w trzech meczach. Drużyna „Świdra” natomiast doszła do finału, w którym przegrała walkę o tytuł mistrza Włoch z Sisleyem.

W debiutanckim sezonie w Serie A Arkadiusz Gołaś rozegrał w sumie 112 setów, zdobywając 282 punkty, z czego 199 atakiem, 45 blokiem i 38 zagrywką. Pod względem liczby asów serwisowych zajął trzecie miejsce w rozgrywkach sezonu zasadniczego (siódme na koniec), a jeśli chodzi o skuteczność, na koniec sezonu był drugim najlepiej atakującym

graczem całej Serie A1 – kończył akcje z imponującą, prawie 60-procentową skutecznością!

Edilbasso & Partners Padwa, poza udanym sezonem w Serie A1, zagrała także w turnieju finałowym Pucharu Challenge. „To były lata, w których polscy siatkarze rzadko odnosili sukcesy, nawet w barwach zagranicznych ekip – wspomina Stelmach. – Akurat z Arkiem zagraliśmy w turnieju finałowym na Majorce. Pojechaliśmy naładowani, pełni sił, przekonani o tym, że coś ugramy. Pamiętam, że przed meczem mówiłem do niego: »Zobacz, przebieramy się, wychodzimy, wygramy, a potem przejdziemy do historii«. O brąz rywalizowaliśmy z Francuzami, jednak skończyło się na boisku szybkim 0:3. W szatni spuszczone głowy. Spojrzałem na Arka i powiedziałem: »Zapomnijmy o tej naszej rozmowie, najlepiej udajmy, że nas tutaj nie było«. Zaczęliśmy się śmiać". Turniej w Hiszpanii wygrała inna włoska drużyna – Lube Banca Macerata. Jak się później okazało, nowa drużyna Arka Gołasia.

W swym pierwszym sezonie w Italii Gołaś dostał także szansę występu w wyjątkowym wydarzeniu – TIM All Star Volley, czyli Meczu Gwiazd. W sezonie 2004/05 zaplanowano go w Montichiari. Poza Arkiem Gołasiem powołanych zostało 14 innych *stranierich*. Zespół obcokrajowców, Acqua Paradiso A1, poprowadził ówczesny szkoleniowiec drużyny z Padwy, Francesco Dall'Olio. Mecz rozegrano 31 października, a rywalem była reprezentacja Włoch. Spotkanie było częścią Weekendu Gwiazd. Udział Arka w tym show był tym cenniejszy, że za wybór zawodników odpowiadali ludzie związani z klubową siatkówką w Italii, czyli trenerzy i prezesi klubów. W tym samym zespole zagrał wówczas Peter Diviš, znany między innymi z wcześniejszych występów w Sosnowcu.

„Bardzo się ucieszyłem, że mogłem zagrać z Arkiem w jednej drużynie – mówi słowacki siatkarz. – Ale też nie będę ukrywał, że jego obecność trochę mnie zaskoczyła. Bardziej spodziewałem się spotkać chociażby Sebastiana Świderskiego. Z drugiej jednak strony na udział w tym wielkim wydarzeniu trzeba było sobie zasłużyć postawą w Serie A. Arek pokazał, że warto na niego liczyć, bo w pierwszym sezonie we Włoszech grał po prostu zajebiście!"

„Arka nie sposób było nie polubić – wspomina Diviš. – To był naprawdę sympatyczny chłopak, bardzo spokojny, rozsądny i niesamowicie skromny. W Montichiari mieliśmy do dyspozycji pokój, mogliśmy robić, co chcieliśmy. Arek przyjechał do hotelu z Agnieszką, więc zaproponowałem,

aby poszli do pokoju odpocząć, żeby mógł przez chwilę odsapnąć przed meczem i spędzić czas z przyszłą żoną. Odpowiedział, że dzięki, ale nie trzeba. Poczekali spokojnie w hotelowym holu. Zresztą ani przez moment podczas tamtego weekendu Arek nie dał po sobie poznać, że czuje się gwiazdą. Nie wywyższał się. Myślę, że choć oczywiście cieszył się z udziału w tak prestiżowej siatkarskiej imprezie, w głębi duszy chciał mieć to już za sobą i po prostu wrócić do domu".

W TIM All Star Volley udział wzięły trzy drużyny – obcokrajowcy z Serie A1, zawodnicy grający w Serie A2, czyli na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej, oraz reprezentacja Włoch. Arek Gołaś wystąpił w jednym spotkaniu. Jego Acqua Paradiso A1 okazało się lepsze od Computer Discount A2, wygrywając nietypowo 2:0 (25:19, 25:22). W dwóch setach Polak zdobył 4 punkty.

W Weekendzie Gwiazd w Montichiari uczestniczyło ponad sześć tysięcy kibiców. A telewizyjną transmisję z imprezy obejrzały miliony widzów we Włoszech i na całym świecie.

„Udział Arka w tym meczu pokazuje, jak ludzie we Włoszech fascynowali się jego wyskokiem i warunkami fizycznymi – wspomina Słowak. – Występ w Meczu Gwiazd gościa wzbijającego się tak wysoko był gratką również dla kibiców, którzy patrzyli na jego grę i robili wielkie oczy: jak to w ogóle możliwe, żeby tak skakać! A dla Arka była to ogromna nobilitacja. Sam troszkę śmiał się z tej sytuacji i powtarzał, że żadną gwiazdą na razie nie jest, ale cieszył się z tego meczu. Możliwość stoczenia pojedynku z najlepszymi siatkarzami świata dała mu jasno do zrozumienia, że Serie A to liga dla niego".

Składy ekip biorących udział w meczach tamtego Weekendu Gwiazd:

Acqua Paradiso A1 – Computer Discount A2 2:0 (25:19, 25:22)

Acqua Paradiso A1: Dehne, Hernandez, Gołaś, Henrique, Marshall, Konstantinow, Fenili (libero), Millar.

Computer Discount A2: Brifaud, Van Beest, Cricca, Stagni, Peda, Axè, Maresca (libero), Perazzolo, Corvetta, Falasca, Heikkinen, Dalla Libera.

Włochy – Computer Discount A2 2:0 (25:15, 26:24)

Włochy: Sintini, Morsut, Cisolla, Savani, Tencati, Fei, Rinaldi, Semenzato, Zlatanov, Ravellino. Computer Discount A2: Heikkinen, Sborgia, Peda, Falasca, Corvetta, Axè, Pagotto, Dalla Libera, Yoko, Perazzolo.

Włochy – Acqua Paradiso A1 2:0 (25:23, 27:25)

Włochy: Mastrangelo, Vermiglio, Papi, Sartoretti, Cisolla, Savani, Rinaldi, Tencati, Fei, Cozzi. Acqua Paradiso A1: Millar, Nummerdor, Heller, Diviš, Anderson, Dehne, Sérgio, Gato, Ricardo.

Krzysztof Stelmach wspomina, że na początku swego debiutanckiego sezonu Arek miał spokojne, stonowane oblicze. Jednak w trakcie rozgrywek zaczęło się ono zmieniać. Gdy rozgrywający Marco Meoni nie wiedział, co ma zrobić z piłką, wystawiał ją na środek do Arka. Wszyscy się śmiali, że wystarczy mu tylko odpowiednio podrzucić piłkę, a on skończy akcję. Arek miał bowiem niesamowitą dynamikę i zasięg, poza tym potrafił zawisnąć w powietrzu i dopiero później uderzyć. Ten talent szybko dostrzeżono. Zresztą od samego początku się wyróżniał i to nie tylko w drużynie z Padwy. Po każdym spotkaniu Serie A1 wszystkim graczom przyznawano oceny, a Arek często brylował w tych rankingach. Robił piorunujące postępy – chyba nikt się w Padwie nie spodziewał, że tak szybko będzie grał na tak wysokim poziomie. To był młody chłopak, lecz już wtedy z wielkimi parametrami i umiejętnościami. Włosi byli pod wrażeniem.

„Ten jego lekki wyskok, bez żadnej napinki, to było coś niesamowitego! Skakał w taki sposób, jakby wzbicie się w górę w ogóle go nie męczyło, nie sprawiało mu trudności. Wydawało się, że nie kosztowało go to żadnego wysiłku. Taka niesamowita lekkość… Po sezonie zbierania doświadczeń w Padwie Arek nie był już tylko szybki i skoczny. Dostrzegało się też u niego spory spryt pod siatką, bardzo szybko dochodził do skrzydeł i błyskawicznie reagował na to, co się dzieje i będzie działo pod siatką. To taki dar. Kiedy skoczyć, kiedy poczekać, kiedy zagrać opcją. W jego wykonaniu było to szokująco naturalne. Nic dziwnego, że zgłosił się po niego jeden z największych klubów w Italii…” – ocenia kolega z drużyny.

Wystarczyło ledwie osiem miesięcy w Serie A1, aby szefowie giganta, Lube Banca Macerata, zdecydowali się skorzystać z kłopotów finansowych ekipy z Padwy i wykupić kontrakt Arka. Polak mówił o całej sytuacji z optymizmem. Chwalił swój nowy klub i podkreślał, że trzyletnia umowa zapewniała mu stabilizację. Jego menedżer Ryszard Bosek wypowiedział

wtedy znaczące zdanie: „To tak, jakby piłkarz podpisał umowę z Barceloną lub Milanem”.

Co ciekawe, o transferze początkowo nie wiedziała nawet partnerka życiowa Arka… „Pamiętam, jak mi powiedział coś o jakiejś Maceracie. Jaka Macerata?! Przecież do Padwy mieliśmy jechać! Dopiero wtedy się dowiedziałam… – śmieje się Agnieszka. – Arek miał w takich sprawach pełną swobodę, wiedział, że darzę go zaufaniem. O tym, że rozważał jakąś propozycję, zwykle dowiadywałam się już po fakcie. Był na tyle mądry i podejmował decyzje z taką rozwagą, że nigdy nie działał pochopnie. Jaki miałam na siebie pomysł, jadąc z nim do Maceraty? Nie miałam… Najważniejsze było to, żeby mu towarzyszyć. Istniał między nami taki niepisany układ, że to on sam decyduje o rozwoju swojej kariery i koniec, kropka. Mógł sobie wybrać Chiny i ja bym z nim tam pojechała!”

Trzyletnia umowa z jednym z włoskich gigantów wywołała spore zainteresowanie w Polsce. „Włosi bardzo lubią takich chłopaków jak Arek, młodych i pracowitych – tłumaczy były gracz klubów Serie A1 Piotr Gruszka. – Bardzo rzadko się zdarza, żeby raptem po roku gry w – nie ma co ukrywać – średnim klubie, jakim była wtedy Padwa, ktoś trafiał do tak wielkiego zespołu, jak Lube Banca Macerata. Oprócz ciężkiej pracy, którą wykonywał codziennie, Arek miał w sobie mnóstwo talentu, który Włosi musieli dostrzec. To, że podpisał z Maceratą kontrakt na trzy lata, oznaczało ogromne wyróżnienie, które w Polsce przyjęliśmy z wielkim uznaniem. Po pierwsze: nasi siatkarze nie grali dotąd w takich klubach, a po drugie: bardzo rzadko zawierano umowy na tak długi okres, nawet z najlepszymi. Taki kontrakt zdarzało się sporadycznie podpisać z przyjmującym czy atakującym, ale nie ze środkowym! To tylko pokazuje, jaką pozycję we Włoszech w tak krótkim czasie zdołał wypracować sobie Arkadiusz Gołaś”.

„Widać było, że Włosi chcieli wtedy na niego stawiać – mówi Peter Diviš. – Wiązali z Arkiem ogromne nadzieje. Nie kojarzę, żeby klub z Maceraty podpisywał z kimś wcześniej kontrakt na trzy lata. Arek trafił do Lube nie tylko z powodu umiejętności czysto siatkarskich. Ci, którzy tam grają, mają prezentować klasę na boisku, ale także poza nim. Jeśli jesteś tępy, to najpewniej taki zostaniesz na zawsze i w pewnym momencie twoja klasa sportowa przestanie mieć znaczenie. W Maceracie z takimi ludźmi nie chcą współpracować”.

Swoim zdaniem na temat drogi, jaką potoczyła się we Włoszech kariera Arka, dzieli się także Krzysztof Stelmach: „Myślę, że przychodząc do

Padwy – drużyny, której możliwości nie powalały na kolana – i mając na uwadze swoje nieprzeciętne umiejętności, gdzieś podświadomie jednak myślał o tym, że taki klub może być dla jego kariery idealną trampoliną. Arek dostał od losu szansę i potrafił ją wykorzystać. Zazwyczaj na transfer do topowego zespołu musisz zasłużyć co najmniej dwuletnią, bardzo solidną grą w jakimś średniaku. Liga włoska była wtedy najbardziej wymagająca na świecie, a Arek po jednym sezonie trafił do bardzo mocnej drużyny, która już w następnym roku zdobyła mistrzostwo kraju. Wielka szkoda, że nie stał się częścią tego projektu…”.

„Arek zrobił większe wrażenie na włodarzach Lube niż oni na nim – twierdzi z kolei Ignaczak. – W Maceracie stawiali na jego rozwój. Zdawali sobie sprawę, że nie osiągnął jeszcze szczytu swoich możliwości, a roczna umowa mogłaby się okazać zbyt krótka. Szefowie klubu świetnie wiedzieli, jaki potencjał drzemie w tym młodym chłopaku, i byli zdeterminowani, żeby go wydobyć. Zdawali sobie też sprawę, jakim wzmocnieniem na pozycji środkowego mógł stać się Arek w ciągu jednego, dwóch sezonów. Myślę, że niesamowicie zbudował go debiutancki sezon w Serie A, w którym zagrał naprawdę dobrze i był jedną z najjaśniejszych postaci na swojej pozycji”.

* * *

Jak wyglądały negocjacje z nowym pracodawcą? Były krótkie – zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak mocną pozycję w elicie zajmowała wówczas Macerata i jakie pieniądze zaproponowano Arkowi. Menedżerowi Boskowi czasem zdarzało się zastanawiać, czy nie wystartowali wtedy ze zbyt niskiego poziomu, ale zawsze szybko uświadamiał sobie, że jak na tamten czas udało się dla Gołasia wynegocjować naprawdę dobrą umowę. Arek przekonał szefów klubu swoją grą w Padwie. Trener Ferdinando De Giorgi miał możliwość na żywo obserwować, jak z kolejki na kolejkę rozwijał się polski środkowy, i to po jego sugestiach szefowie Lube Banca uznali, że może stać się ważnym ogniwem ich klubu. Nikt Arkowi niczego nie załatwił na piękne oczy. Na trzyletni kontrakt z Maceratą zapracował czterema sezonami w Częstochowie i rokiem spędzonym w Padwie. Był jak lokata bankowa: gwarantował dobry, stabilny poziom, który dla Włochów bardzo się liczył.

Zwolennikiem sprowadzenia do Maceraty Gołasia był nowy trener tej drużyny – aktualny selekcjoner Biało-Czerwonych Ferdinando De Giorgi. W poprzednim sezonie był trenerem Perugii i w ćwierćfinale play-offów grał przeciwko Padwie, w barwach której występował Gołaś. Walczyli bardzo ostro, a Arek zapowiadał się na niezwykle ciekawego gracza. Po sezonie 2004/05 De Giorgi przeszedł do Maceraty, jednego z najważniejszych klubów w Italii. Był to bardzo ważny krok w jego karierze.

„Potrzebowaliśmy środkowego, a numerem jeden na mojej liście był właśnie Arek – wspomina. – Podobała mi się nie tylko jego technika, zapamiętałem też z meczów ćwierćfinałowych wyraz jego twarzy, pełen determinacji i sportowej złości. Chyba właśnie ta zadziorność zadecydowała o tym, że chciałem z nim pracować. Pamiętam Arka jako gracza o bardzo ciekawych parametrach. Nie był może jakimś wybitnym blokującym, lecz z pewnością stawał się coraz lepszy także w tym elemencie. Przede wszystkim był lekki jak na środkowego, bardzo szybki i zwinny. Potrafił się błyskawicznie przemieszczać, co na tej pozycji jest bardzo ważne. Być może musiał zebrać jeszcze trochę więcej doświadczenia, lepiej poznać taktykę i nauczyć się czytania gry. Posiadał jednak niebywały potencjał w ataku i w polu zagrywki, a gdy dołożyło się do tego blok, stawał się bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Zanim ściągnęliśmy Arka do Maceraty, pytałem o niego Sebastiana Świderskiego, z którym pracowałem w Perugii. Chciałem wiedzieć, jaki ma charakter, jak się zachowuje w grupie. Sebastian mówił o nim w samych superlatywach. Trudno mi do dziś znaleźć podobnego gracza, bo Arek miał wyjątkowe cechy. Był naprawdę interesującym siatkarzem. Na pewno w ataku i w zagrywce był już gotowym zawodnikiem. Szybkością w bloku przypomina mi go trochę Kuba Kochanowski”.

To samo co Ferdinando De Giorgi dostrzegła też Agnieszka: „We Włoszech w Arku obudził się tygrys. Zrobił bardzo duży postęp, może kibice w Polsce tego nie dostrzegali, bo nie widzieli go na co dzień. W Padwie obudziła się w nim zaciętość, ale taka bardziej intensywna, bo przecież już w polskiej lidze potrafił być waleczny. Tylko z boku mogło to tak wyglądać, że szedł sobie do góry od niechcenia, robił pyk i niemal zawsze zdobywał punkt. Włosi chyba zaczęli mu także zaszczepiać to swoje boiskowe cwaniactwo. Stał się bardziej pewny siebie i swoich

możliwości. Zaczął okazywać więcej emocji, jakby wychodził z niego jakiś sportowy »demon«”.

* * *

16 września w Maceracie czekano na Arka i jego żonę. „Wiedziałem, że zdecydował się na nocną podróż samochodem, by zdążyć na nasz trening kolejnego dnia. Czekałem na niego, jednak rano zadzwonił do mnie dyrektor sportowy Maceraty i z płaczem przekazał informację o tym strasznym wypadku. W pierwszej chwili nie dowierzałem, było to tak nieprawdopodobnie smutne, że aż nierealne – wspomina De Giorgi. – Mimo że Arkowi nie udało się do nas dojechać, nie można powiedzieć, że go nie znaliśmy. Jedni lepiej, inni słabiej, lecz on już od roku grał w Serie A1. Dlatego wieść o jego śmierci wywołała ogromne poruszenie. Na mnie spadł obowiązek poinformowania zespołu i nie ukrywam, że sprawiło mi to ból. To był szok także dla mnie, więc nie było łatwo powiedzieć chłopakom. Zanim jednak dojechałem do klubu, wiadomość już zaczęła się rozchodzić. Wszystkim nam było trudno, taki młody chłopak, taka tragedia. Poprosiłem zespół, by nie zadawali sobie pytań »dlaczego?«, bo to kiepski pomysł. Naszym wspólnym celem stała się jak najlepsza dyspozycja w nadchodzącym sezonie, by choć w ten sposób upamiętnić Arka. Udało nam się sięgnąć po mistrzostwo. Pierwsze po wielu latach przerwy. Myśl o Arku na pewno nam pomogła w odniesieniu tego sukcesu”.

„Ten cały świat, który nam się wtedy skończył, to była dla mnie jakby abstrakcja. Śmierć Arka przeżyłam bardzo ciężko – wspomina Beata Stelmach. – Nasze, jak się okazało, ostatnie pożegnanie w Padwie było specyficzne. Myśmy już wiedzieli, że wracamy do Polski na stałe, Arek szykował się na kadrę i miał wrócić do Włoch. Przy drzwiach wyjściowych Krzysiek powiedział mu, że musi jechać do Maceraty i walczyć o swoje. Nie będzie łatwo, jest przecież cudzoziemcem. »Ja walczyłem przez 14 lat, wciąż udowadniałem, że jestem dobry, ty też będziesz musiał, bo jesteś Polakiem – mówił do niego. – Musisz walczyć«. A wtedy Arek odpowiedział: »Wiesz co, ja się chyba nigdy nie nauczę blokować!«. Na co Krzysiek odparł: »No co ty, dasz radę!«. Arek pokręcił głową i dodał, że do końca życia nie będzie umiał blokować tak dobrze jak Krzysiek. I po prostu wyszedł. W momencie gdy usłyszeliśmy o wypadku, Krzysiek powiedział, że chyba mu wykrakał z tym blokiem…”

ROZDZIAŁ 9

SREBRNE ŁZY Z TOKIO

3 grudnia 2006 roku. Yoyogi National Stadium w Tokio. Ceremonia wręczania medali najlepszym drużynom mistrzostw świata siatkarzy. Na miejscu są wysłannicy Polsatu Sport – Tomasz Swędrowski i Wojciech Drzyzga. Ten pierwszy komentuje: „A tu jest właśnie reprezentacja Polski, która wchodzi do hali Yoyogi. Widzą państwo, są uśmiechnięci. Piotr Gacek, największy pechowiec tych mistrzostw, który tak fantastycznie się spisywał. Były wątpliwości, czy w ogóle wytrzyma? Zmiana nastąpiła w ostatniej chwili, pojechał na mistrzostwa świata i wytrzymał. To jest najlepsza możliwa odpowiedź! Dzisiaj, no cóż, pech, nie dał rady. Przytrafiła mu się dosyć poważna kontuzja nogi, ale na pewno wróci do gry. Są nasi, uśmiechnięci, już niedługo będą przyjmować srebrne medale, gratulacje. Za chwilę do hali wejdą także ci, którzy pokazali, kto rządzi w siatkówce. Ale są nasi!!! Cała nasza wspaniała reprezentacja!”.

Drzyzga: „Brawo, no, już na twarzach uśmiechy, już minął ten ogromny stres związany z finałem, powoli zaczynają smakować swoje osiągnięcie”. Swędrowski: „Za chwilę będą srebrne medale dla reprezentacji Polski. No i nasi, tak jak mówiliśmy, w koszulkach Arka Gołasia, który zmarł przedwcześnie. Wtedy w naszym kraju panowała żałoba, ale teraz brawo, brawo! I za ten gest, i przede wszystkim za wicemistrzostwo świata! Jest srebrny medal, tak długo czekaliśmy na ten moment! Przypomnijmy nazwiska: Piotr Gruszka, Daniel Pliński, Paweł Zagumny, Wojciech Grzyb, Łukasz Żygadło, Mariusz Wlazły, Łukasz Kadziewicz, Grzegorz Szymański, Sebastian Świderski, Piotr Gacek, Michał Bąkiewicz, Michał Winiarski i jeśli użyjemy tutaj nazwiska Arka Gołasia, to będzie to absolutnie na miejscu. Gdyby żył, na pewno by się tutaj w Japonii znalazł!”.

Komentatorzy opisywali jeden z najważniejszych momentów w polskiej siatkówce w XXI wieku – zdobycie wicemistrzostwa świata. Jeden z najważniejszych, a zarazem także jeden z najbardziej wzruszających. Cała drużyna założyła bowiem koszulki z numerem i nazwiskiem Arka Gołasia, który jeszcze rok wcześniej należał do kluczowych graczy, którzy zapewnili Biało-Czerwonym awans na mundial w Japonii. Niezwykle mocno

przeżywający jego śmierć trener Raúl Lozano obiecał sobie, że gdy tylko nadarzy się odpowiednia okazja, uczczą pamięć kolegi i przyjaciela. Argentyńczyk wspomina, że jeszcze wiosną 2006 roku poprosił kierownika kadry, by przygotował 25 reprezentacyjnych trykotów, na których będzie widniało nazwisko Gołasia oraz jego numer – szesnastka. Koszulki wyprodukowano, lecz o pomyśle wiedziało tylko kilka osób, trener nie chciał wywierać presji. O strojach powiedział zespołowi dopiero po wygranym półfinale mistrzostw świata z Bułgarią. Reprezentanci usłyszeli, że to tylko od nich teraz zależy, jakie medale założą na strój ich przyjaciela. Lozano doskonale pamięta, jak szybko po awansie do finału z szatni wyparowała euforia, a pojawiły się łzy. On sam do dzisiaj nie może o tym mówić bez wzruszenia.

Libero wicemistrzów świata Piotr Gacek wspomina, że ta chwila była dla wszystkich bardzo trudna, ale zarazem wspaniała. „To w ogóle były hardcore'owe mistrzostwa, coś wprost nie do opisania. Jeśli dobrze pamiętam, to o koszulkach dowiedzieliśmy się chyba faktycznie tuż przed samym finałem. Przede wszystkim czuliśmy wielką dumę, że możemy je założyć. To było dla nas bardzo istotne, bo Arek cały czas stanowił część naszej drużyny. Jego śmierć to była ogromna strata, mieliśmy przecież okazję go poznać i z nim grać. Ja oczywiście nie nawiązałem z nim tak bliskiego kontaktu, bo w tej drużynie byłem nowy, świeży. Co czułem wtedy na podium? W tamtym momencie pojawiło się poczucie spełnienia, że mogę stać w koszulce z jego nazwiskiem i numerem. Chociaż w taki sposób mogliśmy oddać mu cześć. On całe swoje życie podporządkował siatkówce, gdyby nie ten wypadek, z pewnością stałby tam z nami. A przecież polska siatkówka tak długo czekała na taki moment! Arka nie było już z nami, a jednak miałem wrażenie, że stał tam, na podium w Japonii. Zresztą koszulka Arka miała dla mnie dodatkowe znaczenie: posiadałem już oryginalną, którą dał mi sam po którymś meczu, i ona później trafiła na jego trumnę w trakcie pogrzebu w Ostrołęce. Możecie sobie sami wyobrazić, co czułem, stojąc tam w Japonii i patrząc na »16« Arka".

Wzruszeni polscy siatkarze ze łzami w oczach patrzyli na numer Arka, całując swoje medale. Nastrój udzielił się zapewne również wielu spośród przeszło siedmiu milionów widzów, śledzących transmisję w telewizji. Ta scena na zawsze zapisała się w historii polskiej siatkówki. Szczęśliwi wicemistrzowie świata wychodzą do dekoracji w zwyczajowych dresach

reprezentacji. Na ich twarzach maluje się radość, ale i niedowierzanie, jakby jeszcze nie docierało do nich, jak wielki odnieśli sukces. Dumnie zajmują miejsca za podestem. Bąkiewicz, Grzyb, Zagumny, Żygadło i Kadziewicz wpatrują się w Daniela Plińskiego, ten wreszcie krótko kiwa głową. I nagle cały zespół w jednym momencie zdejmuje bluzy, prezentując koszulki z nazwiskiem „Gołaś” i numerem „16”. Dla oficjeli Międzynarodowej Federacji Siatkówki był to nerwowy moment, gdyż przepisy mówiły jasno, że wszystkie drużyny mają stać na podium ubrane w reprezentacyjne uniformy. W tamtym momencie nasz sztab i zawodnicy kompletnie nie interesowali się jednak ewentualnymi karami.

„To był hołd ze strony kolegów, z którymi tak ciężko pracował – mówi Krzysztof Stelmach. – Dowód na to, że Arek cały czas był z nimi podczas tego turnieju. Jako wyróżniający się członek reprezentacji zasłużył, aby w ten sposób uhonorować jego pamięć”.

„Wszyscy byliśmy mocno zaskoczeni – wspomina Radosław Panas. – Do końca utrzymywali to w tajemnicy. Bardzo wzruszający moment. Pokazał, jaką sympatią cieszył się Arek. Chłopcy pamiętali, zadedykowali mu ten medal i zgodnie twierdzili, że był wśród nich. Jak się patrzy teraz na zdjęcia, gdzie wszyscy stoją z tym numerem »16«, to wydaje się, że był to trafiony pomysł. Z całą pewnością nie zorganizowano tej akcji pod publiczkę, chodziło tylko o upamiętnienie Arka. Duży szacunek dla chłopaków, że o tym pomyśleli”.

„Ktoś w pewnym momencie wspomniał, że takie koszulki są przygotowane, w razie gdybyśmy odnieśli sukces w Japonii – opowiada wicemistrz świata Wojciech Grzyb. – Pamiętam, że akcję z trykotami wymyślił i zorganizował trener Lozano, który cały czas głęboko wierzył w zdobycie medalu. Raúl powiedział potem, że dokładnie prześledził cały rozkład gier, przestudiował, z kim się spotykamy, na kogo możemy trafić w kolejnych fazach, i naprawdę był przekonany, że zawalczymy o medal. My, młodzi zawodnicy, przytakiwaliśmy mu, ale wiadomo: marzenia marzeniami, a gra grą. Jednak z czasem, gdy wygrywaliśmy kolejne mecze, zaczęliśmy coraz mocniej wierzyć w sukces. Gdy trener poinformował o pomyśle z koszulkami, wszyscy zareagowaliśmy bardzo pozytywnie. Arek był częścią naszej grupy i pracował równie ciężko, jak my wszyscy. Gdyby nie ten wypadek, pojechałby z nami na tę imprezę. Cieszyliśmy się, że chociaż w taki symboliczny sposób możemy pokazać, jak ważne ogniwo tej reprezentacji stanowił”.

Gdy dwa dni później kilkanaście tysięcy ludzi witało polskich siatkarzy na lotnisku, ci wciąż mieli na sobie koszulki z nazwiskiem „Gołaś”. Siatkarze jasno dali do zrozumienia, że przeszło rok po tragicznym wypadku wciąż uważają Arka za członka zespołu, który po ponad trzech dekadach przerwy wrócił z mistrzostw świata z medalem dla Polski.

„Jedno jest pewne: żeby grać w tak piekielnie trudnym turnieju, jak mistrzostwa świata, musisz przejść długą drogę, spędzić setki godzin na treningu – mówi wicemistrz świata Piotr Gruszka. – Oczywiście to nie tak, że przez cały czas myśleliśmy o Arku. Ale wchodząc na salę i ustawiając się na boisku, czuliśmy jego brak. Takich ludzi się nie zapomina… To, że założyliśmy koszulki Arka po meczu finałowym, nie było zrobione pod publiczkę czy jako pożywka dla mediów. Przyszło nam to naturalnie. Czuliśmy, że on wtedy stał z nami na tym podium, że tak naprawdę nam wówczas towarzyszył. Powtórzę dobitnie: takich ludzi nie zapomina się nigdy! Ja do dzisiaj, gdy patrzę na zdjęcie, na którym wszyscy stoimy na podium w koszulkach z numerem »16« i nazwiskiem »Gołaś«, mocno się wzruszam i nawet nie próbuję tego ukryć”.

„Miałem okazję obserwować to wydarzenie na żywo, w Japonii – wspomina Rafał Bała, dziennikarz między innymi »Przeglądu Sportowego«, a obecnie Polskiego Radia. – Powiem szczerze, że w momencie gdy chłopaki zdjęły bluzy, żeby pokazać całemu światu kilkanaście koszulek z nazwiskiem Arka, po całym ciele przeszły mi ciarki. My, dziennikarze, nie wiedzieliśmy o tej akcji i wszyscy byliśmy cholernie dumni z tego, co zrobili nasi siatkarze. Wyjaśnialiśmy nieświadomym kolegom z zagranicy, o kogo chodzi, co to za akcja. I wtedy również oni składali nam gratulacje za wspaniały gest zawodników”.

„Na widok chłopaków w koszulkach z numerem »16« i nazwiskiem »Gołaś« poczułem dumę – przyznaje Paweł Papke. – To był dowód, że takie hasła, jak: drużyna, zespół czy team to coś więcej niż puste frazesy. To był naprawdę wymowny, piękny gest. Potwierdzenie, że Arek stanowił część drużyny i miał wkład w ten sukces”.

„Byłem wtedy w Polsacie – wspomina z kolei Damian Dacewicz. – Zarówno podczas meczu, jak i później, gdy wręczano medale. I byłem jednym z pierwszych, którzy w ogóle się zorientowali, o co chodzi z tymi koszulkami. Informację szybko wysłaliśmy do Tomka Swędrowskiego, komentującego mecze bezpośrednio z Japonii. Fajnie, że udało się to szybko zauważyć, a cała akcja została przybliżona kibicom”.

„Raúl zaznaczył od razu, że dopóki on jest trenerem, to ta grupa ludzi będzie nieustannie dziękowała Arkowi – dodaje wicemistrz świata Łukasz Kadziewicz. – Bo on po prostu zawsze do tej drużyny należał. Czy działy się złe, czy dobre rzeczy, to na zawsze pozostał naszym kumplem. Wtedy, w grudniu 2006 roku, nikt z nas nie krzyczał z radości podczas wychodzenia na podium w koszulkach z jego nazwiskiem. Panowała raczej bardzo wymowna cisza. I tę ciszę usłyszano wtedy na całym świecie. Arek zostawił w tej drużynie wyraźny ślad, zarówno pod względem sportowym, jak i charakterologicznym”.

„Na ten temat nie chcieliśmy wcześniej zbyt wiele rozmawiać – mówi wicemistrz świata Sebastian Świderski, wówczas przyjmujący reprezentacji, później trener, a obecnie prezes ZAKSY Kędzierzyn-Koźle. – Przede wszystkim żeby nie zapeszać. Chcieliśmy pokazać całemu światu, że na zawsze będziemy mieć Arka w pamięci. Bardzo nam go brakowało. W ogóle był lekki problem, żeby wyjść w tych koszulkach. Na początku nie otrzymaliśmy zgody, dopiero po rozmowach z włodarzami FIVB udało się całą sprawę wyjaśnić. Było to ogromnie ważne wydarzenie nie tylko dla nas, ale także dla rodziny Arka. Pokazaliśmy im wtedy, że nie tylko my, ale cała polska siatkówka pamięta o tym wspaniałym człowieku”.

„Nie mogliśmy zachować się inaczej – podkreśla wicemistrz świata Łukasz Żygadło. – Wiedzieliśmy, jaką osobą był Arek. Cały czas tworzyliśmy jedną grupę. Różne rzeczy powodują, że drużyna się scala i znajduje wewnętrzną motywację, która nakręca na przyszłość. W zespole jest jak w rodzinie. Czasami jeden z drugim może się pokłócić, mieć inną opinię na dany temat. Dzięki historii z koszulkami poczuliśmy niesamowitą jedność. To, co tego grudniowego dnia zrobiliśmy na podium w Japonii, było według nas oczywiste i potrzebne”.

Zapewne najmocniej hołd wicemistrzów świata przeżyli najbliżsi Arka. Kasia Gołaś przyznaje, że rozpłakała się od razu, gdy zobaczyła ten piękny gest. Zresztą cała rodzina jest niezwykle wdzięczna Raúlowi Lozano, który ciepło wspomina Arka. Zdaniem Kasi także akcja z koszulkami spowodowała, że pamięć o jej bracie przetrwała wśród kibiców tak długo.

Bardzo ciężko zniósł tę sytuację Krzysztof Ignaczak, najlepszy przyjaciel Arka. Jak pamiętamy, na mundial nie pojechał po karnym wyrzuceniu go z reprezentacji. Nie mógł być na podium, gdy składano hołd jego najlepszemu przyjacielowi. Nie mógł być też z reprezentacją, gdy wreszcie dokonała czegoś wielkiego. „Z jednej strony byłem zdruzgotany, że mnie

tam nie ma, i przeżywałem to mocno, na swój sposób – wspomina tamten moment. – Z drugiej strony cieszyłem się bardzo, że chłopakom udało się zdobyć medal na tak ważnej imprezie. Nie miałem natomiast pojęcia, co szykują. Każdy z siatkarzy stojących na podium był blisko z Arkiem, znał go bardzo dobrze. Każdy miał go w sercu. Chłopaki mocno za nim tęskniły, tęsknią zresztą nadal. Poczułem wtedy ogromną radość, bo wiedziałem, że oddają hołd człowiekowi, który w pewien sposób był tam z nimi. Przecież gdyby nie ten tragiczny wypadek, Arek na pewno znalazłby się w Japonii i stanął na podium mistrzostw świata".

„O koszulkach mówiło się wcześniej, ale tylko gdzieś w siatkarskich kuluarach – przyznaje Krzysztof Felczak. – Raczej dopiero po tym, gdy zdobycie medalu zaczynało wyglądać realnie. Gdy chłopaki wyszły w tych koszulkach, to z jednej strony byłem szczęśliwy, ale z drugiej czułem żal do losu. Cokolwiek by mówić, Arek był pełnoprawnym członkiem tej ekipy. Kariera i życie stały przed nim otworem, ledwo co wziął ślub i podpisał kontrakt z doskonałym zespołem. Czułem żal także dlatego, że reprezentacja Polski wkraczała wtedy na medalowy szlak, zaczęło się zdobywanie tytułów. Gdyby Arek żył, wiele z tych krążków zawisłoby także na jego szyi. Po raz kolejny historia z koszulką przypomniała mi się, gdy byłem w Berlinie podczas niesamowitego meczu z Niemcami – tego, który dał nam awans do zawodów kwalifikacyjnych w Tokio przed igrzyskami olimpijskimi w Rio de Janeiro. Patrzyłem na Grześka Łomacza, przypominałem sobie trenerów z Ostrołęki i cały czas w głowie pojawiał mi się Arek Gołaś. Mógłby cieszyć się wtedy razem z Grześkiem… Każdemu wyjazdowi zespołów MOS-u Wola Warszawa do Ostrołęki towarzyszy pójście na grób Arka, gdzie zapalamy mu świeczkę. Gdy sam jestem w tym mieście, zawsze odwiedzam Arka, staję przy jego grobie i rozmyślam nad tym, co było, a co mogłoby być…"

* * *

Srebro na mistrzostwach świata Polacy wywalczyli w nieprawdopodobnych okolicznościach, a dodajmy, że to był nasz pierwszy medal na mundialu po 32-letniej przerwie! W domach polskich sympatyków siatkówki zapanowała wielka radość. Bo przecież Biało-Czerwoni pod wodzą argentyńskiego selekcjonera nie byli wymieniani wśród kandydatów do zajęcia wysokiego miejsca w japońskim turnieju. Zdobycie medalu

wydawało się tylko pobożnym życzeniem. Jednak Gruszka, Szymański, Gacek, Kadziewicz i reszta grali w tym turnieju nie tylko dla siebie, swoich rodzin i kibiców. Grali także dla Arka. I wypadli świetnie! W kolejnych meczach rozbijali rywali, zwyciężyli siedem razy z rzędu, nie tracąc przy tym nawet seta! W pokonanym polu zostały kolejno Chiny, Argentyna, Egipt, Portoryko, Japonia, Tunezja i Kanada. Następnym rywalem na drodze rozpędzonej biało-czerwonej lokomotywy była reprezentacja Rosji. Dla Polaków ten mecz miał tym większe znaczenie, że ewentualne zwycięstwo dawało pewny awans do półfinału mistrzostw świata, pierwszy od ponad trzech dekad. Nasi siatkarze rozpoczęli to spotkanie słabo – od dwóch setów przegranych gładko do 19. Trener Lozano zareagował na to wprowadzeniem Grzegorza Szymańskiego i Piotra Gruszki, którzy odmienili grę reprezentacji. Kibice przecierali oczy ze zdumienia: Polacy podjęli walkę i spektakularnie pokonali Rosjan 3:2! Zapanowała ogólnonarodowa euforia!

„Jest to jedno ze wspanialszych uczuć, jakie czułem w życiu” – mówił na gorąco „Gato”, a Daniel Pliński dodawał: „My Polacy, pokazaliśmy kawał charakteru. Wygraliśmy spotkanie 3:2 i jesteśmy w półfinale mistrzostw świata!”.

Kolejne zwycięstwo, tym razem 3:0 nad Serbią i Czarnogórą, oznaczało wygranie grupy i uniknięcie wielkiej Brazylii w półfinale. Na Polaków czekała za to Bułgaria, z genialnie wtedy dysponowanym Matejem Kazijskim. Polacy byli jednak lepsi i awansowali do wielkiego finału. Ten nie był, niestety, dobrym meczem w wykonaniu naszej reprezentacji. Na boisku niepodzielnie panowali wielcy tego dnia Canarinhos, którzy przewidywali niemal wszystkie ruchy Polaków. Nie udało się choćby nawiązać walki. Na domiar złego kontuzji doznał Piotr Gacek i jego miejsce na pozycji libero z konieczności zajął nominalny przyjmujący, Michał Bąkiewicz. Szybkie 3:0 dla Brazylii, spotkanie bez większych emocji. „Sam awans do finału był dla nas niesamowitym osiągnięciem – opowiada Gacek. – Miałem głowę tak nabitą myślami, że nie potrafiłem choćby na chwilę o tym zapomnieć. Niewiele w ogóle pamiętam, skupiałem się tylko na tym, by móc zagrać. Bardzo chciałem, robiłem wszystko, by wyjść na boisko. Szkoda, że ten finał był, jaki był, lecz Brazylia była wtedy po prostu galaktyczną drużyną i nie potrafiliśmy się pod nią podpiąć”.

Gdy Biało-Czerwoni opuścili halę, zaczęło się świętowanie. W ekipie panowała euforia, szampan lał się strumieniami. Tak się złożyło, że autokar,

który woził Biało-Czerwonych, stał tuż przy tym, którym podróżowali mistrzowie świata z Brazylii. Gacek pamięta, że w naszej ekipie trwała zabawa w najlepsze. Kontuzjowaną nogę miał w górze, była mocno posiniaczona, kostka prawie sczerniała. Ale to wcale nie przeszkadzało, by dziarsko trzymał w ręce butelkę szampana. Nagle spojrzał w okno po drugiej stronie, a tam w autokarze siedzi Sérgio, gwiazda Brazylii, ze słuchawkami na uszach, wyciszony. U wicemistrzów trwała wielka impreza, u mistrzów panował spokój i smutek. Później dopiero okazało się, że trener Bernardo Rezende, jak opisał w swojej biografii Giba, zarządził wspólny powrót do ojczyzny, a nie jak chciało wiele brazylijskich gwiazd, podróż do rodzin i zagranicznych klubów. Dlatego w zwycięskim autokarze panowała taka chłodna atmosfera. „Chyba szybko się nie poprawiła – dodaje Gacek. – Na drugi dzień widzieliśmy ich jeszcze na lotnisku. My wyglądaliśmy, jak wyglądaliśmy, po całkiem nieprzespanej nocy. A oni w spokoju sączyli kawkę”.

* * *

5 grudnia 2006 roku prezydent Rzeczypospolitej Polskiej wydał postanowienie o nadaniu członkom reprezentacji orderów i odznaczeń. Za osiągnięcia w pracy szkoleniowej Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski wyróżnieni zostali Raúl Lozano i Alojzy Świderek. Za wybitne osiągnięcia sportowe Złotym Krzyżem Zasługi odznaczono 12 siatkarzy występujących na japońskim mundialu. Arkadiusz Gołaś też – pośmiertnie – otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, który z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego odebrał Piotr Gruszka. Później, podczas Memoriału Arkadiusza Gołasia, przekazano odznaczenie wdowie Agnieszce.

Piękny gest, który na podium w Japonii wykonali polscy siatkarze, nie umknął uwadze opinii publicznej. Razem z dwukrotną medalistką igrzysk paraolimpijskich, Katarzyną Rogowiec, Gruszka, Kadziewicz, Gacek i spółka zostali laureatami Nagrody im. Bartosza Kizierowskiego. Ustanowiono ją, gdy polski pływak odmówił przyjęcia katarskiego obywatelstwa, choć zmiana ta wiązałaby się z potężnym zastrzykiem finansowym i lepszymi warunkami do treningu. Sam Kizierowski podkreślał, że przyjmując obce obywatelstwo, nie zachowałby się w porządku wobec PKOl-u, związku pływackiego i kolegów z kadry, a przede wszystkim – wobec samego siebie. Pomysłodawcą pięknej

statuetki z łacińską inskrypcją *Usque ad finem* (Aż do końca) był Dariusz Grabowski.

W poniedziałek, 4 czerwca 2007 roku, w imieniu reprezentacji Polski nagrodę odebrał Mariusz Wlazły razem z menedżerem kadry Witoldem Romanem i prezesem PZPS-u Mirosławem Przedpełskim. Nie kryli zadowolenia, że gest wicemistrzów świata został powszechnie zrozumiany.

ROZDZIAŁ 10

GRAJĄC DLA ARKA

Nagłe odejście Arka Gołasia wcale nie oznaczało, że jego nazwisko nie miało się już więcej pojawiać w siatkarskich halach. Dzięki grupie entuzjastów przeprowadzane są turnieje ku jego pamięci, zarówno dla młodzieży, jak i profesjonalistów. Dzięki tym wysiłkom Arka mogli wspominać tacy gracze, jak choćby jedna z legend siatkówki – Giba. Brazylijczyk podobnie jak Arek w dzieciństwie doznał groźnego upadku, który mógł pozbawić go szans na zawodowe uprawianie sportu. Jego obecność uświetniła jeden z memoriałów.

„W Polsce siatkówka jest sportem numer jeden – mówi Giba. – Miałem przyjemność zagrać kilka razy przeciwko Arkowi. Nie mieliśmy wielu okazji, żeby porozmawiać, ale zawsze pytałem, co u niego słychać, jak mu się wiedzie, jak rodzina? Za każdym razem chwaliłem Polskę, siatkarskich kibiców z waszego kraju i dawałem mu jasno do zrozumienia, że to, co się u was dzieje, uważam za coś niesamowitego! Było mi bardzo przykro, gdy dowiedziałem się o tragicznym wypadku, w którym zginął. Życie musi jednak toczyć się dalej i jest mi niezwykle miło, że mogę wziąć udział w memoriale organizowanym ku jego pamięci”.

Ikona brazylijskiej i światowej siatkówki przyjechała na specjalne zaproszenie Anny Sumelki, osoby niezwykle ważnej dla organizacji memoriału Arka. Giba czuł się szczególnie związany z naszym krajem, między innymi przez Arka, lecz głównie poprzez Agatę Mróz-Olszewską – wspaniałą siatkarkę, która zmarła na białaczkę w 2008 roku. Z tą samą chorobą Brazylijczyk zmagał się w dzieciństwie. Dla Giby spotkania z Jackiem Olszewskim, mężem Agaty, a w szczególności z jej córeczką Lilianną, wiązały się z silnymi emocjami. Mała jest bowiem symbolem zwycięstwa w walce z chorobą – Agata Mróz-Olszewska, wbrew zaleceniom lekarzy, zdecydowała się urodzić dziecko.

„Bartosz Heller realizował dla Telewizji Polskiej reportaż o Agacie i zastanawiał się, czy można znaleźć sens w śmierci kogoś tak młodego – opowiada Jacek Olszewski, mąż Agaty Mróz-Olszewskiej. – Pierwsza odpowiedź wydaje się oczywista: to nie ma absolutnie żadnego sensu. Ale w przypadku ludzi takich jak Agata i Arek jest chyba inaczej. Ich śmierć

może obudzić ludzkie serca i uruchomić lawinę pozytywnych zdarzeń. Po odejściu Agaty Polska przesunęła się z szarego końca rankingu dawców szpiku kostnego do absolutnej światowej czołówki. A rodzice Arka wprawdzie cały czas mocno przeżywają stratę, jednak widząc ogromną pozytywną energię wśród widzów memoriału, muszą też poczuć radość. Ich syn nie został zapomniany, ludzie chcą kultywować pamięć o Arku. Można zostawić po sobie dom, jakieś pamiątki. Możemy też zostać zapamiętani za to, co zrobiliśmy. Myślę, że Agata i Arek patrzą z góry na to, co dzieje się na ziemi, i widzą, że ich śmierć przyniosła coś pozytywnego".

Memoriał Arka Gołasia jest organizowany od 2006 roku. Pierwsza edycja turnieju odbyła się w Częstochowie – triumfowali wówczas siatkarze z Olsztyna, przed AZS-em Częstochowa i Jastrzębskim Węglem. Pięć kolejnych edycji rozegrano w legendarnej częstochowskiej Polonii – tej samej, która była świadkiem popisów Arka, prowadzącego AZS do kolejnych medali. Na turniej zapraszano także zespoły z zagranicy: czeski DHL Ostrava, grecki Iraklis Saloniki, austriacki Hypo Tirol Innsbruck czy włoski Pallavolo Padwa, w którym Arek rozegrał swój ostatni sezon.

W 2011 roku memoriał zmienił formułę. Rozegrano zaledwie jeden mecz – 9 września spotkały się AZS Częstochowa i Fart Kielce. Kontynuacja imprezy stanęła pod znakiem zapytania, mógł to być ostatni seniorski turniej upamiętniający Arka. Ale na szczęście za organizację memoriału z animuszem zabrała się Anna Sumelka. Dzięki jej staraniom imprezie przywrócono blask. Zmienił się gospodarz: w 2012 roku VIII Memoriał Arkadiusza Gołasia zorganizowany został w Międzychodzie. Do rywalizacji stanęły: PGE Skra Bełchatów, AZS Częstochowa, Delecta Bydgoszcz i słowacki VK Chemes Humenné. Impreza okazała się dużym sukcesem, a rodzice tragicznie zmarłego siatkarza nie kryli wdzięczności.

„Wielkie słowa uznania dla głównej organizatorki tego turnieju, pani Ani Sumelki z Poznania – mówił Tomasz Gołaś – „Tym bardziej że nie jest to osoba w żaden sposób z nami spokrewniona, nie pochodzi też z rodzinnych stron Arka. Mimo to wzięła na siebie ogromną odpowiedzialność. Początkowo memoriał organizowany był w Częstochowie i gdyby nie pomoc pani Ani, turnieju pewnie dawno by już nie było. Nasza rola początkowo ograniczała się do wyrażenia zgody na imprezę. Teraz jesteśmy pani Ani bardzo wdzięczni za to, co zrobiła, robi i, jak wierzymy, robić będzie nadal".

Kolejne edycje turnieju odbyły się w Murowanej Goślinie, niewielkiej miejscowości koło Poznania. Brały w nim udział najlepsze drużyny w naszym kraju – od PGE Skry Bełchatów, ZAKSY Kędzierzyn-Koźle i Łuczniczki Bydgoszcz po LOTOS Trefl Gdańsk. Memoriał Arkadiusza Gołasia ma już ugruntowaną pozycję i obok Memoriału Zdzisława Ambroziaka należy do najważniejszych turniejów rozgrywanych przed rozpoczęciem nowego sezonu PlusLigi. Szczególny szacunek należy oddać kibicom, którzy w nadkomplecie wypełniają obiekt w Murowanej Goślinie.

Dla rodziny Arka każdy z memoriałów to silne przeżycie. Siostra Kasia przez wiele lat nie była w stanie jeździć na ten turniej. Dopiero ostatnio pojawia się na nim regularnie, towarzysząc rodzicom i Agnieszce. Zresztą z memoriałem wiąże jedno wspomnienie, które do dziś ją elektryzuje. Mniej więcej rok po śmierci Arka, na jednej z imprez w domu Gierczyńskich, poznała młodego środkowego AZS-u Częstochowa – Bartosza Gawryszewskiego. Już wtedy Kasia zauważyła podobieństwo do Arka – ta sama pozycja na boisku, wysoki, chudy jak patyk, wiecznie uśmiechnięty, pozytywny i miły. Przez chwilę pomyślała o Arku i później przez długi czas w ogóle nie mogła patrzeć na Gawryszewskiego! Za bardzo przypominał jej brata. Po wielu latach Kasia z rodziną zdecydowała się przyjechać na memoriał do Murowanej Gośliny, gdzie w barwach LOTOSU Trefla grał akurat Bartek. Trzyletnia córka Kasi, zresztą niezwykle podobna do Arka, pobiegła prosto do Gawryszewskiego. Siostra Arka do dziś wzrusza się, gdy o tym mówi, bo przez chwilę miała wrażenie, jakby to jej brat bawił się ze swoją siostrzenicą…

* * *

Ku pamięci tragicznie zmarłego zawodnika organizowany jest także rokrocznie młodzieżowy memoriał w Ostrołęce. W największym stopniu jest on „dzieckiem” Renisława Dmochowskiego, pierwszego trenera Arka. Już kilka dni po śmierci siatkarza, podczas nadzwyczajnej sesji, władze miasta wraz z radnymi zdecydowały o nadaniu tamtejszej hali sportowej imienia Arkadiusza Gołasia. Przy tej okazji prezydent Ostrołęki dał Dmochowskiemu zielone światło, aby turniej ku pamięci Arka przeprowadzić w jego rodzinnym mieście.

Choć Dmochowskiemu i współpracownikom nie brakowało ani zapału, ani doświadczenia, początkowo nie było jasne, czy imprezę w ogóle uda się

zorganizować. Jedną z głównych atrakcji miał być mecz międzypaństwowy. Witold Roman z PZPS-u rozmawiał z różnymi reprezentacjami na temat występu w Ostrołęce – brano pod uwagę między innymi zespół narodowy Egiptu. Krzysztof Felczak od razu zgodził się wystąpić z polską Kadrą B, ale zaproszenie do Ostrołęki zagranicznego przeciwnika okazało się znacznie trudniejsze.

Ostatecznie się udało. Kilka tygodni przed rozpoczęciem pierwszego memoriału w PZPS-ie zapadła decyzja, że do Ostrołęki przyjedzie reprezentacja Egiptu z jej polskim selekcjonerem Grzegorzem Rysiem.

Dla ośmiu młodzieżowych drużyn, które wzięły udział w pierwszym Memoriale Arka, przeprowadzonym w dniach 23–25 czerwca 2006 roku, mecze międzypaństwowe stanowiły sporą atrakcję. Organizatorzy zaplanowali przerwę, aby wszyscy uczestnicy mogli zobaczyć starcia Polski z Egiptem. Trybuny Hali im. Arkadiusza Gołasia zostały w tych dniach wypełnione do ostatniego miejsca. Nasza reprezentacja wygrała oba pojedynki z Egiptem, a jedną z najważniejszych pamiątek zgromadzonych w ostrołęckiej hali jest do dziś plakat z tego dwumeczu, na którym widnieją autografy wszystkich zawodników.

Na początku organizatorzy pewnie się nie spodziewali, jak ta impreza z czasem się rozrośnie. Dziesiąty Memoriał Arka Gołasia w 2015 roku został zorganizowany dla 24 zespołów! Sukces osiągnięto na przekór przeciwnościom. O ile bowiem przy pierwszym memoriale pieniądze nie były problemem, bo turniej zorganizowano jako swego rodzaju dodatek do towarzyskiego dwumeczu Polska – Egipt, o tyle rok później niezbędna okazała się już pomoc miasta. Poproszono o wsparcie. Fundusze pozyskane z miasta, a także pieniądze zapewnione przez sponsorów pozwoliły na zakup nagród i wykonanie okolicznościowych koszulek dla wszystkich uczestników turnieju. Warto podkreślić, że to inicjatywa obecna od pierwszej edycji memoriału: każdy z organizatorów i członków wszystkich drużyn, począwszy od zawodników, przez trenerów, aż po klubowych kierowców, dostaje taką samą koszulkę.

Największym jak dotąd turniejowym sukcesem gospodarzy z Ostrołęki jest zajęcie drugiego miejsca w 2012 roku. W wielkim finale Olimp Ostrołęka przegrał z Białostocką Akademią Siatkówki, choć wcześniej w eliminacjach siatkarze Renisława Dmochowskiego pokonali tego samego przeciwnika 2:0.

Podczas jednego z turniejów organizatorzy zapewnili uczestnikom bardzo mocny zagraniczny akcent. Sebastian Świderski i Piotr Gruszka przywieźli olbrzymi karton pamiątek z klubu Arka Gołasia – Lube Banca Macerata: od albumów z autografami, przez specjalne karty z podpisami gwiazd siatkówki, gadżety klubowe, na dresach i meczowych koszulkach skończywszy. Nie trzeba chyba mówić, jak wielka była to atrakcja dla młodych siatkarzy.

Obecnie memoriał rozrósł się do takich rozmiarów, że w trzy dni rozgrywanych jest ponad 80 spotkań! Zaraz po przyjeździe i urządzeniu się w internatach właściwie wszyscy uczestnicy proszą o wskazówki, jak trafić na cmentarz, aby odwiedzić grób Arka. Pokazuje to doskonale, że młodzi ludzie wiedzą, na jaki turniej przyjeżdżają, i co, oprócz samej gry w siatkówkę, pozostaje podczas tych kilku dni najważniejsze.

„W 2015 roku kombinowałem z ostrołęckimi mediami, żeby zrobić krótki film o Arku – mówi Remisław Dmochowski. – Niestety gdy zobaczyłem, że do rozegrania mamy ponad 80 spotkań, bo kalendarz memoriału jest napięty do granic możliwości, musiałem zrezygnować z tego pomysłu. Dzieciaki nie mogą rozgrywać więcej niż trzech meczów jednego dnia. Chcielibyśmy zorganizować spotkanie, w którym opowiedzielibyśmy im więcej o patronie imprezy. Najmłodsze dzieciaki nie pamiętają już Arka. Z drugiej strony jeśli spływają kolejne telefony z potwierdzeniem, to co zrobić, zaczynamy w pocie czoła rozpisywać kolejne spotkania. Niejednokrotnie zdarzało się tak, że mecze rozgrywane były do godziny 22. Potem dzieciaki szły na kolację, rano pobudka, śniadanie i znowu rywalizacja. Widząc kolejny chętny zespół, nie mogę przecież zadzwonić i poprosić o rezygnację, bo mamy za dużo drużyn. Od lat nasza praca jest bardzo doceniana. Jako organizatorzy Memoriału Arka Gołasia dostajemy zdecydowanie więcej pieniędzy niż zarządzający innymi imprezami sportowymi w naszym mieście”.

* * *

Niedługo po pogrzebie Arkadiusza Gołasia „Super Express” poinformował o zorganizowaniu wspólnej akcji z Polskim Komitetem Olimpijskim: „Nie możemy cofnąć tego, co nieodwracalne, ale trudno nam się pogodzić, że nadzieja, którą niósł ze sobą Arkadiusz Gołaś, zginęła gdzieś na szosie pod Klagenfurtem. Nie wyrażamy zgody, by pamięć o tak znakomitym

sportowcu, wspaniałym i skromnym człowieku, zabrał nam upływ czasu i dlatego redakcja »Super Expressu« oraz Polski Komitet Olimpijski postanowiły ufundować nagrodę, którą nazwiemy »Arek«”.

O inicjatywie w samych superlatywach wypowiadał się między innymi Alojzy Świderek, asystent Raúla Lozano. Najlepszy przyjaciel Arka, Krzysztof Ignaczak, również pochwalił pomysł przyznawania Nagrody im. Arka Gołasia. Uważał, że takie wyróżnienie będzie dla rozpoczynających siatkarską karierę młodych ludzi znakomitą motywacją do ciężkiej pracy.

Od pomysłu do realizacji minął rok. 16 września 2006 roku „Super Express” ruszył z zapowiedzianą wcześniej akcją. Kandydatów mieli zgłaszać czytelnicy, działacze i trenerzy. Rozpatrywano zgłoszenia zawodników i zawodniczek, którzy nie ukończyli 21. roku życia. Przewodniczącym kapituły został Krzysztof Ignaczak, obok niego zasiedli w niej dyrektor generalny PKOl-u Adam Krzesiński, Andrzej Gołaszewski oraz Tomasz Lachowicz i Andrzej Kostyra z ramienia „Super Expressu”. Laureat nagrody miał otrzymać statuetkę i roczne stypendium w wysokości 1500 złotych miesięcznie, ufundowane przez PKOl i PZPS. Wręczenie nagrody nastąpiło w grudniu 2006 roku.

Pierwszym laureatem nagrody został Łukasz Wiśniewski, obecny środkowy ZAKSY Kędzierzyn-Koźle i reprezentacji Polski. Absolwent SMS-u Spała przyznał, że Gołaś był dla niego wzorem, zarówno na boisku, jak i poza nim. Obiecał na łamach „Super Expressu”, że będzie robił wszystko, żeby podążać śladami Arka.

Niestety Łukasz Wiśniewski był pierwszym i ostatnim siatkarzem, który otrzymał stypendium. Gdy sprawa ucichła, organizatorzy zaprzestali przyznawania nagrody. Z projektu wycofał się „Super Express”, a Polski Komitet Olimpijski oznajmił krótko, że sprawa stanęła… Wielka szkoda, że zapału starczyło tylko na jedną edycję. Być może jednak w przyszłości pojawią się jeszcze inicjatywy mające na celu uhonorowanie czy to Arka, czy inne postacie polskiej siatkówki, które odeszły zbyt wcześnie.

Jedną z takich prób jest właśnie wydanie niniejszej książki.

ROZDZIAŁ 11

LUDZIE SIATKÓWKI O ARKU

ANDRIJA GERIĆ, legenda serbskiej siatkówki, gracz Lube Banca Macerata

Co czułeś, gdy usłyszałeś o wypadku? Wierzyłeś we wszystkie informacje, które podawały media?

Arek miał zostać ogromnym wzmocnieniem dla Lube Banca Macerata. Niestety miałem okazję zagrać tylko przeciwko Arkowi. Słyszałem o nim naprawdę wiele dobrego, wiedziałem również, że to bardzo obiecujący zawodnik, dysponujący mocnym atakiem i niesamowitym zasięgiem. Kiedy usłyszeliśmy fatalne wieści o wypadku, wszyscy byliśmy w szoku. Informacja była naprawdę strasznym przeżyciem dla nas wszystkich. Przerwanie każdego życia, zwłaszcza tak młodego, w taki sposób, jest olbrzymią tragedią i stratą. Poza tym Arek miał naprawdę wiele dobrego do pokazania, z jego umiejętności mogła skorzystać nie tylko nasza drużyna czy liga włoska, ale także cała światowa siatkówka.

Rozmawialiście między sobą w drużynie o nowym koledze?

Mieliśmy wtedy co prawda zgrupowania naszych reprezentacji, ale ja osobiście byłem bardzo zadowolony z podpisania kontraktu z tej klasy zawodnikiem. Wiedziałem, że to spokojny chłopak, któremu zależy przede wszystkim na tym, żeby z dobrej strony pokazać się na boisku, nie poza nim.

Gdy pokonaliście zespół z Cuneo w Superpucharze Włoch, zadedykowaliście to zwycięstwo właśnie Arkowi.

Tak, ponieważ stanowił część drużyny. Mimo że nie było mu dane nigdy z nami zagrać, cały czas czuliśmy z nim więź i było nam niezwykle przykro, że los nam go zabrał. „Lube dedykuje to trofeum Arkowi –

zawodnikowi, który jechał do nas i nie zdążył dołączyć do zespołu, ale na zawsze będzie z nami”. Tak brzmiał przekaz naszego klubu.

Pięknym momentem była również chwila, gdy podczas dorocznej gali przed rozpoczęciem rozgrywek kibice, media, ale także wy, zawodnicy, wstaliście i przez kilka minut biliście brawo dla uczczenia pamięci Arka.

Był częścią świata siatkówki, jednym z nas. Uznaliśmy zatem za zupełnie naturalne, aby w taki sposób oddać mu hołd. Wspierałem w tamtych chwilach polskich zawodników, między innymi Sebastiana Świderskiego, bo wiem, jak to jest nagle stracić kolegę z drużyny. Podobna tragedia spotkała mnie w 1999 roku, gdy jeden z siatkarzy z mojego rodzinnego miasta zginął w wypadku na drodze. I wiem doskonale, jak czuł się Seba i jak ciężko jest przeboleć taką stratę. Z jednej strony to był twój bardzo dobry kolega, a z drugiej – partner z boiska, z którym spędziłeś setki godzin na treningach, z którym wylałeś hektolitry potu.

Czy Arek, grając w klubie z Maceraty, miałby szansę stać się najlepszym środkowym na świecie?

Miał na to wielką szansę! Macerata jest bardzo dobrym klubem, który rokrocznie zapewnia najlepsze warunki do treningu i rozwoju. W każdym kolejnym sezonie w szeregach Lube można spotkać najlepszych siatkarzy na świecie, a rozgrywki ligi włoskiej gwarantują walkę z najlepszymi co tydzień.

W sezonie po śmierci Arka zdobyliście Puchar CEV i wygraliście włoską Serie A1. Był w waszej pamięci w tamtych chwilach?

O takich siatkarzach, o takich ludziach pamięta się zawsze! Szkoda, że Arek nie grał z nami. Z jego udziałem moglibyśmy osiągać jeszcze lepsze wyniki. Na zawsze zostanie w naszej pamięci…

Andrzej Niemczyk, trener „Złotek”, legenda trenerska polskiej kobiecej siatkówki

16 września 2005 roku, w przeddzień rozpoczęcia mistrzostw Europy kobiet, dostajecie tragiczną informację o wypadku Arka. Co wtedy działo się w zespole?

To dla nas wszystkich była ogromna tragedia. Dziewczyny ustaliły, że w trakcie tych mistrzostw Europy będą grały z czarnymi wstążkami przyczepionymi do koszulek. Spotkałem na swojej drodze wielu siatkarzy i siatkarek, ale moim zdaniem Arek Gołaś był największym talentem ze wszystkich. Dopiero rozpoczynał karierę, wchodził na najwyższe szczeble siatkarskiej hierarchii, a wszystko zostało przerwane tak brutalnie. Zginął w najgorszym możliwym momencie, w naprawdę głupi sposób. Porównałbym jego śmierć do Agaty Mróz-Olszewskiej. Oba te przypadki, muszę powiedzieć szczerze, dobijają mnie bardzo, bardzo mocno. Ci młodzi ludzie, Arek i Agata, powinni żyć! W tej chwili udało mi się w pewien sposób zaleczyć rany, i po Agacie, i po Arku Gołasiu, ale kiedy tylko się o tym przypomina, to boli to cały czas równie mocno.

Ból nie minął, ale jest już łatwiej o tym mówić?

Nie, dla mnie z całą pewnością nie jest łatwiej. Nie wiem jak inni, ale Andrzej Niemczyk jest bardzo wrażliwą postacią, mimo tej całej otoczki, mimo tego, co działo się w moim życiu. Gdy zapalam świeczkę na grobie Agaty czy wspominam Arka, w moich oczach pojawiają się łzy. Gdy podczas wywiadów czy rozmów kuluarowych jestem o te kwestie pytany, zawsze jest mi bardzo ciężko.

Pańskie dziewczyny czuły podczas mistrzostw Europy wsparcie od Arka? Jak reagowały podczas turnieju?

Tragedia była przytłaczająca, ale dziewczyny zaakceptowały mój trening. Wiedziały, po co tam wszyscy byliśmy, i akceptowały nawet najdziwniejsze zachowania Niemczyka. Oczywiście, były w trakcie tamtego turnieju takie chwile, gdy zespołem trzeba było mocno wstrząsnąć i go obudzić. Zdarzały się momenty, gdy trzeba było je uspokoić, bo głowy zagotowały się za mocno. Wiesz, co było, jest i będzie zawsze kluczowe? Żeby nawet w tak tragicznych chwilach nie okazać zdenerwowania, bo kiedy roztrzęsiona, zagotowana dziewczyna widzi nieobecnego trenera, to już jest katastrofa. Można zejść z parkietu i iść do szatni.

Przypominam sobie Arka i Agatę i widzę masę podobieństw między nimi. Gwiazdy na parkiecie, ale też kapitalne osoby!

Oni mieli wiele cech wspólnych. Byli do siebie podobni na przykład pod względem budowy ciała. Zarówno Arek, jak i Aga byli osobami bardzo skromnymi, a takich ludzi najbardziej się szanuje i o nich się pamięta. Kariera siatkarska jest krótka. Musisz ją przeżyć godnie, wykorzystać do dalszego życia, w którym nie zawsze siatkówka będzie na pierwszym miejscu. Nikt nie jest idealny i rozumiem, że ten czy tamta zawodniczka mogą się zachłysnąć zdobytymi medalami, ale dla mnie wychowanie pokoleń Agaty, Arka jest ważniejsze od zajmowania miejsc na podium.

Pracował pan z największymi gwiazdami nie tylko polskiej, ale i europejskiej siatkówki. Arek dopiero zaczął grać w lidze włoskiej. Miał szansę na bycie najlepszym środkowym świata?

Powiedzmy sobie szczerze, że przy jego warunkach fizycznych i umiejętnościach już w tamtym momencie, na starcie kariery, był jednym z najlepszych siatkarzy na świecie. Dzisiaj wszyscy mówią tyle o Wilfredo Leónie, przeczytasz o nim właściwie wszędzie, przez wielu uważany jest za najlepszego. Dla mnie ten Kubańczyk jest właśnie następcą Arka Gołasia.

Wielu uważało, że Arek osiągnął niebotyczny poziom już przed wyjazdem z Polski. On sam powtarzał, że jedzie do Serie A po naukę.

I takie właśnie podejście cechuje wielkich zawodników i zawodniczki. Podam przykład z czasów obecnych. Kasia Skowrońska zarówno w wywiadach, jak i poza kamerami cały czas powtarza, że wciąż musi uczyć się czegoś nowego. Twierdzi, że spotkała mnóstwo trenerów, a każdy z nich wniósł do jej kariery coś nowego. Takie podejście, jakie miał Arek, a teraz Kaśka, trzeba młodym siatkarzom zaszczepiać! Nonszalancją i gwiazdorstwem nie wygrasz nic.

Dlaczego warto przypominać o Arku?

Młodzież zawsze powinna dostawać nowe impulsy, nowe bodźce z zewnątrz. Poznanie historii Arka jak najbardziej może być takim bodźcem. Ale potrzeba też pracy. Jeżeli chcemy przyciągać młodzież do siatkówki, musimy zatrudniać ludzi, którzy w formie zabawy będą potrafili

gry w siatkówkę nauczyć. Ja czasami oczom nie wierzę, gdy widzę, że trening z dorosłej siatkówki przenosi się na dzieci. Napisz, proszę, że to jest po prostu katastrofa!

Gdyby Arek teraz żył, byłby na miejscu Piotra Gruszki, Mariusza Wlazłego i Michała Winiarskiego?

Byłby dużo wyżej. Drugiego takiego talentu w męskiej siatkówce nie mieliśmy ani wcześniej, ani później.

ŁUKASZ ŻYGADŁO, wieloletni rozgrywający reprezentacji Polski, klubowy kolega Arka Gołasia

Niezwykle pasjonująca rywalizacja waszego AZS-u Częstochowa z Mostostalem jest do dzisiaj pamiętana przez kibiców z całej Polski. Jak w tej świętej wojnie odnajdywali się młodzi gracze, jak Arek Gołaś?

Różnica między nami była taka, że w zespole z Kędzierzyna-Koźla występowali zawodnicy ograni w reprezentacji Polski, a u nas, w AZS-ie Częstochowa, grali siatkarze, którzy dopiero wchodzili do biało-czerwonej drużyny. Można więc sobie wyobrazić, jak duża była między nami różnica. Arek Gołaś reprezentował nową falę, która dopiero wkraczała do Polskiej Ligi Siatkówki. Nie pamiętam, żeby ktoś miał takie sprężyny w nogach jak on. Potrzebował tylko czasu, żeby podszkolić się pod względem technicznym i taktycznym, chociaż od początku pokazywał, że ma niesamowite predyspozycje.

Arek znany był z poczucia humoru, pozytywnego podejścia do życia. Szybko złapał klimat panujący w szatni AZS-u?

Arek nigdy nie był osobą, która lubiła znajdować się na świeczniku i wieść prym w szatni. Lubił towarzystwo innych osób i do każdego szeroko się uśmiechał. Nie miał żadnych problemów z zaaklimatyzowaniem się w AZS-ie Częstochowa, ponieważ oprócz kilku doświadczonych zawodników spotkał tam szerokie grono juniorów. Klimat mieliśmy kapitalny!

Jak wyglądały relacje Arka z kibicami?

Zawsze byliśmy ciekawi tego, jak żyją ludzie z pierwszych stron gazet. Teraz czasy się zmieniły, mamy tak mocno rozwinięte social media, że dostęp do gwiazd jest zdecydowanie łatwiejszy. Mnóstwo osób chce sobie z nami zrobić selfie i natychmiast wrzucić je na portale społecznościowe. Odbieram to jako część naszej pracy, zdaję sobie sprawę, że musimy poświęcić chociaż chwilę kibicom i docenić ich za to, że nas wspierają. Lubiliśmy to, że ktoś chciał zrobić sobie z nami zdjęcie czy zdobyć autograf. Myśleliśmy niekiedy, że może z czasem któraś z tych osób zacznie nas naśladować? Arek miał dobry kontakt z kibicami, zwłaszcza że w Częstochowie była grupa fanów, którzy trzymali się blisko zespołu.

Arek był przystojnym młodym siatkarzem. Rozumiem, że ustawiała się do niego kolejka fanek?

Pamiętam komplement, który Arek usłyszał od jednej dziewczyny: „Chciałabym mieć takie nogi jak ty”. Dziewczyny szukały najróżniejszych sposobów, żeby poderwać Arka! Nie wiem, jak na to zareagował, chyba nie był to komplement, który doceni mężczyzna… Arek był młodym, przystojnym i uśmiechniętym facetem, więc nie może dziwić, że płeć przeciwna się nim interesowała.

Arek pomagał ci składać komputer, jak wielu kolegom z AZS-u?

Akurat mnie nie składał komputerów, ponieważ ja także byłem zafascynowany elektroniką i technologiami, więc raczej wymienialiśmy się opiniami na temat najnowszych trendów. Byłem od niego dwa lata starszy, miałem nieco szerszy pogląd na te sprawy. Wiele razy rozmawialiśmy o komputerach.

Śledziłeś, jak Arek i jego koledzy radzili sobie podczas igrzysk olimpijskich w Atenach?

Oczywiście, że oglądałem mecze naszej reprezentacji. Mogę powiedzieć, że stanowiłem część tego zespołu. Razem z Michałem Winiarskim byliśmy przed rozpoczęciem igrzysk w Kadrze B i na Memoriale Wagnera graliśmy przeciwko pierwszej drużynie. Gdyby nie Arek, wygralibyśmy ten mecz! Pamiętam, że w końcówce piątego seta poszedł na zagrywkę, strzelił dwa

asy i było po zawodach. A sam wynik sportowy na igrzyskach w Atenach? Ćwierćfinał to na igrzyskach najważniejsze spotkanie, samo dostanie się do tej fazy nie jest aż tak wielkim problemem. Bardzo ważne jest losowanie i to, do jakiej grupy trafisz na początku, jak ustawi się turniejowa drabinka.

Jak dowiedziałeś się o śmierci Arka?

Skończyły się mistrzostwa Europy, na których zajęliśmy piąte miejsce. Przypadła mi rola podstawowego rozgrywającego, więc z Arkiem spędziłem trochę czasu na boisku. Rozmawialiśmy już wtedy o tym, co trzeba zrobić w następnym roku. Po zakończeniu turnieju mieliśmy dwa–trzy dni luzu i każdy z nas pojechał w swoją stronę. Przejeżdżałem wtedy przez Częstochowę, tam spotkałem się z Arkiem, mieliśmy okazję chwilę porozmawiać. Żegnając się, życzyliśmy sobie powodzenia i powiedzieliśmy: „Do zobaczenia za rok". Byłem już w Ankarze, po treningu, w hotelu brałem prysznic, i nagle słyszę, że dzwoni telefon. Po drugiej stronie słuchawki usłyszałem moją żonę, całą zapłakaną. Pierwsza myśl: coś złego stało się komuś z najbliższej rodziny. Ledwo co udało mi się wycisnąć z niej jakiekolwiek słowa, z trudem powiedziała, że Arek nie żyje… Po plecach przeszedł mi dreszcz, zresztą jak teraz o tym mówię, mam podobne odczucie. To były słowa trudne do zaakceptowania. Jeszcze tydzień wcześniej widzisz kumpla, poznajesz jego plany na przyszłość, a nagle okazuje się, że zginął w wypadku. Przez długi czas miałem wrażenie, że to się nie stało naprawdę!

Prezes klubu z Ankary bez problemów wyraził zgodę na twój wyjazd?

Wszyscy znali Arka z telewizji, wielu widziało go na żywo, więc włodarze klubu z Ankary nie stawiali absolutnie żadnych przeszkód. Bardzo szybko kupiłem bilet na samolot do Polski i pojechałem do Ostrołęki na pogrzeb. Nie życzyłbym takiego przeżycia nawet najgorszemu wrogowi!

Byłeś jedną z osób, która niosła trumnę z ciałem Arka. Trudno sobie wyobrażać, co wtedy czułeś…

Każdy z nas przeżywał tę sytuację na swój sposób. Niosłem kumpla. Jak w trudnych chwilach na treningach czy podczas spotkań, chciałem do niego powiedzieć: „Dawaj, Arek, wstawaj i biegniemy dalej!". Długo wyobrażałem sobie i analizowałem, co by było, gdyby pojechał innego

dnia, gdyby pewne rzeczy potoczyły się inaczej… Ja już zawsze będę pamiętał o Arku. 16 września odmawiam za niego zdrowaśkę. To odpowiednia chwila, żeby spędzić z nim trochę czasu.

Grałeś w Trentino od 2008 do 2012 roku. Włosi pamiętali o Arku?

Dyrektorem sportowym w klubie z Trydentu był człowiek, który ściągał Arka do Padwy. Z racji tego, że łączyła nas historia z nim związana, bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język i często poruszaliśmy temat Arka. Wiele osób dało mi do zrozumienia, że to nie była tylko strata dla polskiej, ale także dla włoskiej siatkówki.

Paweł Papke, były wielokrotny reprezentant Polski, atakujący między innymi Mostostalu Kędzierzyn-Koźle

W latach 2000–2003 nikt w Polskiej Lidze Siatkówki nie był w stanie zagrozić AZS-owi Częstochowa i Mostostalowi Azotom Kędzierzyn-Koźle.

Faktycznie byliśmy klubami dominującymi sportowo i, jak na tamte czasy, finansowo. Ale to nie było tak, że rywale przegrywali z nami już w szatni. Z dzisiejszej perspektywy widzę, że grać w takiej drużynie to z jednej strony honor, ale z drugiej nieustanne udowadnianie, że na to mistrzostwo się zasługuje. Naprawdę obowiązywała zasada „Bij mistrza!”. Tak jednak wychodziło, że od czasu do czasu można nas było pokonać, ale nigdy nie sprać.

Dla was mecze z AZS-em były czymś wykraczającym poza sport?

Sport był najważniejszy. Owszem, czuliśmy, że dla Kędzierzyna-Koźla nasze sukcesy są ogromną wartością. Nasz klub w pewnym sensie zakończył epokę dominacji akademików z Częstochowy, ale trzeba przyznać, że AZS nie oddawał pola bez walki. W obu zespołach grało wielu reprezentantów kraju. Po lidze spotykaliśmy się na zgrupowaniach kadry i wspólnie ciągnęliśmy wózek zwany polską siatkówką. Sport, siatkówka, szacunek były wartościami najważniejszymi.

Lubiliście prowokować zawodników AZS-u?

Oj tam, zaraz „prowokować”. Normalnie czasami ktoś coś komuś szepnął wyraźniej, spojrzał wymowniej czy uśmiechnął się szerzej, ale to nie było nic wykraczającego poza zachowania dopuszczalne na boisku. Znaliśmy się z kadry, przyjaźniliśmy się i naprawdę nikt nikogo nie obrażał. Siatkówka to kulturalny sport.

Jak w tej sytuacji odnajdywał się Arek, który nie miał zbyt wybuchowego charakteru?

Arek to postać wyjątkowa pod każdym względem. Naprawdę, nie chodzi o to, że o zmarłych wypada mówić i mówi się tylko dobrze. On był bardzo wyważonym i niezwykle serdecznym człowiekiem. Jeśli uzewnętrzniał silniejsze emocje, to tylko po udanych akcjach. Trudno zapomnieć jego szczery, dziecięcy uśmiech. Był przy tym bardzo skromny.

Rozumiem, że gdy zdobywaliście halę Polonia, montując flagę Mostostalu na drabince sędziego, Arek nie „startował” do was jako pierwszy?

Mówiąc precyzyjnie, nie zamontowaliśmy klubowej flagi, tylko trzymaliśmy ją z Sebastianem Świderskim. Wiadomo, byliśmy szczęśliwi, cieszyliśmy się bardzo spontanicznie. Rywale nie mieli powodów, by dzielić naszą radość, więc może zrobiło się nieco nerwowo, ale nie przypominam sobie, żeby doszło do jakiegoś niemiłego incydentu.

Gdy przyjeżdżaliście na kadrę, to nie było problemu, żeby dogadać się z odwiecznymi rywalami?

Przecież wszyscy mówimy po polsku, a na kadrę przyjeżdżaliśmy reprezentować barwy narodowe. To jest świętość! Nie, nigdy nie było animozji między nami. Wprost przeciwnie, to był czas zjednoczenia i wcale nie należało do wyjątków, że w czasie zgrupowań i wyjazdów ludzie z Kędzierzyna mieszkali w pokojach z tymi z Częstochowy. Sport to rywalizacja, a nie wojna.

Młoda gwardia z czasem wypierała starszych. Arek trafił do kadry w miejsce Marcina Nowaka. Dla was było to zaskoczenie czy naturalna

kolej rzeczy?

To drugie. Każdy z nas kogoś zastąpił w reprezentacji. Każdy z nas musiał udowodnić, że na miejsce w kadrze narodowej zasługuje. Arek był siatkarzem wybitnym i bardzo godnie reprezentował biało-czerwone barwy.

Gołaś jako 19-latek wchodzi do PLS-u i z miejsca staje się czołową postacią ligi. Taka historia robiła wrażenie?

Arek sam sobie pomagał. Czynił ogromne postępy. To był bardzo utalentowany, ale też niezwykle pracowity chłopak. Miał świadomość swojego potencjału, ale wiedział, że aby go w pełni wykorzystać, trzeba nieustannie pracować. Przyjemnie było obserwować, jak Arek rozwija się jako sportowiec, a przy tym dojrzewa jako człowiek.

Od początku robił różnicę? Mówiło się o nim więcej niż o innych?

Arek, jak wspominałem, był bardzo skromny. Mówiąc wprost: wręcz nieśmiały. Może dlatego wyręczali go inni i więcej o nim mówiło otoczenie niż on sam o sobie. Trudno nie dyskutować o takim diamencie. W dodatku przez tę skromność i nieśmiałość wzbudzał ogromną, szczerą sympatię.

Po udanym okresie w Częstochowie wyjechał do Włoch. Pan całe życie grał w Polsce. Obserwował pan, jak toczyła się jego kariera? Z małą zazdrością?

Zazdrość jest obcym mi uczuciem. Jeśli mówimy o odczuciach, to raczej patrzyłem na jego rozwój z podziwem. Półwysep Apeniński w tamtych latach był siatkarskim Eldorado i Himalajami jednocześnie. Występy w najlepszej lidze świata oznaczały ogromne wyróżnienie. Byłem i jestem dumny, że miałem zaszczyt grać z siatkarzem tej klasy w jednym zespole, a także z nim rywalizować. W tamtym czasie Macerata to był odpowiednik dzisiejszej piłkarskiej FC Barcelony czy Realu Madryt. Kontrakt Arka w tym klubie tylko potwierdzał jego światową klasę.

SEBASTIAN ŚWIDERSKI, gwiazda reprezentacji Polski, wieloletni gracz klubów włoskiej Serie A1

Rywalizował pan z Arkiem w Polskiej Lidze Siatkówki. Już na początku jego kariery można było przewidzieć, że w przyszłości będzie środkowym światowego formatu?

Arek był zawodnikiem niezwykle dynamicznym i skocznym, a przede wszystkim bardzo dobrym w ataku – to była jego najsilniejsza broń. Spustoszenie w szeregach rywali siał również zagrywką i już wtedy liczono na to, że będzie zawodnikiem europejskiego czy światowego formatu.

Wyróżniała go skoczność. Tylko to?

Tylko? Rzadko się spotyka młodego zawodnika, który byłby zbudowany w tak specyficzny sposób. Arek był z jednej strony bardzo chudy i smukły, a z drugiej – niesamowicie „wyskakany". I potrafił wykorzystywać ten swój niesamowity wyskok, przekuć go w punktowe zdobycze dla zespołu. Imponował także tym, że nie imały się go poważniejsze kontuzje. Nie przypominam sobie, żeby miał jakieś większe problemy zdrowotne.

A jak można określić jego zachowania na boisku i poza nim?

Arek był typem spokojnego, zrównoważonego człowieka. Natomiast jeśli ktoś poznał go lepiej, to wiedział, że w najmniej spodziewanym momencie potrafił pokazać pazurki. Bardzo trudno było wyprowadzić go z równowagi – te wszystkie gierki słowne, które rozgrywaliśmy pod siatką, raczej na niego nie działały.

Arek wystrzelił nagle, wykorzystał też kontuzje kolegów. Bez nich byłoby mu trudniej?

W razie kontuzji podstawowego zawodnika trzeba było brać tych, którzy znajdowali się w zespole. Korzystali na tym przede wszystkim młodzi siatkarze i tak zwani ławkowi. Było widać, że Arek się wybija, jest lepszy od wielu innych graczy. Prędzej czy później trafiłby do pierwszej szóstki AZS-u Częstochowa i reprezentacji Polski. Kontuzje jednego czy drugiego zawodnika nie wpłynęły na jego karierę, ale jedynie nieznacznie ją przyspieszyły.

Młodzi mieli kilkanaście lat temu łatwiejszy start w najwyżej klasie rozgrywkowej?

Należy pamiętać, że w obecnych czasach mamy takie inicjatywy jak Siatkarskie Ośrodki Szkolne czy Szkoły Mistrzostwa Sportowego i napływ młodzieży jest naprawdę duży. Mieliśmy Młodą Ligę – coś, czego kilkanaście lat temu nie było. Teraz młodzi siatkarze mają gdzie się ogrywać. Być może pojawienie się niezbyt doświadczonych zawodników nie powoduje, że liga jest mocniejsza, ale należy pamiętać, że bez młodych siatkarzy nasza reprezentacja miałaby spory problem. Nasza kadra ma to szczęście, że co roku trafia się jakaś perełka. Mimo że mamy cały czas stosunkowo młody zespół, co sezon walczymy o najwyższe cele. PlusLiga to profesjonalna liga i jednym z jej zadań jest szkolenie młodzieży.

Arek opuścił Częstochowę po czterech sezonach, choć taką możliwość miał już dwa lata wcześniej. Odszedł w odpowiednim momencie?

W tamtych czasach wyjechać za granicę było trudniej niż obecnie. Arek dość długo czekał na możliwość sprawdzenia się poza Polską. Cieszę się, że zdążył wyjechać i poznać trochę świata, że zagrał w zdecydowanie najlepszej wówczas lidze na świecie. Po roku spędzonym w Padwie podpisał lukratywny kontrakt z Lube Banca Macerata. Bardzo żałuję, że nie udało mu się go wypełnić. Jestem przekonany, że gdyby nie ten straszny wypadek, Arek zostałby jednym z najlepszych, a może i najlepszym środkowym na świecie!

Serie A była wtedy ziemią obiecaną?

Włochy to było siatkarskie Eldorado, nie tylko pod względem finansów, ale także poziomu i kultury gry. Występowali tam najlepsi z całego świata. Każdy, kto chciał się rozwijać i grać lepiej, marzył o tym, żeby kiedyś znaleźć się w zespole z Serie A. Grając w Polsce, można się było mierzyć z najlepszymi zaledwie kilka razy w sezonie, a tam wielkiej siatkówki Arek mógł posmakować już podczas treningów! Nie wspominając o pojedynkach z takimi tuzami jak Mastrangelo, Giba, Ricardo i wielu, wielu innych.

Arek wybrał idealny klub? Padwa to było miejsce dla niego?

Padwa to był taki polski klub we Włoszech, wielu naszych rodaków właśnie tam zaczynało przygodę z Serie A. Warto wspomnieć chociażby Krzysztofa i Andrzeja Stelmachów, Marcina Nowaka, Piotra Gruszkę czy Pawła Zagumnego. Wszyscy w tym klubie wiedzieli, że stawianie na Polaków nie

wiąże się z wielkim ryzykiem, ponieważ większość z nich dała zespołowi z Padwy wiele dobrego. Dla Arka i jego kolegów to był jakby przedpokój do salonów Serie A. W tej drużynie młodzież mogła bardzo szybko się odnaleźć, a trenerzy pracujący w Padwie potrafili szlifować siatkarskie diamenty. Uważam, że dla Arka to był bardzo dobry przystanek w karierze.

Mieliście okazję spotykać się we Włoszech?

Niestety ze względu na niesamowite tempo rozgrywek w Serie A nie mieliśmy z Arkiem szans spotkać się na spokojnie, prywatnie. Oczywiście staraliśmy się jak najdłużej porozmawiać przy okazji meczów, które graliśmy przeciwko sobie. Tylko na tyle starczyło nam czasu. Podczas mistrzostw Europy w 2005 roku mieszkałem z Arkiem w jednym pokoju. Byliśmy umówieni, że mniej więcej w okolicy świąt Bożego Narodzenia zobaczymy się i zwiedzimy razem ciekawe miejsca. Maceratę od Perugii dzieli tylko nieco ponad 120 kilometrów, więc myślę, że również w trakcie sezonu znaleźlibyśmy czas na odwiedziny. Niestety nie zdążyliśmy.

POSŁOWIE

Dlaczego wpadłem na pomysł napisania tej książki? Bo nikt wcześniej tego nie zrobił, a Arek po prostu zasługiwał na to, by ona powstała.

Pomysł kiełkował w mojej głowie długo, lecz dopiero jesienią 2014 roku, w trakcie Memoriału Arka w Murowanej Goślinie, zebrałem się na odwagę. Podszedłem do taty Arka. Przedstawiłem się, zapytałem, jak się czuje, jak mu się podoba turniej, i po zaczerpnięciu głębszego oddechu powiedziałem: „Chciałbym napisać książkę o pana synu”. W jego oczach zobaczyłem błysk i radość. Zanim wyraził pozytywną opinię, poprosił o czas na konsultacje z żoną. Po kilkudziesięciu minutach państwo Gołasiowie wrócili do mnie, a ja rozpocząłem monolog, w którym dzieliłem się swoją wizją… Wyraźnie wzruszeni Pani Danusia i Pan Tomek wyrazili wstępną zgodę, prosząc jednocześnie o czas na zastanowienie. Minął mniej więcej miesiąc, zadzwoniłem do Pana Tomka i usłyszałem fantastyczną wiadomość: mogę działać!

Jedną z najważniejszych, ale i najtrudniejszych chwil, była dla mnie pierwsza rozmowa z Panem Tomkiem oraz Panią Danusią. Wiedziałem, że bez ich zaangażowania i zaufania ta książka nie powstanie. Z Panem Tomkiem, wielkim pasjonatem siatkówki, miałem okazję rozmawiać zarówno podczas Memoriału Arka w Murowanej Goślinie, jak i wielokrotnie później, przez telefon. Zaraził mnie swoim entuzjazmem. Pani Danusia, z którą po raz pierwszy miałem okazję porozmawiać dłużej w Ostrołęce, także była bardzo pomocna i chętna do szczerej rozmowy.

Jestem dumny, że mogłem napisać książkę o takiej postaci jak Arek. Przeprowadzając kolejne wywiady, spędzając dni i noce przed komputerem, odwiedzając jego przyjaciół, zrozumiałem, jak ważną dla wszystkich był postacią, jak ogromną stratę przyniosła jego śmierć. Niesamowity doping dawali mi także znajomi z uczelni, którzy w trakcie pisania książki mniej więcej co tydzień czy dwa tygodnie pytali, jak postępy z książką, jak mi idzie, gdzie byłem i co robiłem. Padało także pytanie, czy jest już gotowy egzemplarz książki dla nich… Gosia, Ania, Natalia, Karina, Ula, Karolina, Marek, gwarantuję, że o Was nie zapomnę. Dziękuję także moim wykładowcom za przychylność.

Osobną kwestią jest wsparcie najbliższej rodziny, a w szczególności taty – Tomka, mamy – Joli i siostry – Karoliny. Bez Was nie znalazłbym się w miejscu, w którym jestem, a bez Waszego wsparcia w trakcie pisania książki jej powstanie nie byłoby możliwe. Niech wisienką na torcie będzie osoba mojego Przyjaciela, Łukasza Klina – bez Ciebie, mój drogi, ta książka również by nie powstała. To Ty pozwoliłeś mi nawiązać kontakt z wydawnictwem, to dzięki Tobie jestem tu, gdzie jestem, i mogłem stworzyć biografię Arka Gołasia.

Na końcu chcę podziękować wydawnictwu SQN, w szczególności Przemkowi Romańskiemu oraz Piotrkowi Stokłosie, którzy służyli mi pomocą i radą w każdej sytuacji. To także dzięki Wam i Waszej ekipie w trudnych chwilach chciało mi się pracować jeszcze ciężej. Dziękuję za wszystkie pozytywne słowa, i za te surowe też. Były w trakcie naszej współpracy chwile lepsze i gorsze – mogę chyba powiedzieć, że sporo razem przeszliśmy, i dlatego cieszę się, że mimo wielu problemów mogę teraz pisać kilka słów podsumowania dla czytelników tej książki. Przygotowałem ją przede wszystkim dla Arka i jego rodziców. Stworzyłem ją też dla siebie. A jeśli wspólnymi siłami uda nam się osiągnąć sukces, to będzie mi bardzo miło, Arku. Nigdy nie miałem okazji Cię poznać, ale mam nadzieję, że gdy patrzysz na to wszystko z góry, to jesteś z nas wszystkich, zarówno z autora, jak i z jego rozmówców, zadowolony. Dziękuję za to, co zostawiłeś po sobie, i do zobaczenia kiedyś…

* Wywiad przeprowadzony przez Romana Praszyńskiego, „Gala” 2005, nr 43-44.

** Artykuł *Ślub jak z bajki* autorstwa Małgorzaty Gotowiec, „Magazyn Siatkówka”, sierpień 2006.

*** Wywiad przeprowadzony przez Romana Praszyńskiego, „Gala” 2005, nr 43-44.

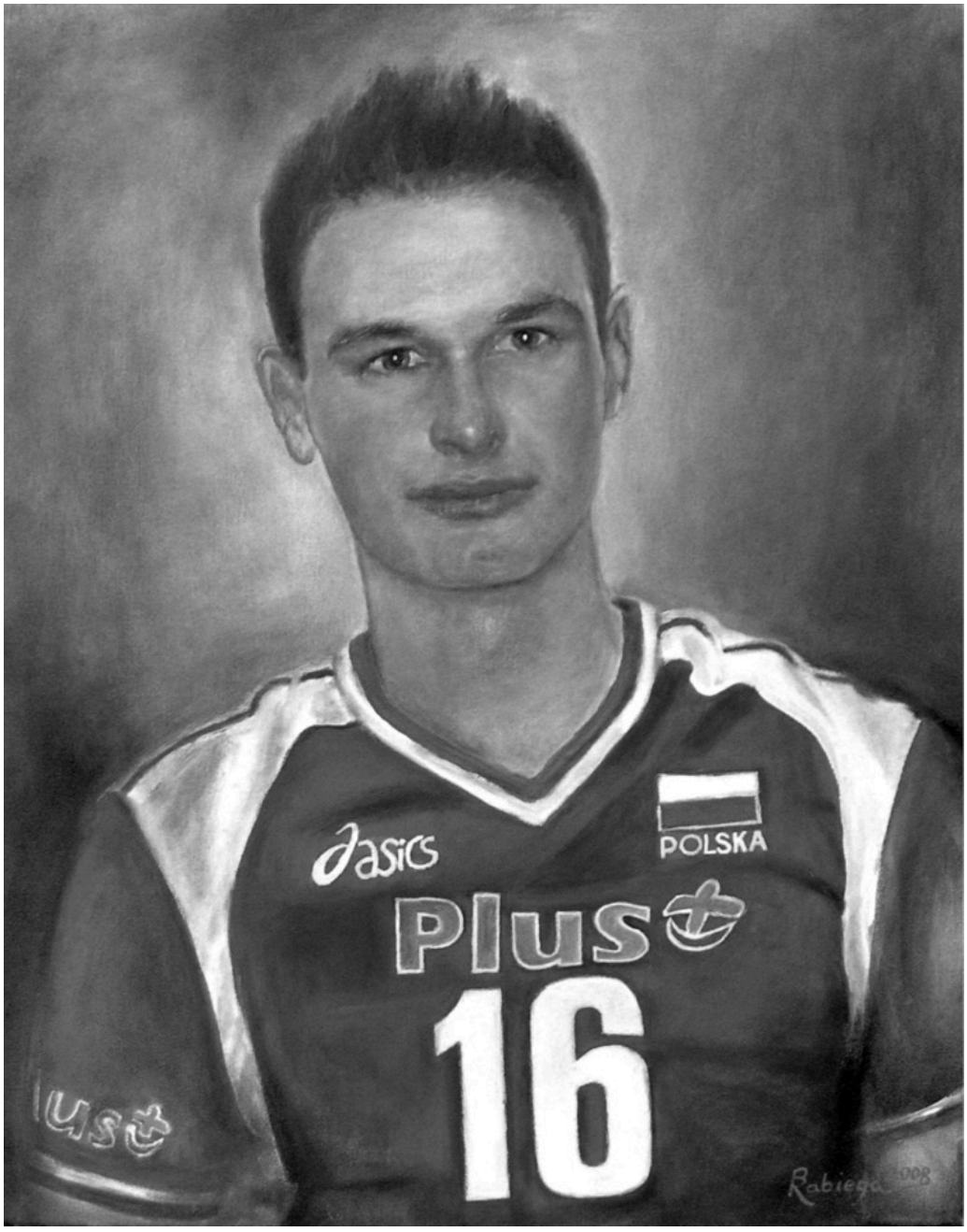

Portret olejny, który wisi
w MOS Wola Warszawa

Rok 1998. Piła, finały mistrzostw Polski juniorów

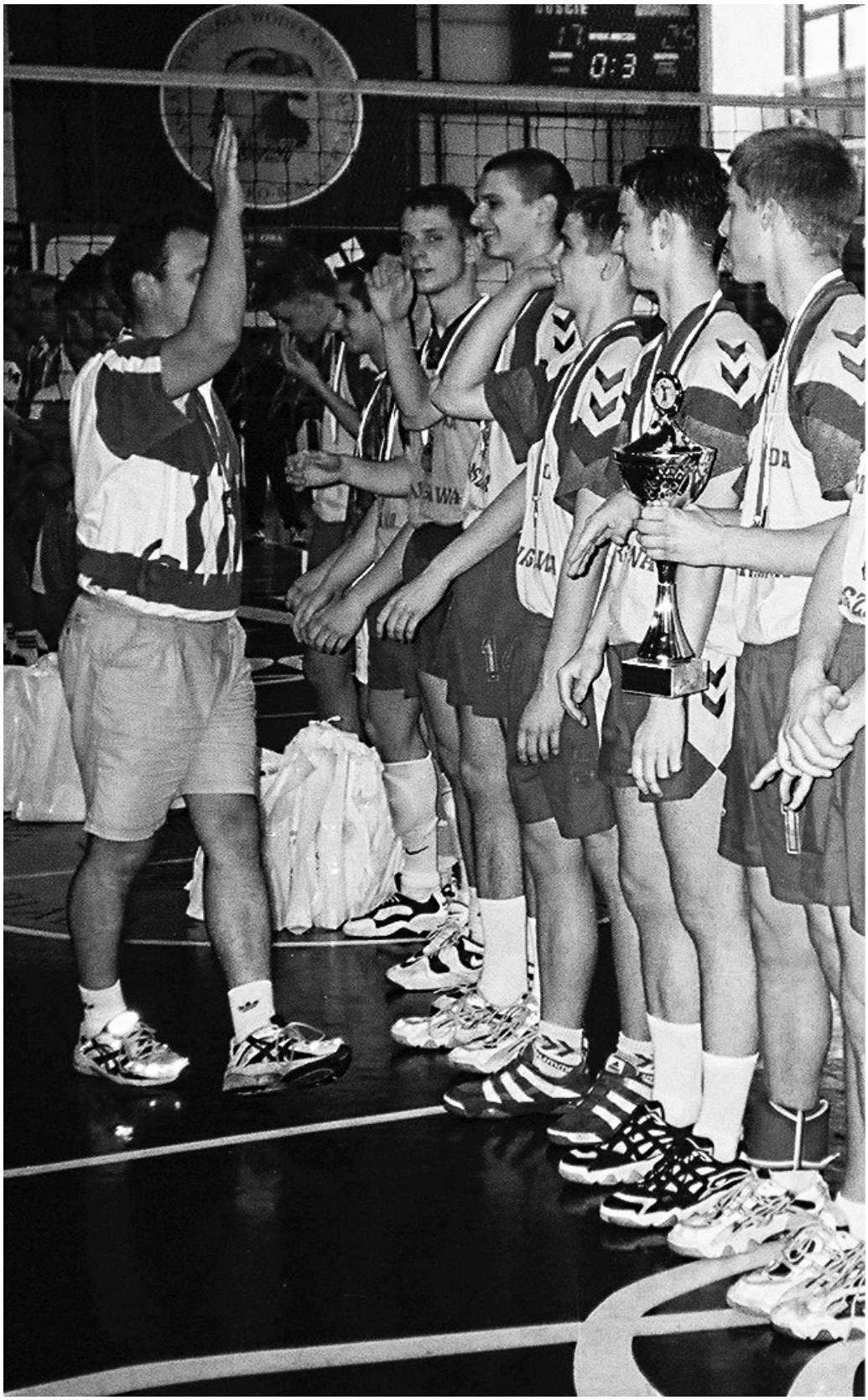

Rok 1999. Krzysztof Felczak gratuluje srebra
w mistrzostwach Polski Juniorów

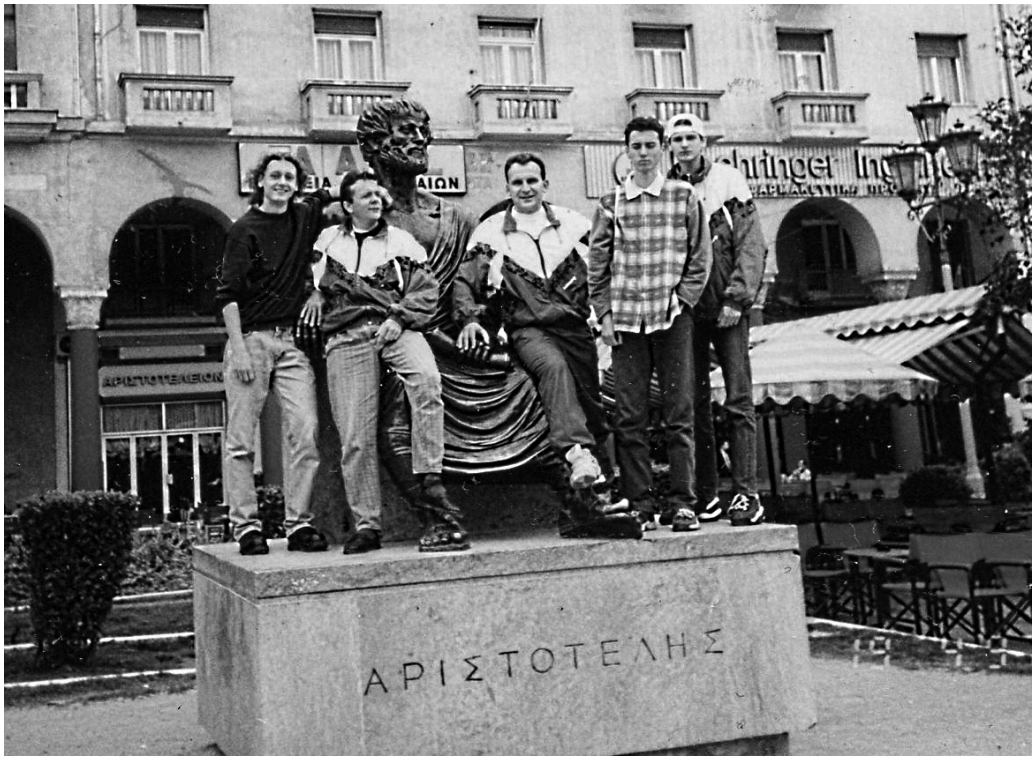

Rok 1997. Saloniki, pomnik Arystotelesa. Arek pierwszy z prawej

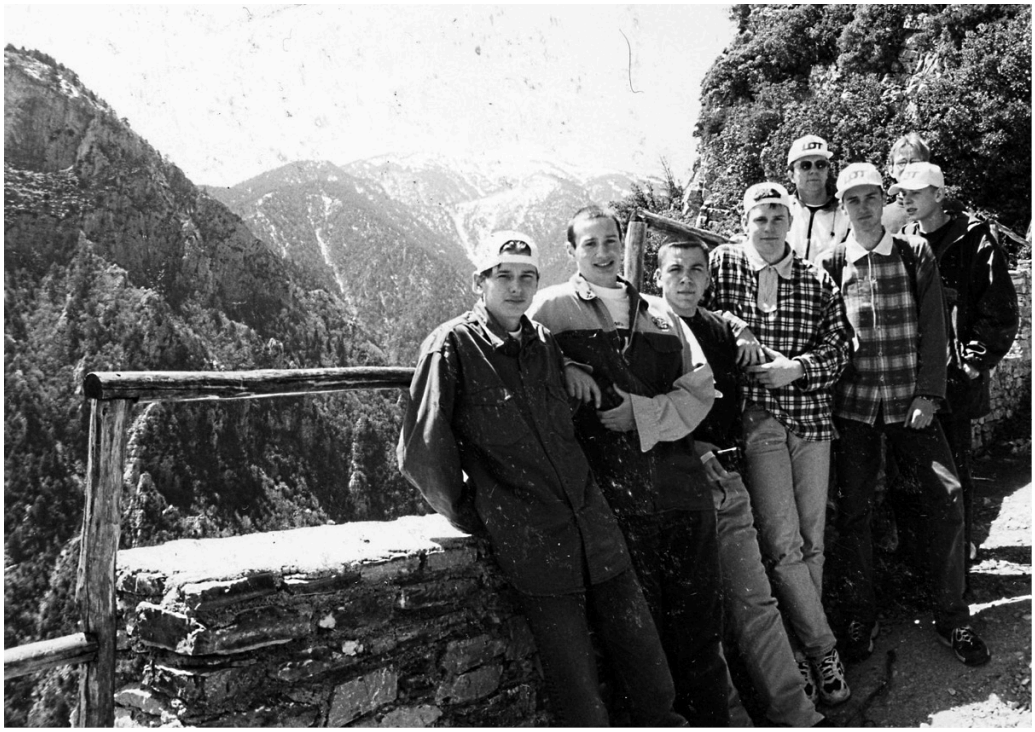

Rok 1997. Saloniki, siatkarze MOS-u na Olimpie

Rok 1998. MOS podczas półfinałów mistrzostw Polski juniorów w Łodzi

Rok 1998. Poznań, Ogólnopolska Olimpiada Młodzieży. Oczekiwanie na dekorację

Rok 1998. Poznań, Ogólnopolska Olimpiada Młodzieży. MOS na lodach przy Malcie

Rok 1998. Trzej zawodnicy MOS-u powołani do kadry Polski kadetów

Rok 1998. Srebrna drużyna mistrzostw Polski kadetów w Poznaniu

Rok 1998. Skarżysko-Kamienna, półfinał mistrzostw Polski kadetów

Rok 1999. Rijad w Arabii Saudyjskiej. Polska reprezentacja z medalami na podium mistrzostw świata kadetów

WARSZAWA
DYPLOM

Rok 1999. Bielsko-Biała, srebrna drużyna mistrzostw Polski juniorów. To pierwszy medal w juniorach dla MOS-u

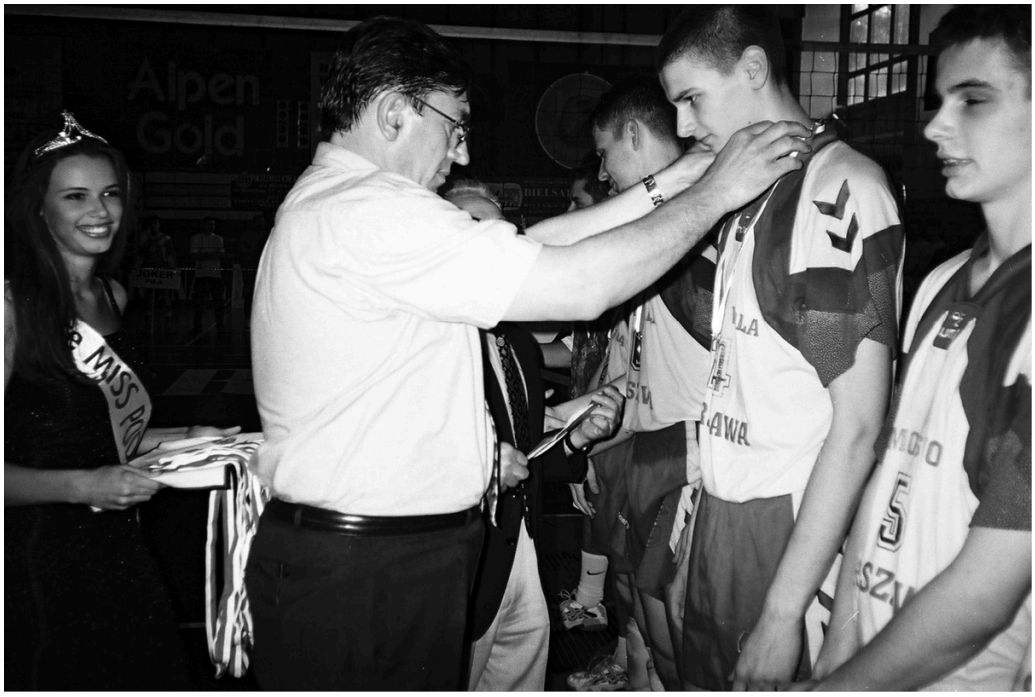

Rok 1999. Bielsko-Biała. Dekoracja srebrem

Rok 1999. Olsztyn, ćwierćfinały mistrzostw Polski juniorów

Rok 1999. Rijad w Arabii Saudyjskiej. Polska reprezentacja z medalami na podium mistrzostw świata kadetów

Rok 2000. Nysa, mistrzostwa Polski juniorów. Drużyna MOS-u przy busie

Rok 2000. Nysa, mistrzostwa Polski juniorów, finał z AZS-em Olsztyn

Rok 2000. Nysa, mistrzostwa Polski juniorów. Arek w wyskoku (MOS zdobył wtedy złoto)

Rok 2000. Z trenerem Krzysztofem Felczakiem

Rok 2000. Toast po złotym medalu mistrzostw Polski juniorów

Rok 2001. Arek na wigilii w MOS-ie z koszulką od trenera Krzystofa Zimnickiego

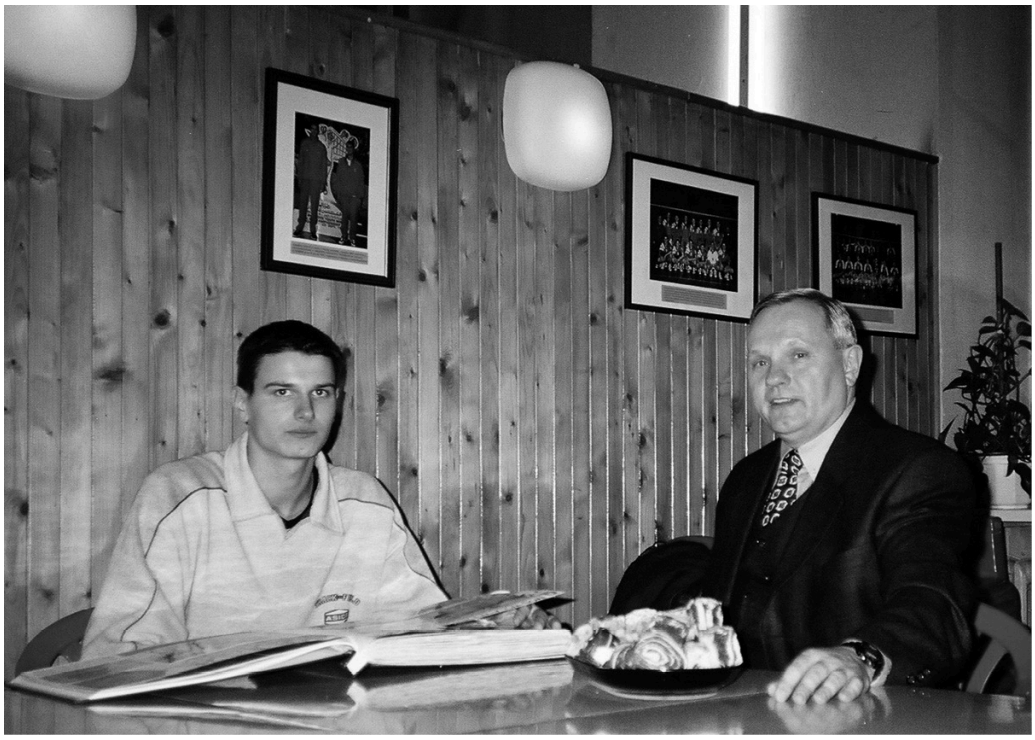

Rok 2001. Arek w MOS-ie z kroniką

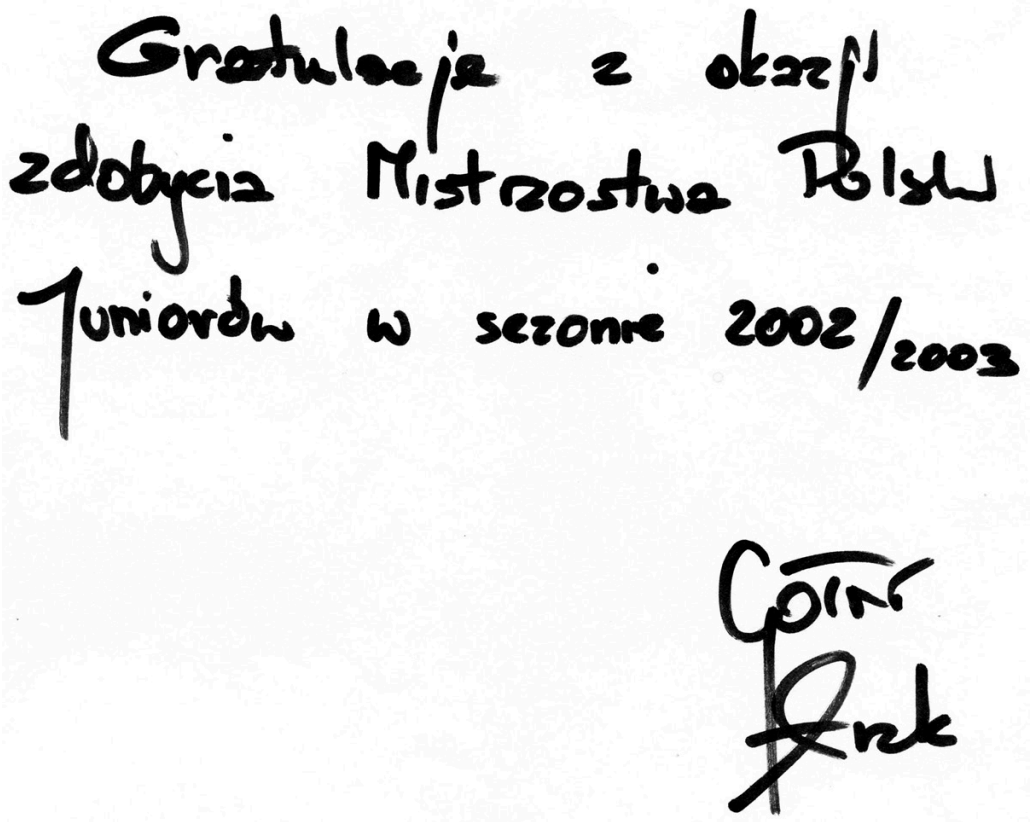

Rok 2003. Gratulacje od Arka dla MOS-u za mistrzostwo Polski juniorów

Arek i Agnieszka na ślubnym kobiercu
Jeżeli nie zaznaczono inaczej, fotografie pochodzą z prywatnego archiwum Agnieszki Gołaś

Arek i Agnieszka z rodzicami

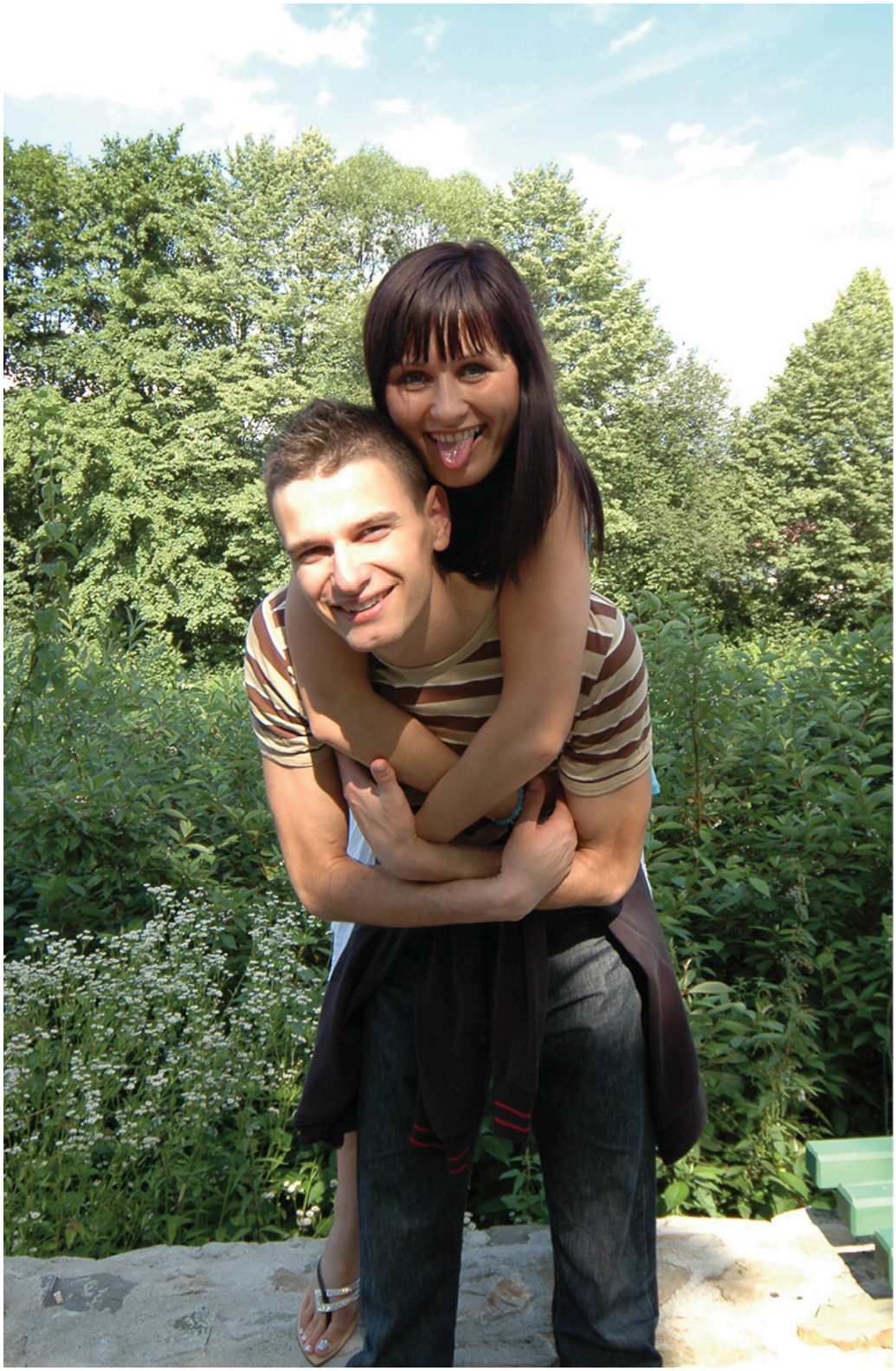

Arek z Agnieszką

Arek z Krzysztofem Ignaczakiem i Grzegorzem Szymańskim

Arek z Krzyśkiem Ignaczakiem i jego synkiem Sebastianem

Reprezentacja Polski podczas igrzysk olimpijskich w Atenach w 2004 roku
Fot. East News

Mecz Ligi Światowej w Bydgoszczy przeciwko Bułgarii. Od lewej: Michał Winiarski, Michał Bąkiewicz, Dawid Murek, Sebastian Świderski, Arkadiusz Gołaś

Fot. Newspix

Arkadiusz Gołaś, Mariusz Wlazły, Łukasz Żygadło, Dawid Murek, Sebastian Świderski i Michał Bąkiewicz
Fot. Rafał Bala / Agencja Przegląd Sportowy / Newspix

Turniej finałowy Ligi Światowej w Belgradzie.
Mecz o trzecie miejsce Polska – Kuba
Fot. Bartłomiej Zborowski / PAP

Paweł Zagumny, Arkadiusz Gołaś i Piotr Gruszka w potrójnym bloku w meczu z Kubą

Fot. Sasa Stanokvić / PAP / EPA

Arkadiusz Gołaś. Przerwana podróż

Copyright © by Piotr Bąk 2017
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Kamil Składowski, Piotr Rubaj, Piotr Królak
Korekta – Maciej Cierniewski
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Fotografia na I stronie okładki – archiwum rodziny Gołasiów
Fotografia na IV stronie okładki – East News
Autor i wydawca dołożyli wszelkich starań, by dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw autorskich do ilustracji zamieszczonych w książce. Osoby, których nie udało nam się ustalić, prosimy o kontakt z wydawnictwem.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2017
ISBN EPUB: 978-83-8129-072-2
ISBN MOBI: 978-83-8129-073-9

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
Sprzedaż internetowa labotiga.pl
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna
Tempora mutantur nos et mutamur in illis

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
WSTĘP
1. 16 września 2005 roku
2. Agnieszka i Arek, czyli ogień i woda
3. Z Ostrołęki do Warszawy
4. Dzięki Spale są medale
5. Przyjaźń “Igłą” szyta
6. Częstochowski inkubator gwiazd
7. Biało-czerwone spełnienie marzeń
8. Włoska ziemia obiecana
9. Srebrne łzy z Tokio
10. Grając dla Arka
11. Ludzie siatkówki o Arku
POSŁOWIE
Zdjęcia
Strona redakcyjna

labotiga.pl

NAJLEPSZA INTERNETOWA KSIĘGARNIA SPORTOWA

OFICJALNA KSIĘGARNIA
WYDAWNICTWA SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
WydawnictwoSQN
SQNPublishing
wydawnictwosqn
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl